

MIŁOŚĆ OD OBSESIJ ODDZIELA BARDZO CIENKA GRANICA...

J A M E S
PATTERSON
HOWARD ROUGHAN
OSTRZEŻENIE





JAMES PATTERSON

James Patterson należy do licznej czołowej najpopularniejszych pisarzy amerykańskich, zbiór książek Roberta, Orlanda i Kinga, właśnie jego powieści najczęściej znajdują się na listach bestsellerów. Swoją przygodę mu udało. W swoim życiu, w którym po raz pierwszy pojawił się Alex Crowe, czarodziej polędwie i psycholog, specjalizujący się w tropieniu przynajmniej zabójców (w postaci jej powieści wcielił się na dużym ekranie Morgan Freeman). Patterson nigdy nie zawiązał czytelnika - każde jego książka to wciągająca mieszanka nieoczekiwanych zwrotów akcji, oszałamiającego tempa narracji i niewiarygodnego wcielenia na chwilę napięcia.

Przegląd Kristin Burns jest fotografką, jej życie jest de facto brzmie „Ma myśli, patryka”. Kristin marzy o pracy jako fotografki, ale tymczasem została na utrzymanie jako matka do dzieci u rodziny bogatej rodziny Turnbullów. W wolnych chwilach robi zdjęcia i wywala je profesjonalistom. Wrodzony talent i upór wskazują, że Karina w wyznaczonym czasie zostanie sławą przed nią opozycją. Niestety, dopiętych pędzi ofiarą zakochanej młodości i wciąga się w niebezpieczny romans z Michałem Turnbullem. Ostróżką uczuciem, ignorując wszelkie ostrzeżenia. Na dodatek woda jej zaczyna działać się od dawnego - i Kristin bierze kontakt z rzeczywistością. W powierzającym się firmie widać początkowo morderstwo w tle. Dochodzi na ulicy znowu, niewyjącego od niej. Czy rzeczywistość nie może być zabójcą? Co oznacza jej wizerunek?

ISBN 978-83-7559-765-1



**JAMES PATTERSON
HOWARD ROUGHAN**

OSTRZEŻENIE

Z angielskiego przełożył WITOLD NOWAKOWSKI

Tytuł oryginału: YOU'VE HAVE BEEN WARNED

Copyright © James Patterson 2007 All rights reserved

The author is grateful for the permission to include lyrics from „The Circle Game”, words and music by Joni Mitchell, © Crazy Crow Music, all rights administered by Sony/ATV Music Publishing, all rights reserved.

Used by permission of Alfred Publishing Co. Inc.

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros A. Kuryłowicz 2009 Polish translation copyright © Monika Nowakowska 2009

Redakcja: Dorota Stańczak

Zdjęcie na okładce: John Lamb/Getty Images/Flash Press Media

Projekt graficzny okładki i serii: Andrzej Kuryłowicz

Skład: Laguna

@&N 978-83-7359-763-1

Dystrybucja

Firma Księgarska Jacek Olesiejuk

Poznańska 91, 05-850 Ożarów Maz.

. 022-535-0557, 022-721-3011/7007/7009

www.olesiejuk.pl

Sprzedaż wysyłkowa - księgarnie internetowe

www.merlin.pl

www.empik.com

www.ksiazki.wp.pl

WYDAWNICTWO ALBATROS

ANDRZEJ KURYŁOWICZ

Wiktorii Wiedeńskiej 7/24, 02-954 Warszawa

2009. Wydanie I Druk: WZDZ - Drukarnia Lega, Opole

Christine i Trevorowi, jak zawsze najlepszym.

HR.

Suzie i Jackowi, moim najstraszniejszym.

J.P.

*Ludzki charakter jest jak zdjęcie.
Dojrzewa w ciemności.*

Yousuf Karsh

Rozdział 1

O tej porze za wcześnie na zdjęcia nieboszczyków.

Tak mogłabym pomyśleć, gdybym miała rozum. Ale jakoś mi go brakuje.

Właśnie idę do pracy. Skręcam za róg budynku i widzę zbiegowisko, spore zamieszanie i kilka szarych worków, rzecz jasna na zwłoki, które ktoś wynosi z „pięknego” hoteliku. Natychmiast łapię aparat. To silniejsze ode mnie. Zupełnie odruchowe.

Pstryk, pstryk, pstryk.

Nie myśl o tym, co tu się stało. Po prostu rób zdjęcia, Kristin.

Jak szalona kręcę głową to w lewo, to w prawo, w ślad za obiektywem mojej leiki R9. Najpierw pobliskie twarze — tłum przypadkowych gapiów. To samo zrobiłaby Annie Leibovitz. Biznesmen w prążkowanym garniturze, kurier na skuterze, matka z wózkiem... stoją obok siebie bez ruchu, patrząc na scenę zbrodni. To dla nich sensacja dnia — w dodatku przed ósmą rano.

Idę dalej, chociaż coś we mnie powtarza: „Nie patrz tam, odejdz”, chociaż coś mówi: „Wiesz, gdzie jesteś... To przecież ten hotel... Znasz go, Kristin”.

Przedzieram się w stronę wejścia. Coraz bliżej i bliżej, jakby mnie coś ciągnęło — jakbym na próżno walczyła z powracającą falą. I ciągle robię zdjęcia, niczym reporterka „Newsweeka” albo „New York Timesa”.

Pstryk, pstryk, pstryk.

Na ulicy stoją krzywo zaparkowane karetki i radiowozy. Uno-
szę głowę i patrzę na czerwono-niebieskie światła, tańczące na
cegłanych ścianach okolicznych domów.

W oknach widzę twarze nowych gapiów. Baba w papilotach
gryzie bułkę. Pstryk.

Coś przykuwa moją uwagę. To błysk słońca w pałakach ostat-
nich noszy, które właśnie wypchnięto z hotelu. Cztery ciała. Co
tu się stało? Morderstwo? Jakaś masowa zbrodnia?

Leżą gromadką na chodniku: cztery worki, a w każdym zwłó-
ki. To straszne. Wprost okropne.

Przekręcam dłoń i pod szerszym kątem fotografuję całą grupę
— niczym rodzinę. Nowy ruch ręką i zbliżenie, jedno po drugim.
Kto to właściwie był? Co się stało z tymi biednymi ludźmi? Jak
zginęli?

Nie myśl, Kristin. Rób zdjęcia.

Z hotelu wychodzą dwaj barczyści pielęgniarze i stają koło
policjantów. Nie, raczej detektywów, wypisz, wymaluj z *Prawa i*
porządku. Wszyscy coś mówią, kręcą głowami i wszyscy mają
surowy, nowojorski wygląd. Już nieraz widzieli takie rzeczy.

Jeden z gliniarzy — starszy i chudy — zerka w moją stronę.
Chyba mnie widzi.

Pstryk, pstryk, pstryk.

Zużyłam całą rolkę filmu. Pospiesznie zakładam nową.

Prawdę mówiąc, już nie ma na co patrzeć, ale uparcie pstry-
kam dalej. Nieważne, że za chwilę spóźnię się do pracy. Po pro-
stu nie mogę odejść.

Zaraz!

Szybko odwracam głowę, żeby popatrzeć na ostatni worek. Najpierw nie mogę uwierzyć własnym oczom. Czy to tylko wiatr, czy może umysł z samego rana płata mi jakieś dziwne figle?

Znowu to samo. Jęknęłam w duchu. Ostatni worek... jakby się ruszał!

A może mi się tylko tak zdaje?

Strach mnie ogarnia. Chcę uciekać, a mimo to podchodzę bliżej. Odruch? Następna fala?

Patrzę na szczelnie zamknięty worek i wiem, że zaszła straszna pomyłka. Czyja? Policji albo lekarza?

Suwak!

Rozchyła się pomału. Ktoś chce od środka otworzyć worek!

Wytrzeszczam oczy. Czuję, jak miękną mi kolana. Dosłownie. Chwiejnym krokiem sunę przez tłum gapiów, z niedowierzaniem patrząc w wizjer aparatu.

Widzę palec, a potem całą rękę. O Boże... krew!

— Na pomoc! — krzyczę. Opuszczam aparat. — Tam ktoś wciąż żyje!

Tłum spogląda na mnie. Policja, lekarz... Patrzą ponuro, niemal z naganą, kręcą głowami, jakbym przed chwilą związała z Bellevue. Myślą, że zwariowałam!

Gwałtownie wyciągam rękę i pokazuję na ostatni worek. Widzę dłoń wystającą spod szarej folii w niemym wezwaniu o ratunek. To dłoń kobiety.

Zrób coś, Kris! Musisz ją uratować!

Znowu przykładam aparat do oka i...

Rozdział 2

Zrywam się tak gwałtownie, aż mi coś chrupie w szyi. Jestem spocona i bliska hysterii. Nie wiem, gdzie się znalazłam. Wszystko jest zamazane, więc chcę przetrzeć oczy, ale to bardzo trudne, bo ręce mi się trzęsą. Prawdę mówiąc, cała się trzęsę.

Błagam, Kris... — myślę rozpaczliwie.

Wreszcie widzę przed sobą jakieś kształty, kontury. I nagle, jak na zdjęciu z polaroida, obraz nabiera ostrości.

To tylko sen, wariatko! Tylko sen.

Rzucam się na poduszkę i wydaję z siebie najgłośniejsze westchnienie na świecie. Nigdy nie czułam się tak szczęśliwa, leżąc sama we własnym łóżku.

Ale to było tak realne...

Worki na zwłoki... Kobieca ręka wysuwająca się spod folii...

Patrzę na budzik — dochodzi szósta. Świetnie, mam jeszcze parę minut snu. Zamykam oczy — i w tej samej chwili nagle otwieram je z powrotem.

Wyraźnie słyszę jakiś łomot. Nie, to nie moje skołatane serce. Ktoś jest za drzwiami.

Wciążam na siebie ten sam niebieski szlafrok frotte, który nosiłam jeszcze w Boston College, i szybko drepczę przez mieszkanko, umeblowane elegancko najprzedniejszymi wyrobami spółki Crate & Barrel. Co z tego, że kanapa ma jedynie trzy nogi i wygląda jak żywcem wyjęta z filmu braci Farrelly?

Ktoś tam łomocze coraz głośniej. Długo i natarczywie.

Wolnego, przecież idę!

Staję pod drzwiami, lecz nie pytam: „Kto tam?”. Przecież od tego są judasze, zwłaszcza na Manhattanie.

Pochylam się po cichutku i mrużę zmęczone oko.

O cholera.

To ona.

Otwieram drzwi. Zza szkieł tanich okularów łypie na mnie wścibska staruszka z mojego piętra, pani Rosencrantz. Wyraźnie jest czymś poruszona, chyba nie mniej ode mnie.

— Wie pani, która godzina? — burczę.

— A pani? — odpowiada nadąsanym tonem. — Powiem pani, że mam już serdecznie dość tych obłąkańczych wrzasków każdego ranka.

Spoglądam na nią—całe metr czterdzieści—jakby to ona była obłąkana. Może płakałam, ale na pewno nie wrzeszczałam.

— Jeśli przeszkadza pani hałas, niech pani znajdzie tego melomana, który puszcza muzykę o szóstej rano.

Pani Rosencrantz patrzy na mnie spod oka.

— Jaką muzykę?

— Nie słyszy pani? Przecież to stamtąd...

Wychodzę na korytarz i kręcę głową na wszystkie strony. Zaraz... Skąd ta muzyka?

Pani Rosencrantz potrząsa głową.

— Nic tu nie słyhać, pani Burns — prycha — i niech się pani nie wygłupia, bo takich rzeczy też nie lubię.

— A gdzieżbym śmiała, pani...

Nawet nie daje mi dokończyć.

— Nie wierzy pani, że złożę wniosek, aby panią stąd eksmitować? Naprawdę to zrobię!

Patrzę spode łba na starą jędzę, dziś jeszcze brzydszą i złośliwszą. Mam się wygłupiać? Proszę bardzo!

— Wracam do łóżka, pani Rosencrantz... i jeśli wolno, to radzę pani także się przespać jeszcze chwilę. Sen dobrze robi na urodę.

Przez moment patrzę na jej zdumioną i strasznie nadąsaną minę, a potem zamykam drzwi.

Już chcę szybciotko wrócić pod kołdrę, gdy nagle kątem oka dostrzegam swoje odbicie w lustrze na drzwiach szafy. O kurczę! Oczka przekrwione jak u szopa, a fryzura jakby piorun we mnie strzelił. Boże... Przecież wyglądam niewiele lepiej od zacnej pani Rosencrantz!

Próbuję mrugnąć jednym okiem. Wszyscy się na to zawsze łapią. Mrugam do siebie w lustrze. Nie pomogło. Mrugam więc znowu. Nic, nul, zero.

Śmieję się na głos. Przez krótką chwilę już nie pamiętam o strasznym śnie i piekielnej sąsiadce.

Tylko przez chwilę.

Nadal nie mogę dojść do tego, skąd ciągle słychać muzykę.

Po cichu przemierzam całe mieszkanie, skradam się jak Elmer Fudd podczas polowania na króliki, przyciskam ucho do każdej ściany. Strasznie mi głupio, lecz w końcu klękam i nad słuchuję.

Dopiero kiedy łapię krzesło, żeby posłuchać pod sufitem, zdaję sobie sprawę z tego, co się dzieje. Muzyka nie dociera z zewnątrz.

Gra w mojej głowie.

Rozdział 3

To niedobrze!

Stoję bez ruchu na środku pokoju i próbuję usłyszeć coś... między uszami. Melodia brzęczy bardzo cicho, lecz jednak wyraźnie. Dziwne? Tragiczne? Co za niezwykły, osobliwy ranek... a przecież odkąd wstałam z łóżka, nie upłynęło więcej niż pięć minut.

Zamykam oczy. To piosenka. Jakby znajoma... Na pewno już ją gdzieś słyszałam. Ale niestety, za nic w świecie nie mogę sobie jej przypomnieć.

Siedź cicho i słuchaj, powtarzam w myślach.

To mi się jednak nie udaje, bo po sekundzie pokój rozbrzmiewa dzwonkiem telefonu. Nie szkodzi. Lubię, kiedy on dzwoni.

— Halo?

— Dzień dobry, słodka — szepcze Michael. — Tu biuro usług erotycznych. Budzenie na telefon...

Tysiąc razy słyszałam już ten tekst, a jednak chichoczę.

— Dzień dobry — odpowiadam szeptem. Teraz się uśmiecham.

— Jak ci się spało, Kris?
— Lepiej nie pytaj.
— Dlaczego? Co się stało?
— Miałam straszny, wręcz potworny sen, a potem przyszła wredna sąsiadka i jeszcze na mnie nakrzyczała.

— Niech zgadnę... — mówi. — Wredna starucha, która mieszka w końcu korytarza? Ta rodem z *Dziecka Rosemary*?

— Właśnie. Jedną nogą w grobie, a jeszcze pyskuje. Zwariować można od jej gadania.

A może właśnie już zwariowałam?

— Masz dobry powód, żeby się stamtąd wyprowadzić, Kris.

— Wiedziałam, że to powiesz.

— Moja propozycja jest nadal aktualna. Na pewno na to zasługujesz.

— Posłuchaj, Michael. Nie chcę, żebyś mi szukał mieszkania. Sama potrafię o siebie zadbać. Zobaczysz. Moja teczka jest w Abbott Show. Zostanę gwiazdą. Nie wierzysz w to?

— Wierzę. Chociaż czasami bywasz zbyt uparta.

— Za to mnie kochasz.

— Racja — mówi. — Przecież nie za to, że jesteś piękna, mądra i utalentowana.

Boże, ja też go strasznie kocham. Jest taki dobry!

Oprócz tego przystojny, atletycznej budowy... i z posadą w zarządzie Baer Stevens Asset Management. Bez mrugnięcia okiem mógłby mi kupić dziesięć nowych mieszkań.

— Już jesteś w biurze? — pytam.

— Oczywiście. Jeśli nie dorwiesz Baer Stevens, to Baer Stevens...

Śmieję się. Słońce ledwie wstało.

— Zupełnie nie wiem, jak ty to robisz
— Cóż... prowadzę zdrowy tryb życia.
— Ha!
— A jeśli pytasz, jak „to” robię...
— Bardzo śmieszne, kochasiu. Najpierw postawisz mi kolację.

— Cholera... Chciałbym, ale właśnie dzisiaj muszę się spotkać z ważnym klientem. Jak to mówią: najpierw obowiązek, potem przyjemności. Może zobaczymy się po kolacji? Z ochotą schrupię cię na deser. Mniam...

— Z tym „mniam” to jeszcze zobaczymy.

Rzecz jasna, Michael wie doskonale, że to oznacza „tak” z mojej strony. Jedyne, czego pragnę od życia, to robić zdjęcia i być z Michaeliem, moim prawie idealnym mężczyzną.

— No, słucham... — mówię.

Znów zniża głos do szeptu.

— Kocham cię, Kristin. Wręcz uwielbiam. Nie umiem żyć bez ciebie.

— Ja ciebie też kocham... i tak dalej, i tak dalej, i tak dalej. Naprawdę, Michael.

Wzdycha.

— Słodka muzyka dla moich uszu. Kochasz mnie, prawda?

Nie odpowiadam — bo nie mogę. Zamarłam na dźwięk tego słowa.

Muzyka.

Po chwili uświadamiam sobie, że nic nie śpiewa w mojej głowie. Co za ulga! Zatem wciąż jestem przy zdrowych zmysłach.

— Kristin? Jesteś tam? — pyta Michael.

Przez ułamek sekundy mam ochotę powiedzieć mu o muzyce. Ale nie mówię. To zbyt naciągane.

- Uhm... Jestem — odpowiadam.
- Wszystko w porządku?
- Tak. Przepraszam, właśnie patrzyłam na zegarek. Nie chcę się spóźnić do roboty.
- Masz rację — przytakuje. — Leć już. Bóg mi świadkiem, że lepiej nie wkurzać twojego szefa.

Część pierwsza

Rozdział 4

Co jeszcze złego spotka mnie dziś rano?

Chyba troszeczkę się wygłupiasz, myślę w drodze do łazienki. Wchodzę pod prysznic i odkrywam nagle, że znowu nie ma ciepłej wody. Ha! To niemożliwe!

Nowy głos brzęczy w mojej głowie. To Michael. Ze śmiechem pyta, czy może w końcu pozwolę mu odegrać rolę dobrego wujka, który kupuje mi mieszkanie. Nigdy w życiu!

Cała drzę pod strumieniem arktycznego deszczu. Biorę najszybszy prysznic w życiu.

Ubieram się, żuję batonik Chai Tea Luna i piję sok pomarańczowy. Przed wyjściem szybki przegląd torebki. Wszystko na miejscu — portfel, klucze, komórka i jedyna rzecz, którą zawsze ze sobą noszę: moja leica.

Codziennie, idąc Second Avenue, gdzieś w okolicach 46th Street, mijam sterany kiosk z gazetami. Można tu znaleźć chyba wszystkie dostępne u nas czasopisma, piętrzące się aż pod sam sufit. Zazwyczaj patrzę na okładki i na nieskazitelne twarze różnych aktorów i modelek. Dzień dobry, Brad, Leo, Gisele, Angelino...

Śmieszne, że wielu ludzi chciałoby nimi być. Ja pragnę ich tylko fotografować.

To są marzenia, ale mój agent i kilku dosyć dużych wydawców twierdzą, że być może niedługo się spełnią. To samo mówią w prestiżowej galerii Abbott Show, w której złożyłam swoje prace. Jednak na razie — dopóki ktoś sławny nie krzyknie: „Dajcie mi Kristin Burns!, żeby zrobiła zdjęcie na okładkę »Vanity Fair«!” — muszę iść naprzód.

Do pracy. Jako niańka.

Idę na skróty do Third Avenue, potem pięć przecznic i skręcam w Lexington. Dalej na północ, znowu pięć przecznic, aż do Park Avenue. Codziennie rano ten sam zygzak. Po co to robię? Nawet nie wiem. Albo też wiem, a jednak nie przestaję.

Zazwyczaj kiedy zmierzam do pracy, robię zdjęcia. Uwieczniam twarze bumelantów, z wolna wlekących się do pracy — i nie pamiętam, że tak naprawdę sama należę do ich grona. O tej porze nie widać szczęścia na ulicy. Są tylko złość, straszne zmęczenie i przede wszystkim wszechobecna nuda.

Świetny materiał dla fotografa. Kiedy ostatnio jakiś uśmiech zdobył nagrodę Pulitzera?

Jednak tym razem, po dzisiejszym ranku, myślę, że będzie dużo lepiej, jeśli nie dotknę aparatu. Idę troszeczkę roztargniona. Można powiedzieć, że mam głowę w chmurach — gdyby przynajmniej były chmury. Ale jest piękne niebieskie niebo, majowy dzień, jeden z takich, gdy człowiek cieszy się, że żyje.

Biorę głęboki oddech. Obudź się, Kristin! — mruczę pod nosem. Przez moment jest mi całkiem raźnie.

Po chwili skręcam w Madison.

I wrzeszczę.

Nie tak po cichu.

Po prostu drę się na całe gardło.

Rozdział 5

O Boże... Boże...

Radiowozy, karetki, wirujące niebiesko-czerwone światła.

To niemożliwe... A jednak... I jeszcze ten smród — jakby się coś paliło!

Tłum gapiów przed drzwiami tamtego hotelu. Worki na noszach.

Nie! To nie może być prawda!

Ale oczy mnie nie mylą.

Mój sen... właśnie się spełnia!

Wszystko dokładnie tak, jak widziałam. Ci sami ludzie — biznesmen w garniturze, kurier na skuterze, matka z wózkiem — wpatrzeni w scenę zbrodni.

Tylko ten smród jest czymś nowym. O co tu chodzi?

Z całej siły zamykam oczy, jakbym chciała zresetować umysł. Naprawdę widzę to, co widzę?

Tak... Ze wszystkimi szczegółami.

Otwieram oczy i wciąż stoję na rogu 68th Street i Madison, przed hotelem Falcon. Na litość boską... właśnie Falcon!

Chcę uciekać. Wiem, że powinnam stąd czmychnąć, póki jeszcze mogę. Zamiast tego sięgam po aparat.

Nie myśl, po prostu rób zdjęcia.

Ale wciąż myślę.

Jak oszalała pstrykam raz za razem. Powtarzam sobie: nie, to nieprawda... To niemożliwe. Jednak im dłużej o tym myślę, tym bardziej wierzę, że zdjęcia mogą mi się przydać.

Muszę mieć jakiś dowód.

Ta sama silna powracająca fala, jak we śnie, ciągnie mnie do hotelu. Poddaję się jej. Spoglądam w górę, na ceglane mury i widzę babę w papilotach, gryzącą kawałek bułki.

Pstryk, pstryk, pstryk.

Serce mi wali, wali, wali, jakbym gdzieś w piersi miała wielki bęben.

Patrzę na dłonie. Potem na ręce. Na całym ciele mam wysypkę. Może pokrzywkę?

Nagle moje serce zamiera. Z hotelu wynoszą ostatnie ciało. Wiem, że to dla mnie ostatnia szansa, aby stąd uciec.

Nie uciekam.

Stoję jak wryta, z aparatem wycelowanym w cztery worki spoczywające na chodniku. Z trudem wciągam powietrze w płuca, zachłystując się własnym strachem. Zaraz przegapię najważniejszy moment...

Bo przecież wiem, co się teraz stanie.

— Na pomoc! — krzyczę.

Nie muszę czekać na pojawienie się zakrwawionej dłoni. Sama myśl o tym mi wystarczy. Dość już widziałam. Puszczam aparat i gorączkowo macham w stronę tłumu.

— Na pomoc! — krzyczę, tym razem głośniej. — Błagam, na pomoc!

Trzęsę się, płaczę i lzy jak groch płyną mi po policzkach. Dreszcze, wysypka — jest coraz gorzej. Już nie wytrzymam.

— Błagam, niech ktoś mnie wysłucha...

I nagle ktoś zwraca na mnie uwagę.

Rozdział 6

Z początku widzę jego oczy, ciemne, uparte i nieruchome, wpatrzone we mnie.

Ubrany w szarą marynarkę, nic szczególnego, nie zapiętą, do tego luźny krawat w żółto-czerwone prążki. U pasa jakaś starta odznaka. Czyżby funkcjonariusz nowojorskiej policji?

Miarowym, niemal powolnym krokiem wychodzi z tłumu i zmierza w moim kierunku. Wciąż patrzy mi prosto w oczy. Chyba usłyszał, że krzyczałam. Czuję woń płynu po goleniu... i papierosów.

— Och, dzięki Bogu... — mówię i z ulgą przykładam rękę do piersi. — Jest pan z policji?

— Tak, jestem detektywem.

Wskazuję palcem na hotel.

— Szybko, niech pan coś zrobi!

Spogląda na mnie tak jakoś dziwnie, potem przez chwilę patrzy za siebie.

— Nie zrozumiałem... Co mam zrobić?

Wyciągam palec jeszcze dalej, w kierunku worków — i jąkam się przy każdym słowie.

— Suwak... tam... w tym... — Biorę głęboki oddech i krzyczę:
— W ostatnim worku ktoś nadal żyje!

Detektyw znowu patrzy na hotel. Przez jego twardą, męską twarz przemyka jakby cień uśmiechu. Ma w sobie coś niepokojącego.

— Zapewniam panią, że to tylko zwłoki. Wszyscy nie żyją.

— Niech pan sprawdzi! Potrząsa głową.

— Nie zrobię tego. Słyszała pani, co powiedziałem?

— Och... Nic pan nie rozumie. Za chwilę suwak w tamtym worku...

Przerywam. Wyhamuj, Kris. Ani słowa więcej!

W myślach kończę urwane zdanie i nagle uświadamiam sobie, że to naprawdę brzmi strasznie głupio. Ukradkiem zerkam na ostatni worek. Leży bez ruchu. Z powrotem patrzę na detektywa. Chcę opowiedzieć mu o swoim śnie. Chcę, żeby w końcu mi uwierzył.

Ale nie mogę tego zrobić.

— Przepraszam — mówię zbolalym głosem i przekładam aparat do drugiej ręki, żeby go schować do torebki. — Nie wiem, co mi się stało. To takie straszne.

— Cztery morderstwa — odpowiada. — Naprawdę straszne.

Czuję, że nadal na mnie patrzy, kiedy niezdarnie usiłuję włożyć zaślepkę na obiektyw. Odwracam się i odchodzę, chyba najszybciej, jak potrafię. Bez żadnego słowa. Bez pożegnania ani przeprosin. Bravo, Kristin. Właśnie zrobiłaś z siebie idiotkę.

Pamiętny ranek.

Cztery trupy.

Déjà vu?

Nieważne.

Część druga

Rozdział 7

Wysypka, czy jak ją tam nazwać, zupełnie znikła. Swąd spalenizny także. Dlaczego we śnie tego nie czułam?

Na szczęście nie umiem rozwodzić się nad przeszłością, więc już nie myślę o tym, co było albo czego nie było. Przed sobą widzę gmach Turnbullów przy Fifth Avenue, po drugiej stronie Central Parku.

Teraz wiem tylko to, że się spóźniłam i że dostanę solidny opieprz. Portier z porannej zmiany, Louis, spogląda na mnie z krzywym uśmiechem.

— Ho, ho... — mówi, powoli kręcąc niemal kompletnie łysą głową. — Ktoś ma kłopoty. Grunt to nie okazywać strachu, pan-no Kristin.

— Dzień dobry, Louis — rzucam przez ramię.

— Zaspała pani?

Gdyby tylko...

Wchodzę do windy i wciskam „PH”. Penthouse, totalny odjazd, Ritz.

Osiemnaście pięter później staję na marmurowej, czarno-białej posadzce dużego korytarza, rozdzielającego dwa apartamenty. Z kluczem w ręku skręcam w lewo, do drzwi Turnbullów. Słyszę echo swoich szybkich kroków.

Błagam, niech będzie w dobrym humorze...

Mała szansa.

Otwieram drzwi i widzę chudą postać Penley, stojącej za progiem. Bez względu na to, ile botoksu zużyła do wypełnienia zmarszczek, widać, że jest wkurzona.

— Spóźniłaś się — oznajmia głucho, niemal lodowatym tonem.

— Wiem. Przepraszam. Bardzo przepraszam.

— „Przepraszam” na mnie nie działa, Kristin. — Strąca jakiś kłaczek z supermodnych ciuchów do treningu. Prawie każdego ranka, tuż po moim przyjściu, chodzi do sali gimnastycznej. — Chcę na tobie polegać.

— Tak, wiem.

— Wcale nie jestem o tym taka przekonana. Wątpię, czy wiesz.

Patrzę na Penley „Ołówek” Turnbull i mam ochotę wrzasnąć tak głośno, żeby roztrzaskać jakiś kryształ, których jest całkiem sporo wokół. Jej zachowanie, protekcyjny ton, nawet niechęć do awantur — które są przecież taaakie pospolite — doprowadzają mnie do szału.

Penley krzyżuje ręce na piersiach. To jej postawa „najukochańszej mamy”. Bardziej macochy.

— Czy wciąż mogę na ciebie liczyć, Kristin?

— Tak, oczywiście.

— Świetnie. Cieszę się z naszej krótkiej rozmowy.

Odchodzi, ale nagle przystaje i niemal piruetem odwraca się w moją stronę. Ach, przypomniała sobie o dzieciach... Co prawda, nie jest ich prawdziwą matką. Tamta zginęła podczas strzelaniny, w tym samym roku, w którym przyszedł na świat Sean.

— Dakota i Sean są w kuchni, kończą śniadanie. Och, i pamiętaj, sprawdź dwa razy, czy mają wszystko, co potrzebne w

szkole. Nie chcę znów słyszeć, że czegoś zapomniały. To żenują-
ce.

Tak, Wasza Wysokość.

Wraca do siebie. Spoglądam za nią, a potem idę w kierunku
kuchni. Po paru krokach słyszę telefon. Odbieram w gabinecie.

— Słucham, rezydencja państwa Turnbullów.

— Szef jest w pobliżu?

To Michael.

— Nie — mówię półgłosem. — Właśnie minąłeś się z szefo-
wą.

— Spóźniłaś się?

— Tak.

— Była na ciebie wściekła?

— Po co pytasz?

— No właśnie... — mruczy. — Jak się trzymasz?

— Michael...

— Słucham?

— Już ci mówiłam, żebyś tu nie dzwonił.

— A kto powiedział, że zadzwoniłem właśnie do ciebie?

— Tak, oczywiście... Chcesz porozmawiać z Penley.

— Jak by nie było, jest moją żoną.

— Wiesz, o czym mówię. To ryzykowne.

— Wciąż ci powtarzam: Penley unika telefonów. Przecież od
tego ma właśnie ciebie.

W tej samej chwili słyszę za sobą:

— Kto to, Kristin?

Głos Penley.

Niemal połykam własny żołądek.

— Boże... Ale się przestraszyłam — szepczę bez tchu.

Penley nie zwraca na to uwagi.

— Jeszcze raz pytam, z kim rozmawiasz?

— Z nikim — bełkoczę.

— Jak to „z nikim”? — Spogląda na mnie karzącym wzrokiem. — Mam nadzieję, że to nie jest jakaś prywatna rozmowa. Wiesz, co myślę o takich rzeczach, kiedy akurat jesteś w pracy.

— Nie... To naprawdę nic prywatnego — zapewniam ją.

Tylko telefon od twojego męża.

— Więc z kim rozmawiasz? Szybko myślę.

— Zadzwoił facet z Lincoln Center. Pyta, czy nie chcesz kupić karnetów na nowy sezon operowy.

Penley przekrzywia głowę i patrzy na mnie podejrzliwie. Muszę grać dalej.

— Proszę. — Podaję jej słuchawkę. — Możesz z nim sama porozmawiać.

Penley, zaprzysiężona zwolenniczka diety makrobiotycznej, z niesmakiem patrzy na słuchawkę, jakby to było co najmniej twinkie [Twinkie — ciastko z nadzieniem waniliowym lub bananowym, popularne w całej Ameryce Północnej]. Gorzej: smażone twinkie. Nigdy nie chciała mieć nic wspólnego z „domokrążcami” — nawet z Lincoln Center.

Marszczy nos.

— Myślałam, że nas mają na liście osób, do których nie należy dzwonić.

— To prawda! — wołam, uszczęśliwiona, że mogę pozbyć się Michaela. Wiem, że przez cały czas pilnie słuchał. — Proszę nie dzwonić. Macie to w papierach — mówię do słuchawki.

Przez chwilę słyszę jego historyczny śmiech, potem przerywam połączenie.

Mój Michael Turnbull, prawie ideał, od zawsze lubi takie jazdy. A jeszcze bardziej się nakręca, kiedy pociągnie mnie za sobą.

Rozdział 8

Kocham Dakotę i Seana. Jak można ich nie kochać? Taki napis kazałam wydrukować na koszulkach, które im dałam na mignoną Gwiazdkę. Bo tak się składa, że to szczerza prawda. Żal mi dzieciaków, choćby dlatego, że ich macocha jest nieczułą jędzą.

Zjeżdżamy windą w dół, na parter. Sean pytająco patrzy na mnie wielkimi niebieskimi oczami. Właśnie skończył pięć lat, więc wszystko, dosłownie wszystko jest dla niego jedną ogromną zagadką.

— Ile pani ma lat, panno Kristin? — pyta.

Jego siostra, Dakota, siedmioletnia, lecz o manierach siedemnastolatki, natychmiast robi marsową minę.

— Głupku, nie wolno pytać kobiet o takie rzeczy!

— Nic nie szkodzi, kochanie. Sean może mnie pytać o wszystko. — Uśmiecham się do niego na pocieszenie. — Dwa-dzieścia sześć.

Sean kilka razy mruga dziecięcymi oczami, jakby musiał dokładnie przetrwać to, co usłyszał.

— Jest pani strasznie stara, prawda?

Dakota wali się dłonią w czoło.

— O, mój brachu! Całkiem poważnie mówię: brachu!

Wybucham śmiechem — często się śmieję, kiedy jesteśmy tylko we trójkę. Najczęściej podczas codziennych wypraw do ekskluzywnej Preston Academy, czyli cytując „New York Magazine”: „Szkoly dla nieznośnych bachorów z Upper East Side, do której trudniej wejść niż do Fort Knox” [Fort Knox — drugi co do wielkości skarbiec w Stanach Zjednoczonych, w którym przechowywane są m.in. rezerwy złota].

— Dlaczego dzieci chodzą do szkoły, panno Kristin? — pyta zupełnie niespieszony Sean.

— To bardzo proste. Muszą się uczyć, żeby poznawać rozmaite rzeczy. Kiedy dorosną, będą tak mądre jak ich rodzice — odpowiadam. — Prawda, Dakoto?

— Chyba tak. — Wzrusza ramionami. Sean ponownie mruga oczami.

— Pani jest mądra, panno Kristin?

— Tak mi się zdaje — mówię.

Lecz w takich chwilach zaczynam w sobie wątpić. Cholernie lubię te dzieciaki i na pewno nie chcę ich skrzywdzić. Ale wciąż jestem kochanką ich ojca. Dlaczego?

Znam powód.

Nic na to nie poradzę.

Michael jest cudowny i mnie kocha, a ja Kocham go tak bardzo, jak oboje Kochamy Dakotę i Seana.

Macocho Penley traktuje dzieci niczym modny dodatek do kreacji, coś w rodzaju torebki marki Hermes lub Chanel. Nie poświęca im tyle czasu, ile powinna. W jej rozkładzie zajęć zajmują nie więcej miejsca niż prozione herbatki i spotkania komisji muzealnych.

Nie znoszę określenia „burzycielka małżeńskiego szczęścia”. Gdybym myślała, że coś burzę, chyba natychmiast bym odeszła.

Ale zbyt wiele czasu spędzam u Turnbullów, żeby nie widzieć, co się dzieje.

Może powinnam być mądrzejsza, lecz w głębi serca jestem przekonana, że nasza czwórka — Dakota, Sean, Michael i ja — zostanie razem.

Tak będzie.

Wkrótce.

Rozdział 9

Wysiadamy z windy. Louis wita nas szerokim uśmiechem.

— Co to? Trzej muszkietierowie? — woła.

Sięga do boku, żeby wyjąć z pochwy niewidzialną szpadę. Sean natychmiast dobywa swojej. Ich udawany pojedynek jak co dzień trwa do końca holu.

Zawsze lubiłam na nich patrzeć. Zwłaszcza teraz. Po dzisiejszym ranku ten rytuał jest dla mnie powrotem do normalności — czyli tym, czego teraz najbardziej potrzebuję.

Śmieję się, kiedy Louis udaje, że jest śmiertelnie ranny. Niczym najlepszy aktor tanich filmów osuwa się na kolana i umiera powolną, bolesną śmiercią.

Może to właśnie przez tę scenę?

A może przez to, że wyszliśmy z domu?

Tak czy inaczej, gdy tylko staję na ulicy, znów widzę w myślach hotel Falcon i wraca do mnie tamten sen — straszliwy koszmar...

Prześladuje mnie upiorna wizja. Wszystkie obrazy są wyraźne i to pogłębia mój niepokój. Nowojorczycy bardziej niż inni nie

lubią niewytłumaczalnych zjawisk. Ta zasada obowiązuje także przyjezdnych. Takich jak ja.

— Wszystko w porządku, panno Kristin?

Tym razem to nie Sean, tylko Dakota. Nie dość, że jest niebywale mądra jak na swój wiek, to jeszcze umie czytać w myślach.

— Ależ tak, kochanie. Dlaczego pytasz?

— Bo dziś pani nas ściska mocniej niż zwykle.

Patrzę w dół — i rzeczywiście, widzę swoje pobielające palce, zaciśnięte na jej małej rączce. To samo po stronie Seana.

— Przepraszam. — Rozluźniam uścisk. — Tak mi z wami dobrze, że nie chcę was puścić.

— Dla mnie to okej — cieszy się Sean.

Idziemy dalej, a ja wciąż usiłuję wyrzucić ze swego umysłu wszelkie złe wspomnienia. To prawie niemożliwe. Mija nas karetka, jadąca na sygnale. I znów to widzę. Worki na zwłoki, suwak...

Zakrwawiona kobieca ręka.

— Znowu, panno Kristin! — woła Dakota, próbując uwolnić swoje palce.

— Tak — dopowiada Sean. — Jest pani jak mój G.I. Joe z uchwytom kung-fu.

Po kilku minutach dochodzimy do rogu Madison i 74th Street, pod imponującą żelazną bramę Preston Academy. Kucam, żeby pocałować dzieciaki na do widzenia.

— Życzę wam wspaniałego dnia, aniołki.

— My pani też, panno Kristin — świergocze Sean. — Wspaniałego dnia.

Dakota patrzy mi prosto w oczy.

— Na pewno nic pani nie dolega?

— Na pewno — odpowiadam.

Oczywiście to nieprawda.

Mrugam do nich, a oni mrugają do mnie. Też potrafią to nie-
źle robić.

Stoję i patrzę, jak wbiegają po szerokich schodach. Są już
wśród kolegów. Tyle w nich szczęścia i beztroski...

Tyle niewinności...

Rozdział 10

Dwa najjaśniejsze promyczki całej mojej pracy znikają za frontowymi drzwiami Preston Academy. Wracam do ciemności.

To znaczy do Penley.

Do niej i do tego, co lubi nazywać „minigospodarzeniem” lub czasem „posługą”.

Kiedy dzieci są w szkole, Penley mnie zatrudnia do... hm... lżejszych robót. Powiedzmy, że kobieta ma niezły ogień w dupie. Tydzień temu kazała mi iść do spiżarni i ustawić konserwy według alfabetu.

Cięższe prace — takie jak zmiana pościeli, pranie, prasowanie i sprzątanie kibla — należą do Marii. Maria przychodzi dwa razy w tygodniu. Jest po prostu wspaniała. Pochodzi z Meksyku, dokładnie z Morelii, haruje do upadłego i ciągle się uśmiecha. Nie wiem, jak wytrzymuje ciągle docinki Penley. Być może za mało rozumie po angielsku.

Za to ja doskonale wyłapuję wszystkie drobne złośliwości, którymi codziennie karmi mnie szefowa.

Chyba więc nic dziwnego, że nigdy się nie spieszę z powrotem pod jej skrzydła. Dzisiaj jest tak samo. Próbuję więc myśleć o

tym, co się stało, a może nie stało... Myślę więc o czymś innym.

Bez pośpiechu idę Madison Avenue. Światło jest znakomite, aż znów mam ochotę trochę popstrykać. Wyjmuję aparat i niemal natychmiast czuję dreszcz podniecenia.

Odsłaniam obiektyw i całkiem mimo woli myślę o Michaelu. Kiedy mnie nie namawia na kupno mieszkania, to chce mi pomóc w karierze. Może własna galeria albo poważna sesja dla znanej gazety?

Nic z tego. Nigdy mu na to nie pozwolę.

Muszę coś robić sama, choćbym w życiu ledwo wiązała koniec z końcem. To znaczy, nie jestem głupia — pozwalam Michaelowi postawić mi kolację lub kupić jakiś drobiazg. Ale broń Boże, nie chcę mieć długu wdzięczności. Podświadomie czuję, że Michael też tego nie chce, chociaż nic nie mówi. Za to także go Kocham. Kocham, Kocham, Kocham.

Szukam najlepszych ujęć do przyszłego portfolio. Jeżeli coś zobaczę, to natychmiast pstrykam. Zwłaszcza dzisiaj... Tak! Dzisiaj mam szczęście.

W dole ulicy widzę faceta w jarmułce, myjącego frontowe okno jakiejś restauracji. Jego skwaszona mina odbija się w mokrej szybie tak wyraźnie jak w lustrze.

Fantastyczny, podwójny obraz robotniczych łęków. Robię zdjęcia pod różnym kątem, wzdychając ze współczucia.

Potem mijam kobietę palącą papierosa przez sklepem z galanterią skórzaną marki Coach. Zapewne ekspedientka na chwilowej przerwie. Przygarbiona sylwetka i puste spojrzenie mówią same za siebie. Szybko pstrykam dwie fotki: kobiety i jej cienia.

Uśmiecham się w duchu. To naprawdę dobre!

Tak dobre, że nie patrzę, dokąd dalej idę.

Nagle wraca mi rozum. Jestem pół przecznicy od hotelu Falcon.

Niewiele brakowało... — myślę. Przecież to nawet gorsze niż powrót do pracy. Zwłaszcza że hotel Falcon znam jakby... od podszewki. Delikatnie mówiąc.

Dlaczego wciąż tu stoję?

Wystarczy, że się odwrócę i po paru krokach skręcę w Fifth Avenue. Bułka z masłem.

A jednak tego nie robię. Znow coś mnie tutaj trzyma i nie pozwala odejść.

Zgłupiałaś, Kristin?

Nie. Jestem najmądrzejszą kobietą na świecie. I dlatego to wszystko jest tak strasznie dziwne.

Nie mam pojęcia, co mnie ciągnie do tego hotelu.

Co się tu dzisiaj stało?

Nie wiesz, prawda? Nie wiem.

Muszę obejrzeć dziennik. Muszę wywołać zdjęcia. Ale najpierw powinnam zrobić coś ważniejszego.

Muszę stąd odejść.

Odwracam się i odchodzę.

Widzicie? Nic się nie stało.

Rozdział 11

Parę minut po piątej nareszcie jestem w domu.

Powinnam być zmęczona. Na polecenie Penley wypolero-
wałam aż szesnaście kompletów srebrnych sztućców. W każdym
z nich były nie jeden, nie dwa, ale trzy różne widelce do sałatki.
Na litość boską, trzy!

Penley zerknęła mi przez ramię, czy nie została jakaś plamka.
Miałam ochotę naszpikować ją tymi widelcami.

Dobre — jak zwykle — było tylko to, że potem poszłam po
Dakotę i Seana. Po szkole wybraliśmy się do Central Parku i
przez godzinę ganiałiśmy po Sheep Meadow, bawiąc się w berka
i chowanego.

Mówię: powinnam być zmęczona.

Ale nie jestem. Chyba za bardzo się dziś nakręciłam, więc nie
ma mowy o zmęczeniu. Chcę wiedzieć, co się stało rano w hotelu
Falcon. Muszę wyjaśnić tę zagadkę.

Odkładam plecak, zrzucam buty, biorę z lodówki vitamin wa-
ter o smaku mango i brzoskwini. To mój ulubiony. Na koniec
włączam telewizor i łapię pierwszy z brzegu dziennik „Live at
Five”.

— Dobry wieczór państwu. Serwis informacyjny... — zaczyna

starannie uczesany spiker. Boże, ma fryz, jakby siedział w helmie!

Chwilę później widać jego koleżankę. Na zmianę podają „wiadomości dnia”. Flatbush, Brooklyn: potężna awaria kanalizacji. Jeszcze jedno zabójstwo w Queens. Na Wall Street taksówka wjechała na chodnik i przewróciła stragan z hot dogami. Sprzedawca się ostro wkurzył.

Ani słowa o Falcon.

Jak to możliwe?

Skoro taksówka wśród hot dogów trafiła do dziennika, to co mówić o czterech trupach w samym centrum miasta?

A może to już nie jest takie istotne wydarzenie? News poszedł gdzieś w południe i mamy go z głowy. Są inne powody, żeby się rozczulać. Przecież to wielkie miasto. Mnóstwo krzywdy i bólu.

Przerzuciłam program.

Nowa para spikerów, z tym samym rezultatem, nic a nic o tragedii po tytule Falcon. Może to przegapiłam, bo poszło na początku?

A może to wyłącznie produkt mojej wyobraźni? Coś tu wyraźnie nie gra...

Sen był na pewno snem. Co zatem widziałam po drodze do pracy? Wymyśliłam to sobie? Czy miałam do czynienia z fizyczną manifestacją wewnętrznych niepokojów, jak by powiedział mój eksterapeuta, niejaki doktor Corey? Tak, tak... A w wolnych chwilach jestem Gwyneth Paltrow!

Dobrze wiem, co widziałam. Wiem, co się dzisiaj stało. Byłam tam! Ktoś ma wątpliwości? Zaraz pokażę dowód.

Odrywam wzrok od ekranu i sięgam po swój plecak. Szybko wydaję aparat i kilka rolek filmu zużytych dzisiaj rano.

Pora skoczyć do ciemni.

Część trzecia

Rozdział 12

To jest moja tajna kryjówka gdzieś z dala od domu — tak właśnie myślę o ciemni. Nieważne, że znajduje się w mieszkaniu. Nieważne, że w garderobie, ciasnej jak pudełko.

Wchodzę, zamykam drzwi i biorę długi, głęboki, uspokajający oddech. Witaj, mroku, mój stary przyjacielu.

Może to trochę dziwne, że po tak ciężkim dniu szukam wytchnienia w klaustrofobicznej norze o ścianach z czarnego korka, bez okien, oświetlonej siedmiowatową żarówką.

Ale właśnie dlatego wykopałam tę norę.

To moja ciemnia.

Mój azyl.

Po pierwsze, lubię wywoływać zdjęcia — można mnie nazwać osobą staroświecką... albo nie, raczej purystką. Dodatkowo kocham to wspaniałe uczucie, że tu, w ciemni, jestem odcięta od świata. Wszystkie problemy won! Wynocha!

Tylko ja i moje zdjęcia.

No dobra, dobra... do roboty. Najlepiej mieć to już za sobą. Zobaczmy, co z tego wyszło.

Gaszę światło i po ciemku przekładam filmy do koreksów. Rzecz jasna, wszystko po omacku, ale robiłam to dziesiątki razy. Nawet nie muszę się namyślać.

Wreszcie zamykam ostatni koreks i mogę zapalić lampkę. Błyska słabiutka czerwona żarówka.

Pora na zupeę.

Kolejno wlewam magiczne składniki. Na sam początek idzie wywoływacz, a potem woda z odrobiną kwasu octowego. Wreszcie utrwalacz.

Gdybym umiała tak gotować, jak umiem wywoływać zdjęcia!

Nadchodzi moment niepokoju. Znowu serce tłucze mi się w piersiach. To samo Jest za każdym razem, a co dopiero przy tych fotkach...

Przecież to moja pierwsza szansa, żeby zobaczyć, co mi wyszło.

Jeśli w ogóle coś wyszło, prawda?

Pochyliam się, jakbym chciała wchłonąć te całe siedem watów z mojej lampki. Na samą myśl, że zaraz mam klatka po klatce obejrzyć trupy pod hotelem, robi mi się trochę nieswojo. Ale to jeszcze nic w porównaniu ze strasznym podejrzeniem, że na zdjęciach nic nie ma.

Z dwojga złego wolę, żeby jednak było. Już lepsza straszna rzeczywistość od całkowitej pustki.

Mrużąc oczy, patrzę na negatyw. Zaczynam rozróżniać szczegóły. Tak, widziałam tę scenę... Nic się nie zmieniło!

Oddycham z ogromną ulgą. Nawet nie przypuszczałam, że tak mnie to poruszy. Przyglądam się zdjęciom.

Chyba są jakieś dziwne.

Tajemnica trwa nadal, nawet głębsza niż przedtem.

No i znowu coś śmierdzi, jakby się paliło.

Rozdział 13

Natychmiast kąpię negatywy w zimnej wodzie. Gapię się na nie z bardzo bliska, aż moczę sobie czubek nosa.

Nie wiem, co mi w nich nie pasuje, ale na pewno coś jest nie tak. Wyraźnie czuję swąd spalenizny. Patrzę na ręce... jeszcze nie mam bąbli.

Coś się tam dzieje na negatywie, wśród czarno-białych plam i szarości. Co to za efekt?

Co, do diabła?

Wyciągam film z wody, biorę lupę i przyciskam do niej oko.

Patrzę na pierwsze zdjęcie, potem drugie... Robię to coraz szybciej, bardziej niecierpliwie. Spojrzeć... przesunąć... spojrzeć... przesunąć.

Wreszcie już chyba wiem, co się dzieje. Albo przynajmniej gdzie mam patrzeć.

Na cztery worki.

Wydają mi się jakieś... przejrzyste. Jak to możliwe? Jakbym widziała nie tylko worki, ale coś więcej — coś, co jest za nimi.

Tak, wiem, negatyw też jest przezroczysty, ale tym razem nie

o to chodzi. Mam wrażenie, że każdy worek otacza jakaś dziwna mgiełka. Niby go widać, ale niewyraźnie.

Tak coś pomiędzy.

Dziwne.

Ale możliwe, prawda? Zachłannie szukam wyjaśnienia. Może podwójna ekspozycja? Światło odbite od żelaznych noszy? Plastik, z którego robią worki? W ciągu dosłownie kilku sekund mam już dziesiątki odpowiedzi, na swój sposób całkiem logicznych.

Żadna nie trafia mi do przekonania. Z żadną nie czuję się ciut lepiej.

Jeśli masz wątpliwości, idź na całość. Właśnie z tą myślą odkładam lupę i staję przy powiększalniku.

Jeszcze raz patrzę na negatyw. Wybieram duże zbliżenie, żeby się skupić na szczegółach.

Chwilę trwa, zanim dociera do mnie, co wybrałam. Oczywiście.

Przecież to ten ostatni worek! Ten, w którym suwak... Nie, wolę o tym nawet nie myśleć.

To był jedynie sen. A tu mam dowód. To dzieje się na moich oczach.

Przez moment walczę z oporną ramką, zanim ją wsunę do powiększalnika. Sprawdzam negatyw, czy na pewno włożyłam go emulsją na dół. Szczerze dziękuję za lustrzany obraz. Jeden syf wystarczy.

Pracuję szybko. Niecierpliwość dodaje ludziom motywacji. Tak samo strach. Jakiś czas potem jeszcze raz patrzę na ostatni worek, ale w formacie osiem na dziesięć. Wszystko jest większe, tak jak trzeba.

Kłopot w tym, że — na Boga! — w dalszym ciągu nie wiem, co się dzieje. Zrobiłam już niejedno zdjęcie, ale jak żyję, jeszcze nigdy nie oglądałam takiej transparencji.

Mam wrażenie, że dziś od rana trwa jakaś upiorna feta.
Wprost nienawidzę takich imprez!

Patrzę na zegarek. Prawie wpół do ósmej. Gdzie mi umknęło
tyle czasu?

Robię następne powiększenia. Może na którymś coś wreszcie
znajdę? Szczerze mówiąc, chcę się czymś zająć, żeby nie my-
śleć... hm... o przeszłości.

Ale to działa na krótką metę. Poddaję się już po godzinie.
Wychodzę z ciemni i krążę w kółko po pokoju.

Jeszcze za wcześnie, żeby iść do łóżka. Z pewnością nie zasnę.
Muszę stąd uciec!

Już wiem, dokąd zaraz pójdę.

Rozdział 14

Taksówka staje przed Old Homestead Steak House — tam, gdzie są wielkie fabryki konserw. I jakby tego było mało, żeby odstraszyć wegetarianów, nad wejściem wisi ogromna krowa. Bardzo subtelne.

I kto to mówi?

Jeśli istnieje jakiś spis rzeczy, których nie wolno robić ko-chance, to wiem, jak brzmi pierwsze przykazanie: „Nie pchaj się tam, gdzie twój facet rozmawia z ludźmi o interesach”.

Po chwili wchodzę do restauracji i mijam kierownika sali, jakbym wiedziała, dokąd idę. Rzecz jasna, nie wiem.

Mój wzrok pada na tłum przy barze i równie zatłoczoną salę. W głębi jest jeszcze jedna sala, tak samo wypełniona gośćmi. Na dobrą sprawę nic nie widzę poza kilkoma najbliższymi stolikami.

Wchodzę więc głębiej, żeby coś zobaczyć. W tej samej chwili uświadamiam sobie, że cały lokal — z tym ciemnym wnętrzem i skórzanymi fotelami, na pewno większy niż Lincoln Tunnel — jakkolwiek by patrzeć, jest dla facetów. Babek tu raczej mało.

— W czym mogę pani pomóc?

Odwracam się na dźwięk męskiego głosu. Tuż za mną stoi *maitre d'hotel*. Jak widać, nie dał się ominąć.

— Dziękuję, tylko kogoś szukam — odpowiadam.

— Jestem do usług.

— Nie, nie... W porządku.

Patrzy, jak jestem ubrana — dżinsy, czarna kurtka Elie Tahari i sweterek od Armaniego. Nieźle, ale nie w stylu „bizneswoman”.

— Znam wielu gości — mówi.

Świetnie rozumiem. To nie pytanie, tylko rozkaz.

— Dobrze, nazywa się Michael Turnbull — mruzcę. — Przychodzi tutaj dosyć często.

— Oczywiście. Proszę pójść za mną. Pan Turnbull z gośćmi siedzi w głębi sali.

Chwila wahania z mojej strony.

— Niech mu pan powie, że tu jestem, dobrze?

— Jak najbardziej. Pani...? No, na pewno nie jego żona.

— Kristin — odpowiadam. Zapada niezręczna cisza.

— Jestem... jego asystentką — bąkam i natychmiast tego żałuję.

Maitre d'hotel uśmiecha się wyrozumiale i znika w drugiej sali.

Och, świetnie, Kris! Lepiej weź tubę i krzycz przez nią: „Halo! Kochanka przyszła! Kochanka!”.

Wściekła na siebie czekam na Michaela. Mam nadzieję, że się nie wkurzy. Że będzie raczej zaskoczony.

Po chwili widzę, że ktoś idzie w moją stronę. To nie Michael.

Wraca *maitre d'hotel*.

Rozdział 15

— Co takiego?!

— Pan Turnbull zaprasza panią do stolika — powtarza mężczyzna.

Patrzę na niego z ukosa, tak że z trudem łapię równowagę.

— Jest pan pewny?

— Tak, jak najbardziej.

Po chwili idę na drugą salę. Wtem coś mi świta. No oczywiście... to cały Michael.

Wciąż pewny siebie. Opanowany.

Dlatego tak bardzo go kocham.

Jak tu się dziwić, że z powodzeniem prowadzi fundusz asekuracyjny. Umie pomniejszyć każde ryzyko.

— Och, jesteś! — woła.

Siedzą przy dużym okrągłym stole, ale od razu widać, kto dowodzi. Michael ze swoim zabójczym uśmiechem zwinnie podnosi się z fotela. Podchodzi do mnie z kieliszkiem w ręku i mruga w stronę kierownika sali, jakby mu mówił: „Przejmuję sprawę”.

Bo rzeczywiście tak się dzieje.

— Kristin... Przedstawiam ci moich przyjaciół z Banku Królowej Szwecji. — Michael odwraca się do stołu i obejmuje mnie ramieniem.

— Panowie! — mówi. — *Jag vill att ni alla möter min sekreterare*, Kristin.

Czuję, że lekko się rumienię, gdy jego goście — sami faceci, jeden w drugiego świński blondyn — zgodnie unoszą kieliszki wina. Nie wyglądają na bankierów, lecz na ósemkę ze sternikiem.

W dodatku już na lekkim rauszu.

Czekam, aż wrócą do rozmowy, i pochylam się w stronę Michaela.

— Co im przed chwilą powiedziałeś? — szepczę.

— Że jesteś moją słodką niewolnicą.

— Auć. Nie za blisko prawdy?

— Żartuję — mówi. — Przedstawiłem cię jako sekretarkę. Tak powiedziałaś szefowi sali.

— Przepraszam. Kiepsko mi poszło, prawda? A powiedziałam: „asystentka”.

— To i tak lepsze niż siostrzenica.

— Przez chwilę o tym pomyślałam.

Michael z uśmiechem kręci głową.

— Hej, mała... Jestem dopiero po czterdziestce, a nie po sześćdziesiątce.

— I chwała Bogu — odpowiadam.

Patrzę na niego, jak ze spokojem pije z kieliszka czerwone wino. Ręka mu nawet nie drgnie. Jest jak skała. Zdumiewające. Nie dość, że wcale się nie zdziwił, kiedy przerwałam mu spotkanie, to jeszcze zaprosił mnie do stolika, żeby przedstawić swoim klientom. Wszystkim dziewięciu.

Facet ma jaja.

To cały Michael.

— Czemu zawdzięczam tę niespodziankę, moja *madame secretary!* — pyta.

— Musiałam się z tobą zobaczyć — mówię. Na razie nic mu nie tłumaczę. Tutaj nie mogę. Szczerze, to nie wiem, od czego zacząć.

— Przecież mówiłem ci, że zadzwonię później.

— Tak. — Uśmiecham się nieznacznie. — Ale nie mogłam się doczekać — dyszę mu wprost do ucha.

— Oooh, to mi się podoba. Rachunek, proszę.

Milczę, bo Michael wraca do gości i znów zaczyna mówić po szwedzku. Nie łapię z tego ani słowa. Ale gdy skończył, wszyscy sięgnęli po długopisy.

Rozdział 16

— Co im tym razem nagadałeś? — pytam. Wychodzę za nim z drugiej sali.

— Powiem ci w samochodzie — rzuca przez ramię.

Jesteśmy już przed restauracją i Michael bierze mnie za rękę. Niemal w tej samej chwili odskakuje — i zaczyna krzyczeć. Ale nie na mnie. Na włóczęgę, który odlewa się pod ścianą.

— Ty gnoju! Chamie! Ty zboczeńcu!

Wali go w plecy, aż tamten biedak łąduje twarzą na ceglanej ścianie. Odwracam głowę. To jest jedyna cecha Michaela, której nie lubię — agresywność. Rzadko się wkurza, ale jak zacznie, lepiej uważać.

Odchodzę. Zaraz biegnie za mną i znowu łapie mnie za rękę.

— Przepraszam, Kris — szepcze po cichu. — Przepraszam, przepraszam, przepraszam.

Jego szofer, Vincent, czeka trochę dalej, w służbowej limuzynie. Na nasz widok otwiera tylne drzwi. Przedtem go nawet nie widziałam.

— Masz, Vin — mówi Michael, wręczając mu stówkę. — Kup mi paczkę strike'ow, dobrze?

Michael nie pali.

Vincent, olbrzymi facet, który wygląda tak, jakby przed chwilą zszedł z planu *Rodziny Soprano*, potakuje głową. To wszystko. Zamyka za nami drzwi i posłusznie odchodzi.

Siadamy na wygodnej skórzanej kanapie. Michael przyciemnia światło. Teraz jest dużo lepiej.

— Nareszcie sami... — wzdycha, głaszcząc mnie po włosach.
— Jeszcze raz strasznie cię przepraszam za moje zachowanie.

— Nic się nie stało. Czasami jesteś zbyt opiekuńczy. — Daję mu kuksańca w pierś. — No, dalej... Gadaj, co to za szopka z długopisami?

— Jak mówią, diabeł tkwi w szczegółach.

— To znaczy?

Michel rozpiną moją kurtkę i całuje mnie po szyi. Umie całować, łaskotać, pieścić...

— Powiedziałem im, że przyniosłaś kontrakt, którego nie podpisałem w biurze.

Wsuwa mi rękę pod sweterek i rozpiną stanik.

— Potem dodałem mimochodem, że chyba nie mam długopisu. Tak sobie wzięli to do serca, że nie poznali się na kłamstwie.

Powoli gładzi mnie po lewej piersi. Potrafi to robić. Po prostu ma niesamowity dotyk.

— Teraz już wiesz, na czym polega udane kłamstwo? Musisz iść odrobinę dalej. To są szczegóły, moja droga.

— Wariat z ciebie — mówię.

— Tak. Zwariowałem na twoim punkcie.

Michael opuszcza rękę niżej. Czuję, że rozpiną mi dzinsy. Już jestem mokra i napalona. Przestań. Zaczekaj. Przystopuj trochę.

— Michael, muszę ci coś powiedzieć...

Całuje mnie w połowie zdania. To bardzo długi i głęboki pocałunek. Bierze mnie na całego. Michael jest taki dobry... W jego objęciach czuję się bezpieczna. Bezpieczna — i zupełnie zdrowa na umyśle. Muszę to dodawać?

Kładziemy się na chłodnej i przyjemnej w dotyku kanapie. Michael ściąga mi dżinsy, a ja w zamian pomagam mu zdjąć spodnie. Jego ręka powoli wędruje po moich udach, brzuchu i po żebrach... Palce Michaela ledwie muskają moją skórę.

— Boże, jesteś cudowna — szepcze. — Tak słodka i miękka. Całkiem inna niż Penley.

Obejmuję go ciasno nogami i nie puszczam, dopóki nie odlece.

Kręci mi się w głowie. Czuję się cudownie i chcę, by to trwało wiecznie.

Na zawsze.

To nie jest sen.

Rozdział 17

— Co chciałaś mi powiedzieć? — pyta Michael, wkładając koszulę. — Co się stało? Mam nadzieję, że to coś dobrego. Zadzwonili z galerii?

Ale ja teraz nie mam ochoty na rozmowę. Prawdę mówiąc, to wszystko wydaje mi się głupie. Mam lekki zamęt w głowie — i jestem wypruta.

— Porozmawiamy jutro — mruczę. — Wracaj na kolację. Michael bierze mnie za rękę.

— Na pewno?

Kiwam głową.

— Długopis nie długopis, twoi goście na pewno zaczną coś podejrzewać.

— Albo się upiją.

Wybucham śmiechem. Michael też lekko się uśmiecha. Boże, ten jego uśmiech zupełnie mnie rozbraja.

Michael szybko wysłał wiadomość do Vincenta, żeby mnie odwiózł do domu. Chowa swojego BlackBerry i bierze się do wiązania krawata.

— Daj, pomogę ci — mówię.

Podnoszę mu kołnierzyk i poprawiam węzeł — zawsze podwójny windsor. Michael delikatnie gładzi mnie po szyi.

— Kocham cię. Wręcz uwielbiam. Dobrze o tym wiesz, prawda? — pyta.

— O czym?

— Przestań.

Patrzę na niego spod oka. To „spojrzenie”, którym karmię go ciągle od kilku miesięcy. Michael wie, co teraz nastąpi, i z fałszywym westchnieniem przewraca oczami.

— No, dalej... Powiedz to wreszcie, Kris.

Pewnie, że powiem.

Pochyłam się do niego i szepczę mu do ucha dwa magiczne słowa. Coś, co powinien absolutnie zrobić.

— Rzuć Penley.

Dla zachęty leciutko liżę go w ucho i dmucham. Michael ucieka jak mały chłopiec broniący się przed łąskotkami. To też w nim lubię — pewną wrażliwość.

— Pracuję nad tym — mówi z przekonaniem.

— Naprawdę?

— Tak. — Sięga do kieszeni. — A tu na razie masz mały prezent.

Wyjmuje wąski prostokątny przedmiot — z czerwonej skóry, z białą wstążką. Nie potrafię powstrzymać się od uśmiechu.

— Coś pan punktuje dzisiaj, panie Turnbull!

— Zawsze gram po to, żeby wygrać. — Wkłada mi pudełeczko w dłoń. — Nie, to nie długopis.

Bez wątpienia.

Z wolna uchylam eleganckie wieczko. Zawiaska stawia kuszący opór.

Przez chwilę gapię się z niedowierzaniem.

To bransoletka. Z brylantami i szafirami! Błyszczą tak mocno, że poświata kładzie się na moich rękach.

— Cudowna! — wołam.

— Tak jak ty — powiada Michael. — Załóż ją. Nie, czekaj... Ja to zrobię.

Delikatnie zatrząskuje sprzączkę. Nie potrafię oderwać wzroku od bransoletki. Po pierwsze, jest naprawdę piękna, a po drugie... przecież dostałam ją od niego!

— Podoba ci się? — pyta. Zaczyna mówić miękkim, cichym głosem. — Zawsze mam stracha, kiedy ci coś kupuję. Chcę, żebyś była ze mną szczęśliwa.

— Śliczna! Kocham cię!

— Dobra odpowiedź. Ściskam go, tulę i całuję.

— Dzięki, dzięki, dzięki!

— No, mrugnij do mnie, tak jak tylko ty potrafisz — prosi Michael.

Natychmiast mrugam.

— Ale musisz mi coś obiecać — mówi z uśmiechem.

— Co takiego?

— Nie będziesz chodzić w tym do pracy.

Rozdział 18

Patrzę na moją precudowną, olśniewającą bransoletkę. Vincent odwozi mnie do domu.

Cztery brylanty... dwa szafiry... cztery brylanty... dwa szafiry... Wokół przegubu. Pełne koło.

Wspaniale, Michael!

Na chwilę niemal zapominam o tym, co mnie do niego sprowadziło. Niemal. Ale i tak bardzo się cieszę, że tu przyszłam. Koszmary minionego dnia odchodzą gdzieś w daleką przeszłość. To znakomicie.

Samochód staje na czerwonym świetle i Vincent pyta, czy „tam, z tyłu” nie jest mi czasem za gorąco.

Patrzę na jego grubą szyję, zwłaszcza na poszarpaną bliznę, która wystaje zza kołnierzyka.

— Nie — odpowiadam. — Wszystko w porządku. Dziękuję, Vincent.

Odwoził mnie już kilka razy. Czasem coś powie, chociaż trudno to nazwać rozmową. Zawsze jest jednak dla mnie bardzo miły. Trochę to dziwne, że wielkie chłopy nigdy nie palą się do pogawędki.

Trudno to wyjaśnić, ale mam wobec niego jakieś nieśmiałe poczucie winy. Na pewno dobrze wie, co jest grane, więc w pewnym sensie uczestniczy w spisku.

Michael powtarza, że „ten duży” jest całkowicie godny zaufania. Chyba ma rację. Vincent już ponad dziewięć lat pracuje u niego jako szofer. Zjawił się dużo wcześniej ode mnie. Wcześniej od Penley.

A jednak czuję się nieswojo na myśl, że poznał naszą tajemnicę.

Dalej jedziemy już w milczeniu. Patrząc to w szybę, to na bransoletkę. Za oknem widać błyszczące światła, ludzi, budynki... Miasto ma w nocy hipnotyczny wygląd.

— Jesteśmy na miejscu, panno Burns.

Vincent jak zwykle wysiada pierwszy i przytrzymuje mi otwarte drzwi. Przy wysiadaniu łapię go za biceps i już po chwili staję na chodniku.

— Dziękuję — mówię.

— Proszę bardzo.

Vincent zamyka drzwi i odwraca się, żeby z powrotem wsiąść do samochodu. Czuję, że muszę coś powiedzieć, ale nie bardzo wiem, jak zacząć. Niezręczna sytuacja. Chciałabym rozładować napięcie. Wyjść poza zwykłe uprzejmości.

— Mogę cię o coś spytać, Vincent?

Patrzy na mnie.

— Tak, panno Burns?

Jąkam się, a potem odnajduję słowa.

— Lubisz swoją pracę?

— O, tak. Nawet bardzo — odpowiada. — Pan Turnbull jest dobrym szefem.

— Tego jestem zupełnie pewna. Chyba ci ufa. — Vincent kiwa głową. — Jesteś lojalny wobec niego, prawda? — pytam.

Chwila wahania. Vincent zastanawia się, do czego zmierzam.
Kłopot w tym, że ja też tego nie wiem.

— Bezgranicznie — mówi.

— To bardzo ważne.

— Tak, panno Burns. — Splata ręce. — Zrobię dla niego dosłownie wszystko.

— Dobra odpowiedź — stwierdzam.

Część czwarta

Rozdział 19

Zrywam się z łóżka w połowie krzyku, ale duszę go gdzieś w środku. Wcale nie spieszo mi do kolejnej awantury z kochaną panią Rosencrantz. Jestem spocona, a łzy ciurkiem płyną mi po policzkach. Ciągle to widzę.

Ten sen... był tak realny...

Dokładnie taki sam jak przedtem. Nie chcę w to wierzyć!

Jest nowy dzień, ale poza tym nic się nie zmieniło. Nawet muzyka wciąż ta sama. Znowu w głowie pobrzmiwa melodia, którą na pewno znam, lecz której nie kojarzę.

I znowu ostry swąd spalenizny. Tak jak w hotelu. Co tak śmierdzi?

Spuszczam nogi z łóżka i przecieram oczy. Czuję się biedna i nieszczęśliwa. Nawet widok nowej bransoletki, leżącej na nocnej szafce, nie poprawia mi humoru.

Owszem, miewałam już złe sny. I to dość często. Ale zwykle, takie jak u milionów ludzi. Że wyszłam nago na ulicę albo nie zdałam egzaminu. Ciągle się o tym czyta i słyszy.

Ten sen jest inny.

Mój prywatny koszmar. Hotel Falcon. Dlaczego właśnie tam, do diabła? Cztery trupy. Co to za ludzie i jak zginęli?

Patrzę na budzik. Dochodzi szósta. Zupełnie tak jak wczoraj. Jeśli chcę, mogę jeszcze trochę pospać. Akurat. Żeby znów mi się to przyśniło?

Wlokę się do łazienki. Niestety, robię podstawowy błąd, że patrzę w lustro. Auć. Gorzej niż wczoraj. Widzę twarz jak ze zdjęcia „przedtem” w reklamie liftingu.

Hop, hop... Na szczęście jest gorąca woda.

Odkręcam prysznic do końca i włączam wodoodporne radio marki Wet Tunes, żeby zagłuszyć melodię, która wciąż tłucze mi się po głowie. A może nawet ją zagrają i wreszcie dopasuję słowa?

Jakoś nie wierzę w taki nadmiar szczęścia.

Kąpiel rzeczywiście mi pomaga, więc przez chwilę stoję pod prysznicem. Odczuwam ulgę pod strumieniem wody, która wciąż leci mi na głowę. Nastawiam radio na młodzieżową stację WFUV z Fordham. Elvis Costello śpiewa *Alison*. Bardzo to lubię.

Po krótkiej chwili — tak jak myślałam — nie słyszę już nic poza tą piosenką.

Ale muzyka w końcu cichnie i jakiś facet czyta wiadomości.

Jak oparzona wyskakuję spod prysznica. Mogłabym przysiąc, że usłyszałam coś o tragedii w Falcon.

Ale nie to sprawia, że drzę jak liść, kiedy próbuję się wycierać.

Spiker nie podał wiadomości z wczoraj.

Powiedział, że to się zdarzyło dzisiaj.

Mija pół godziny. Co prawda Michael nie zadzwonił, lecz punktualnie wychodzę z domu. Dwa razy przekręcam klucz w zamku i...

— Panno Burns? Panno Burns?

Tylko nie to... Jeszcze za wcześnie na Złą Czarownicę. Odwracam się — jest dużo gorzej, niż myślałam. Obok pani

Rosencrantz stoi łysy starzec, wyższy od niej, chociaż sam ma z metr sześćdziesiąt.

— Drze się pani jak opętana! — wrzeszczy na mnie pani Rosencrantz. — Obudziła pani Herberta. Też to słyszał. Niech go pani spyta!

O nic nie pytam, tylko uciekam. Nawet nie czekam na windę. Biegnę schodami. Szybciej! Szybciej!

Rozdział 20

Poruszam się niewiarygodnie szybko, nawet jak na tutejsze normy. Tłum rozstępuje się przede mną. Jestem Mojżeszem Manhattanu.

Następny postój: hotel Falcon. Chyba ostatnie miejsce we wszechświecie, które chciałabym dziś odwiedzić. Wiem jednak, że muszę.

Jasne, taksówką byłabym tam szybciej. Tylko że nie chcę się wygłupiać, zamknięta w ciasnym wehikule.

Myślę o moim eksterapeuta. Tak, doktor Corey... Pewnie zapaliłby tę głupią fajkę i wygłosił kilka cennych porad. Na przykład taką: „Trzeba być twardym!”. Albo: „Walcz ze swoim strachem!”, ewentualnie: „Musisz wziąć życie w swoje ręce!”.

Wtedy myślałam, że to idiotyczny banał —jak psychiatra z fajką.

A jednak teraz jego słowa wyraźnie dźwięczały w moim umyśle. Co najdziwniejsze, pomagały.

Bezwiednie przyspieszyłam kroku. Jeszcze dosłownie parę przecznic...

Znowu poczułam, że coś mnie ciągnie. Dlaczego wracam do

tego miejsca? Na to pytanie akurat znam odpowiedź, ale zabiorę ją do grobu. To tajemnica hotelu Falcon.

Unoszę rękę i macam plecak tam, gdzie powinien być aparat. Wiem, że go wzięłam — zawsze to sprawdzam tuż przed wyjściem. Lecz strzeżonego...

Niemal przebiegam przez Park Avenue na rogu 68th Street. Gdzieś tam przede mną, za zakrętem Madison, jest ów nieszczęsny hotel Falcon.

Serce mi wali jak szalone. Na szyi czuję pulsujące żyły.

Dasz radę, Kris. Nikt poza tobą tego nie zrobi.

Do węgła mam już parę kroków. Czy słyszę gwar tłumu? Jęk syreny? Istnieje tylko jeden sposób, by to sprawdzić.

Lecz nagle moje nogi odmawiają posłuszeństwa.

Staję jak wryta, walcząc ze strachem i ciekawością. Boję się spojrzeć.

Nie bądź głupia!

Co prawda nie brzmi to jak mantra, którą słyszałam z ust Co-reya, ale przynosi pożądany skutek. Zaciskam pięści, biorę głębszy oddech, skręcam za róg i patrzę.

Zupełnie nic.

Widzę typową uliczną scenę z Nowego Jorku. Ludzie kręcą się przed hotelem, ciągle ktoś wchodzi i wychodzi, samochód staje pod markizą. Tak jakby nic tu się nie stało.

Ups. Czego się spodziewałam?

No cóż... musiałam się przesłyszeć. Przecież siedziałam pod prysznicem. Miałam za dużo wody w uszach.

Tak, tak... Na pewno.

Biorę aparat. Nie będą to najlepsze zdjęcia, ale najbardziej mi potrzebne. Widzisz, Kris? Jeszcze nie zwariowałam.

Najpierw zrobię serię fotek na zewnątrz, a potem wejdę do hotelu i spytam, co się wczoraj stało. Niedługo poznam całą prawdę. Dam sobie spokój z tymi głupotami.

Spoglądam w wizjer i nastawiam ostrość. Wciąż trzymam dłoń na obiektywie, kręcąc nim lekko w prawą stronę, kiedy ktoś bierze mnie za ramię.

Stoję bez ruchu.

Jak na zdjęciu.

Pstryk!

A potem — trach!

Aparat wypada mi z dłoni i ląduje na chodniku.

Rozdział 21

Szlag by to trafił! Podnoszę aparat z ziemi. Leica jest nadal w jednym kawałku, ale obiektyw diabli wzięli.

Odwracam się. Najpierw widzę oczy — tak samo czujne jak te wczoraj. Ten sam detektyw, chudy starszy facet, zalatujący płynem po goleniu i papierosami. Ta sama mina, która mówi: „Dobrze wiem, że coś przeskrobałaś”.

Wciąż ma na sobie szary garnitur, jakby od wczoraj się nie przebierał. Z trudem łapię oddech. Detektyw milczy — nawet nie powie: „Sorry, że panią przestraszyłem”. Jakby próbował powściągnąć uśmiech. Co cię tak bawi, ty palancie?

Już nie dbam o to, że się wygłupiłam.

— Zawsze pan straszy ludzi w ten sposób? — pytam ze złością. — Co to za podchody?

— Ani przez chwilę się nie skradałem — odpowiada.

Z wolna wyjmuję paczkę marlboro i wytrząsa z niej papierosa. Ma duże i sękaty dłonie. Nieźle się w życiu napracował.

— Zatem co panią tu sprowadza? — pyta, zapala papierosa i z przyjemnością zaciąga się dymem. — A może powinienem dodać: znowu?

Pytanie jest pozornie proste, zważywszy na to, co się stało. Ale wyczuwam w nim coś więcej. To nie rozmowa, tylko przesłuchanie.

— Idę do pracy — odpowiadam. — Tak jak codziennie. Prawie codziennie.

Wciąż patrzy na mnie i kącikiem ust wydmuchuje wąską smużkę dymu.

— Zapali pani? — Wyciąga paczkę.

— Nie, dziękuję.

— Na pewno?

— W ogóle nie palę — mówię.

— Ale paliła pani.

— Skąd ten pomysł?

— Widzę, jak pani patrzy na papierosa — odpowiada. — Łatwo wyczytać z twarzy pokusę, zwłaszcza rzeczy zakazanych. Jak pani wie, jestem detektywem. Z wydziału zabójstw.

Ma rację. Kiedyś paliłam. Ponad paczkę dziennie. To było zaraz po tym, jak przyjechałam do Nowego Jorku. Ale nie przyznam się do niczego. Nie sprawię mu tej przyjemności.

Znów się zaciąga. Spogląda na mnie.

— W tym mieście można umrzeć na różne sposoby. Jedna okazja mniej, jedna więcej...

Teraz mam dobrą szansę, żeby go zapytać, co się tutaj stało. Kim byli goście Falcon? Dlaczego zginęli? Ale coś mnie powstrzymuje. Facet najwyraźniej wciąga mnie do rozmowy. Ale po co? Nawet nie znałam tych ludzi.

— A pan czego tu wciąż szuka? — pytam w zamian.

Uśmiecha się. Całkiem po prostu. Wydaje mi się bardziej ludzki.

— Czasem przestępca jest na tyle głupi, że naprawdę wraca na miejsce zbrodni — mówi. — To dotyczy nie tylko mężczyzn. —

No i proszę, zaczyna się, myślę.

Detektyw nie daje za wygraną: — Nie dosłyszałem pani nazwiska.

— Pewnie dlatego, że go nie podałam.

Wyciąga notes i długopis z bocznej kieszeni marynarki.

— Możemy zacząć — mówi, gotowy do pisania.

— To przesłuchanie?

— Nie. Pytam panią o nazwisko.

— Kristin Burns — odpowiadam szybko. — A pan? Patrzy na mnie. Och, te oczy...

— Delmonico — mówi. — Detektyw Frank Delmonico.

Jeszcze raz wkłada rękę do kieszeni i podaje mi swoją wizytówkę. Z premedytacją nie patrzę na nią. Spoglądam na zegarek.

— Bardzo przepraszam, ale musimy kończyć — wzdycham — bo zaraz spóźnię się do pracy.

Brzmi to jak wykręt, i tak jest w istocie. Lecz pan detektyw nigdy nie zaznał złościwości niejakiej Penley „Ołówek” Turnbull. Muszę uciekać. W przeciwnym razie Frank Delmonico będzie potrzebny przy Fifth Avenue, żeby obejrzeć następne zwłoki. Tym razem moje.

— Obiecuję, że w wolnej chwili chętnie odpowiem na wszystkie pana pytania. Ale od razu mogę panu powiedzieć, że nic nie wiem. Gdzie się spotkamy?

Z trzaskiem zamyka notes.

— Niech pani nie kłopotuje tym swojej ślicznej główki — mówi. — Odnajdę panią. To żaden problem. — Salutuje mi jednym palcem. — Jak już wspomniałem, jestem detektywem. Z wydziału zabójstw.

Rozdział 22

Uf, uf, uf, uf...

Penley nie czeka na mnie za drzwiami. Drobną nagrodą za to, że sprintem pokonałam ostatnie kilkadziesiąt metrów Fifth Avenue. Jednak się nie spóźniłam.

Ale zanim zrobiłam dwa kroki w głąb mieszkania, dobiegł mnie słodki głos od strony kuchni:

— To ty, Kristin? Powiedz, że to ty.

— Dzień dobry, Penley — odpowiadam.

Akurat, dobry... Tak jak wczoraj. Najpierw powtórka nocnych koszmarów, potem rozmowa z detektywem, a w międzyczasie wypadek z aparatem. Taki obiektyw słono kosztuje. Wyjątkowo paskudny dzień. Jeden z najgorszych w moim życiu.

Przechodzę przez pluszowy salon pod kryształowym żyrandolem i pcham wahadłowe drzwi, wiodące do nieskazitelnie czystej, biało-stalowej kuchni. Penley siedzi przy kubku kawy.

Co?

Jest z Michaelem.

No tak... Ekstra.

Co prawda to nie pierwszy raz, kiedy widzimy się we trójkę, ale nie palę się do takich spotkań. Zwłaszcza teraz. Michael na pewno ma niezły ubaw.

Albo nie.

Zmęczonym ruchem unosi głowę znad „Wall Street Journal”. Przekrwione oczy, skołtunione szpakowate włosy i szlafrok zwisające z ramion. Kac jak cholera.

— Tylko nie podnoś głosu, Kristin — drwiąco szepcze Penley. — Chłopcy się wczoraj zabawili.

— Cieszcie się, że to byli Szwedzi, a nie Rosjanie — mruczy Michael zbolalym głosem. — Jeszcze bym konał w łóżku.

— Tak, tak... Strasznie się cieszymy — odpowiada Penley. Przewraca oczami i spogląda na mnie ze znaczącym uśmiechem, jakby nas łączyła babska tajemnica.

Błagam...

Michael musiał zdrowo posiedzieć ze Szwedami po naszym rozstaniu. Oj, długo to trwało... Raczej nie spóźnia się do pracy.

Ostatni raz widziałam go w podobnym stanie, kiedy Penley zabrała dzieciaki do Connecticut, do swoich rodziców. Michael został w mieście, zasłaniając się pracą. Wieczorem zrobiliśmy mały wypad na Brooklyn, zajęliśmy stolik z tyłu restauracji o nazwie Bonito i wypiliśmy równo trzy dzbanki sangrii. Ranek zastał nas z kacem wielkości Meksyku, w garsonierze, którą Baer Stevens trzyma w Central Park South.

Penley spogląda na Michaela.

— Nawet cię nie stać na krótkie „cześć” pod adresem Kristin?

— Cześć pod adresem Kristin — powtarza Michael, nie odrywając oczu od gazety.

Penley wali go pięścią w ramię, a ja próbuję się nie roześmiać. Kiedy tylko jesteśmy we trójkę, Michael po prostu mnie nie zauważa. Stał się prawdziwym mistrzem w tej rozgrywce. Jest taki dobry, że aż śmieszny.

Do tego sprytny.

Penley wciąż nie wie, że to podstęp. Udowadnia to sekundę później. Najpierw mi mówi, że Dakota i Sean są u siebie i ubierają się do szkoły. Potem odwraca się do Michaela, jakby coś sobie przypomniała.

— Hej, a może weźmiemy Kristin? — pyta i nie czekając na odpowiedź, spogląda na mnie. — Nigdy nie mówisz o narzeczo-
nym, więc pomyślałam, że jesteś wolna. Prawda, że jesteś? Dasz się namówić?

Niby do czego?

— Opowiadałam Michaelowi o takim jednym moim znajomym. Właśnie rzuciła go dziewczyna i jest zupełnie załamany. Myślę, że byłoby dla niego dobrze, gdyby znów zaczął się z kimś spotykać. Może się z nim umówisz, Kristin? Jest uroczy.

— To coś w rodzaju randki w ciemno? — pytam.

— Wszystko jedno.

Ukradkiem zerkam na Michaela, który ma mocno zdziwioną minę. Jego postawa „kim jest Kristin?” z wolna zaczyna się roz-
padać pod wpływem myśli, że mogę pójść na randkę z innym chłopakiem, i to w dodatku „uroczym”. Teraz, niestety, musi milczeć. Żadne z nas nic na to nie poradzi.

— No... nie wiem, Penley... — bąkam pod nosem.

Penley wzrusza ramionami.

— A co chcesz wiedzieć? Jesteś lesbijką? Wcale nie musisz się tego wstydzić. Jesteś? Możesz być ze mną szczerą, Kristin.

Zaniemówiłam ze zdumienia. Mogę jedynie pokręcić głową.

— Super! To załatwione! — radośnie woła Penley. — Ten chłopak ma na imię Stephen. Zaraz mu o tobie opowiem, a po-
tem wspólnie coś wymyślimy. Zobaczysz, że się nie zawiedziesz.

Jasne. Nie mogę się doczekać.

Rozdział 23

Penley wie, jak rozdzielać role.

Sama odchodzi przygotować listę gości na najbliższą imprezę dobroczynną. Tym razem — trzymajcie mnie — na rzecz Towarzystwa Dobrego Wychowania. Wciągnęła w to Dakotę i Seana. Biedne dzieci.

— A potem na trening.

Michael idzie wziąć prysznic, przebrać się — i wreszcie do roboty. Ja zaglądam do dzieci. Już pora na śniadanie.

— Dzień dobry, księżniczko. — Wsuwam głowę do różowokoronkowej sypialni Dakoty. Mała siedzi na łóżku pod baldachimem i czyta *The Trumpet of the Swan*.

Spogląda na mnie. Na jej buzi pojawia się radosny uśmiech.

— Dzień dobry, panno Kristin.

— W pełni gotowa? — pytam.

Dakota ze zmarszczonym czołem patrzy na swój mundurek Preston Academy. Ma na sobie zielono-niebieską plisowaną spódniczkę i prostą białą bluzkę. Nawet jej w tym ładnie, ale

widać, że jest niezadowolona. Chyba trudno się dziwić — szczególnie dziewczynce — że niechętnie chodzi codziennie w tym samym.

— Tak — wzdycha. — Gotowa.

— Zaczekaj na mnie w kuchni, dobrze? Teraz pójdę po Se-
ana.

Pokazuje mi książkę.

— Jeszcze tylko doczytam do końca tej strony.

Idę dalej. Cieszę się, że Dakota tak bardzo lubi czytać. Jestem pewna, że Sean wkrótce pójdzie w jej ślady, kiedy tylko nauczy się składać litery. W gruncie rzeczy czy może być coś lepszego dla dziecka? Chyba tylko miłość.

Po chwili docieram do drugiego pokoju. Sean siedzi na podłodze w morzu klocków lego. Miesiąc temu budował wyłącznie rakiety. Teraz — samochody, ale oczywiście „z nieziemskimi mocami”.

— A co ten potrafi? — pytam.

Sean odwraca się do mnie, promieniejąc ze szczęścia.

— Cześć, panno Kristin! — Na wyciągniętej ręczce pokazuje mi swoją najnowszą konstrukcję. — Ten strzela laserami i ma mnóstwo rakiet. Wszystko może rozwalić. I pływa pod wodą.

— Świetnie, Sean. — Ty także jesteś świetny, myślę.

— Aha, i robi też wspaniałe lody!

Oczywiście.

Przyglądam mu się uważnie, sprawdzam, czy jest dobrze ubrany. Ze zdziwieniem patrzę na jego bose stopy. To w Preston nie przejdzie.

— Gdzie masz skarpetki, Sean?

— Nie wiem. Nie mam pojęcia. Chciałem dziś włożyć Jimm-
y'ego Neutrona, ale mi gdzieś zginęły.

— Wiesz co? Myślę, że Maria je gdzieś zostawiła. Na przy-
kład w bielizniarce. Zaraz ich poszukam.

Idę aż na sam koniec wielkiego apartamentu, mijam garderobę i zapalam światło w obszernej bielizniarce, służącej także za pralnię. Oczywiście, skarpetki leżą na suszarce, ozdobione portretem Jimmy'ego Neutrona — bohatera kreskówki, którą można oglądać na dziecięcym kanale Nickelodeon. To chłopiec z dużą głową i zawadiacką grzywką.

Wyciągam po nie rękę i w tej samej chwili słyszę tuż przy uchu słowa wypowiedziane łobuzerskim szeptem:

— Chcesz się zapisać do klubu Maytag*?

* Jedna z najstarszych firm amerykańskich, produkująca pralki, zmywarki itp. W 2005 roku przejęta przez koncern Whirlpool.

Rozdział 24

Odwracam się i widzę przed sobą Michaela, uśmiechniętego od ucha do ucha. Patrzę na niego podejrzliwie.

— Klubu Maytag? — pytam.

— Nie zbierasz punktów za wylatane mile, tylko za ostre wirowanie.

— Bardzo śmieszne.

— Mówię zupełnie poważnie — odpowiada. Wciąż jest w szlafroku, tyle że bez paska. — Chcę cię tu i teraz.

Mój zdumiony wzrok mógłby posłużyć za wzór wszystkich zdumionych spojrzeń.

— Oczywiście. Jak wejdzie Penley, jakoś nas z tego wyłumaczysz.

Śmieje się.

— Przecież jesteśmy w pralni, Kris. Penley nie wejdzie tu za żadne skarby świata.

Pod tym względem ma rację. Jednak...

— Idź, weź prysznic — mówię, odpychając go od siebie. — I to najlepiej zimny, napaleńcu. Dzięki, że o mnie myślisz, ale...

Michael nie słucha. Bierze mnie w ramiona i leciutko całuje w szyję. Wie, że to lubię. Wciąż jestem twarda.

— Co z twoim kacem? — pytam.

— Nagle poczułem się dużo lepiej.

Zerkam w dół.

— Widzę.

Michael przyciąga mnie do siebie i pochyla się w moją stronę. Ma piękne, zmysłowe usta. Prawie nie można mu się oprzeć.

Jednak staram się jakoś trzymać.

— Przyznaj się, robisz to tylko dlatego, że jesteś zły na Penley, prawda? Trochę wkurzyła cię tym pomysłem ze Stephenem.

— Nie. — Odchyła głowę i patrzy mi prosto w oczy. — Wiem, że z nim nie pójdziesz.

— Kurczę, jesteś zazdrosny!

— No, może odrobinę... Penley to jednak straszna wiedźma. Podstępna, zakłamana i sadystyczna wiedźma.

Powoli gładzi mnie po brzuchu. Wkłada mi rękę w spodnie i wsuwa palce między uda.

Cholera... Lubię, kiedy twardziel ma jednak w sobie coś z człowieka.

Z wolna zaczynam się poddawać. Nigdy nie kochaliśmy się w jego mieszkaniu — nawet kiedy byliśmy sami.

— Michael... — Całuję go. — A dzieci?...

— Nic im nie będzie. Chyba że nas znajdą.

Źle robię... Wiem, że powinnam przestać. Ale tak mi dobrze... Penley na pewno tu nie wejdzie. Wsuwam rękę pod szlafrok Michaela i łapię go za przyrodzenie. Tak jakbym podpaliła lont. Robi się twardy i bardzo duży.

Michael chwyta mnie za ramiona i szybko odwraca tyłem. Ściąga mi spodnie, potem majtki.

Zaciskam palce na krawędzi pralki. Na gołych udach czuję chłód metalu. Dotyk Michaela — już tam w środku — przyprawia mnie o gęsią skórkę. Po paru pchnięciach mam wrażenie, że jeszcze chwila i wybuchnę.

— Gdzie pani jest, panno Kristin?

Cienki głos Seana dobiega z przedpokoju. Michael zastyga w bezruchu. Ja zresztą także.

— Znalazła pani Jimmy'ego Neutrona? — woła Sean.

— Powiedz mu, że zaraz przyjdiesz — szepcze Michael i powoli znów pompuje.

Czuję go na maksa. Głos mi więźnie w gardle. Sytuacja staje się naprawdę groźna — i podniecająca.

Zaraz odleczę.

Trzymam skarpetki w mocno zaciśniętej dłoni. Drzę jak w febrze.

— Panno Kristin? — To znowu Sean. — Jest tam pani?

Michael trzyma mnie za biodra i pcha coraz szybciej, coraz głębiej... Szarpię głowę, podkurczam stopy i nagle mam totalny odjazd.

— Idę!

Część piąta

Rozdział 25

Connie przewraca oczami i robi śmieszoną minę. Właśnie to jest mi teraz najbardziej potrzebne: śmiech.

— Do karty dań powinni dokładać latarkę!

— Albo wreszcie zapłacić rachunek za światło — żartuje Beth.

Wszystkie trzy wybuchamy śmiechem — tym bardziej że dobrze wiemy, dokąd nas zagnało. To nie jakiś skromny lokal z naszych przyzwyczajzeń, ale ultra modna, mroczna restauracja przy Bond Street. W samym centrum miasta, z najlepszą japońską kuchnią. Oczywiście najdroższą. Samo sake kosztuje dwadzieścia dolarów!

Unoszę ręce.

— *À propos* rachunków... Co my tu robimy?

— Powiedziałaś, że musisz się wyrwać na miasto — odpowiada Connie. — Chyba więc możemy puścić trochę kasy. Nic się nie martw, kochanie. Jesteś tego warta. A poza tym, jak dobrze wiesz, lada dzień, lada chwila trafisz do Abbott Show. Mamy co oblewać.

Przebiegam wzrokiem ceny — rzeczywiście kosmiczne. Patrzę na dziewczyny. Beth ciągle ma ambicję zostać znaną aktorką, a

Connie jest urzędniczką. Pracuje w Urzędzie Miasta w wydziale świadczeń rodzinnych. Puścimy trochę kasy...

— Jak Ołówek? — pyta Beth.

— Cienka i wredna, jak zawsze — odpowiadam.

— Dlaczego ona tak cię nie lubi, Kristin? Nie rozumiem. Jak można cię nie lubić?

— Obawiam się, że Penley nikogo nie lubi. Dobrze, że po dwóch latach przywykła do tego, kto się zajmuje dziećmi.

— Pewnie myśli, że piszesz dalszy ciąg *Niani w Nowym Jorku* — z uśmiechem wtrąca Connie.

Znowu chichoczemy.'

— Ale już na poważnie... Skoro jest taka wredna, to dlaczego po prostu nie rzucisz tej pracy? — pyta Beth. — Po co ci zła macocha?

— Dzieci — wzdycham. — Są takie kochane... Jestem im potrzebna.

Nie mówiąc o ojcu.

Beth i Connie nie wiedzą o moim romansie z Michaeliem. Chciałam im o tym opowiedzieć, ale jakoś nie wyszło. Po pierwsze, trochę się wstydzę, a po drugie, nie chcę słuchać uwag w rodzaju: „Uważaj, bo się sparzysz”. Nie chcę, bo się boję, że mogą mieć rację.

Michael jest tylko mój. Od czasu do czasu opowiadam dziewczynom o jakimś zmyślonym chłopaku. Zawsze ten sam scenariusz: obiecująca randka, kilka następnych spotkań i szybkie rozstanie. Beth i Connie bez słowa wierzą w mój brak szczęścia. To zresztą chleb powszedni dziewcząt na Manhattanie.

A może nie tylko tutaj? Prawdę mówiąc, w Bostonie nie miałam nikogo.

— Czym mogę paniom służyć? — pyta kelner.

Niemal się podkradł do nas. Od stóp do głów ubrany na czar-no.

Urządzamy niewielką ucztę. Wszystko jest wyśmienite. Przy-najmniej tak mi się zdaje. Po takiej liczbie drinków, jaką dziś wypilałam, moje kubki smakowe są trochę otępiałe.

No i mam szum w głowie.

Chyba wkrótce zapomnę o nocnych koszmarach, o dziwnych zdjęciach w ciemni i o poczuciu winy za to, co zrobiłam dziś ra-no z Michaelem.

— Dziewczyńny! — woła Connie. — Do rana jeszcze daleko, a my jesteśmy młode! Przecież to wieczór Kristin!

Po wyjściu z restauracji idziemy do Luna Lounge przy Lu-dlow Street na mały koncert zespołu o nazwie Johnny Cosine and the Tangents. Beth przeczytała o nim w „Village Voice”. Co za odpał! Czterech gości, którzy wyglądają tak, jakby się spotkali na kółku matematycznym. Mają ciuchy jak u kujonów, futerały na długopisy i śpiewają najgłupsze, najwspanialsze piosenki w rodzaju *Slide Rule Love* oraz *I Think You 're Acute*.

Wszystkie trzy tańczymy niemal do upadłego. Zanosimy się histerycznym śmiechem. Jest super. W taką noc człowiek uświadamia sobie, że Nowy Jork to jednak wyjątkowe miasto. Do diabła, jestem młoda i mam świetne przyjaciółki!

— Nie oglądaj się — mówi Beth, trącając mnie łokciem w że-bra. — Jakiś przystojny facet ciągle na ciebie patrzy.

Rozdział 26

Oczywiście natychmiast spoglądam za siebie. Jest. Siedzi przy barze i patrzy wprost na mnie.

Odruchowo odwracam głowę. W gruncie rzeczy nie chodzi mi nawet o niego. To po prostu zmęczenie ostatnimi dniami.

— Widzisz? — mówi Beth z figlarnym uśmiechem. Robi obrót, kołysząc rękami w takt muzyki. — Zostawiam was samych! Bierz go, Kristin. Pamiętaj, że to twój wieczór.

Patrzę na niego, a on na mnie. Jest nawet ładnie opalony, o wyrazistej twarzy i z długimi jasnymi włosami, zawiązanymi w kucyk. Może Europejczyk? Na przykład jakiś Francuz. Ale równie dobrze może mieszkać w SoHo. Albo w Portlandzie, w stanie Oregon. Dzisiaj to trudno wyczuć.

W każdym razie nie w moim typie, cokolwiek to znaczy.

Ale popatrzeć można. Przecież go nie uwodzę.

Czekam, aż coś zrobi — uśmiechnie się, pomacha albo skinie głową.

Nic.

Siedzi i patrzy na mnie. Nawet nie wiem, czy mruga. Co jest, do licha, grane?

Gasną lampy wokół parkietu. Zespół gra nową melodię — tym

razem szybko, w stylu disco. Snop światła pada na lustrzaną kulę pod sufitem. Sala wiruje.

Wyteżam wzrok, żeby coś zobaczyć wśród migoczących błysków. Facet z kucykiem wciąż tam siedzi. Wciąż patrzy na mnie.

Zostaw go.

Odwracam się i podchodzę do Beth i Connie. Tworzymy trójkąt. Wokół nas robi się coraz ciasniej, bo nowi ludzie wchodzą na parkiet. Straszny ścisk. Czuję, jak podłoga ugina mi się pod stopami.

Siedzi tam jeszcze?

Nie patrz.

Muszę to wiedzieć. Jestem już trochę podpita.

Pochylam się, próbuję przekrzyczeć muzykę. Wołam do Beth i Connie:

— Pamiętacie tego przy barze?... Jest tam jeszcze?

— Gdzie? — pyta Connie, wyciągając szyję.

— Nikogo nie widzę — odpowiada Beth.

Spoglądam przez ramię. Rzeczywiście, został po nim jedynie pusty stół.

Jak dla mnie świetnie. Wręcz znakomicie.

— Tańczymy! — wołam do dziewczyn. — To mój wieczór!

Rozdział 27

Dwadzieścia sekund później widzę swojego „adoratora”, jak z wolna idzie w naszą stronę. Przepycha się przez tłum tańczących. Ma na sobie czarny garnitur i białą koszulę z rozpiętym kołnierzykiem.

Korci mnie, żeby do niego mrugnąć. Tak delikatnie... Ale tego nie robię.

— Beth? Connie? — wołam.

Chyba mnie nie słyszą. Pochłonięte muzyką w ogóle nie widzą, że przestałam tańczyć.

Facet podchodzi bliżej. Może to pod wpływem nadmiaru dziwnych przeżyć, ale wyraźnie czuję, że skóra mi cierpnie.

— Beth! Connie! — krzyczę.

Ale muzyka mnie zagłusza.

Ostry błysk światła pada mi prosto w oczy. Jakby ktoś strzelił fleszem milion razy. Robi się gorzej, bo nic nie widzę, a wiem, że facet się do mnie zbliża.

Tam jest!

Niecałe cztery metry ode mnie.

Czego chce?

Staje na samym środku parkietu. Wygląda na to, że w całym klubie tylko my dwoje się nie poruszamy.

Chłopak już nie ma pustego wzroku. Spogląda na mnie z lekkim uśmiechem. Sprawia wrażenie, jakby mnie poznał albo przynajmniej wiedział, kim jestem. Chyba nie znalazł się tu przypadkiem? Jest detektywem? Może pomaga temu chudemu? Tak, to rozsądne wytłumaczenie...

Podchodzi bliżej i się zatrzymuje... Teraz stoi mniej niż metr ode mnie.

— Patrzyłeś na mnie — mówię.

— To prawda. Jesteś bardzo ładna. Chyba wiesz o tym?

Wiem. W pewnym sensie. Zwykle nie robię się na bóstwo, ale tym razem trochę zaszalałam, bo przy dziewczynach czułam się bezpiecznie.

Chcę coś powiedzieć, ale chłopak nagle przerywa mi ruchem ręki. Można pomyśleć, że już od dawna przywykł do rozkazywania.

— Posłuchaj. Jesteś całkiem miła. Lepiej się pilnuj. Zrozumiałaś? — Jest jeszcze bliżej. Chyba zbyt blisko. — Nie żartuję. Potraktuj to jak ostrzeżenie.

Rozdział 28

Tylko nie to.

Błagam.

Znowu ten sam początek dnia. No, może nie dokładnie.

Otwieram oczy. Wokół mnie panuje nieprzenikniona ciemność. Nie tak jak w nocy w ciemnym pokoju. To jakaś... pustka. Czern.

Ale przez mrok przebijają się dźwięki — znowu w uszach mam tę melodię.

Potem dochodzi obraz — sen — cztery trupy i ręka wystająca z worka... Z wrzaskiem zrywam się z łóżka, jak zawsze mokra i roztrzęsiona.

Słyszę bębnienie, ale tym razem nie za drzwiami.

Odgłos dochodzi gdzieś z sufitu — ściślej, z mieszkania piętro wyżej. Jak widać, nie tylko państwo Rosencrantz nie mogą spać przez moje krzyki.

— Przepraszam! — wołam. Jest mi przykro.

Podwójnie przykro, bo dziś sobota.

Mam nadzieję, że sąsiad z góry spokojnie pośni jeszcze chwilę. Ja już nie zasnę. Nie chcę i nie mogę. Wprawdzie zeszyły wieczór mnie wykończył, ale wiem, że nie zmrużę oka. Nieważne, że

mam wolny weekend. Mój sen — koszmar — trwa bez przerwy.

Poza tym, do cholery, jak mam zasnąć, kiedy ciągle coś mi gra w uszach?

Nie mogę pozbyć się tej melodii. Co gorsza, wydaje mi się, że jest głośniejsza niż wcześniej.

Może to jednak zwykły ból głowy? Wczoraj Michael miał niezłego kaca, dzisiaj wyraźnie moja kolej.

Bardzo powoli wstaję z łóżka i krok po kroku idę do łazienki. Łykam dwie aspiryny i popijam nowojorską wodą.

Potem do kuchni po odrobinę kofeiny.

Nie jestem amatorką kawy, pijam ją tylko jako lekarstwo. Na przykład teraz. Michael zapoznał mnie z kawą *kona*, rodem z Hawajów. Tę nawet lubię. Można ją kupić w Oren's Daily Roast przy 58th Street.

Michael zaś jest kawoszem, ale się na to nie snobuje. Nie lubi Starbucks tylko z powodu, jak to nazywa, „laptop-włóczęgów”, którzy traktują lokal jak biuro i okupują w nim wszystkie miejsca. Raz widziałam, jak urządził karczemną awanturę facetowi, który bezczelnie zajął dwa krzesła, żeby położyć na nich swój plecak.

Siedzę więc w kuchni, popijam kawę i usiłuję jakoś się pozbierać. Niesamowite wydarzenia... Niesamowite? Czy to dobre słowo?

Może za tym kryje się coś więcej? A może wręcz przeciwnie, panikuję zupełnie bez powodu?

Chyba za dużo o tym myślę. Wygląda na to, że nie potrafię znaleźć dobrego rozwiązania.

W tej samej chwili dzwoni telefon.

Dużo za wcześnie na takie rzeczy. Na wyświetlaczu pojawia się napis: „centrala”. Dziwne.

Odbieram.

— Halo?

Głos w słuchawce brzmi jak nagranie, chociaż rozmawiam z żywym człowiekiem.

— Będzie rozmowa na pani koszt. Dzwoni Kristin Burns. Przyjmuje pani?

Widocznie kawa jeszcze nie pomogła, bo chyba słyszę: „dzwoni Kristin Burns”.

— Przepraszam, kto?

— Jestem z centrali.

To załapałam.

— Pytam, kto do mnie dzwoni?

— Proszę poczekać.

Trzask na linii i kilka sekund głuchoj ciszy.

— Kristin Burns — mówi telefonistka.

Jakiś dowcip?

— To ty, Michael? — pytam. Znowu trzask. Czekam.

Ale telefonistka już nie wraca. Nikt się nie odzywa. Połączenie przerwane.

Wychodzi na to, że Kristin Burns jednak nie chciała ze mną rozmawiać.

Rozdział 29

Nie wiem, co sądzić o tym telefonie, lecz nie zamierzam siedzieć w domu. Może dlatego, że się cała trzęsę.

Niesamowite? To stanowczo za słabe słowo na określenie tego, co się tutaj dzieje.

W podobnych razach — tak to mówię, jakbym już miała jakieś doświadczenie! — staram się myśleć o czymś większym. Podam przykład. W jednej sekundzie cały wszechświat jest mały jak łebek od szpilki, a już w następnej staje się miliardy razy większy od Ziemi. I co wynika z takiej lekcji?

O, właśnie — mam coś do zrobienia. Takie zadania są najlepsze, żeby zupełnie nie zwariować. Idę pod prysznic, wkładam świeże ciuchy i jadę taksówką do Chelsea, do Gotham Photo. Przecież muszę kupić nowy obiektyw.

— Cześć. Jest dzisiaj Javier? — pytam, podchodząc do lady.

Zdażyłam już opanować drżenie całego ciała. Przy okazji pozbyłam się też melodyjki grającej w głowie.

— Przed chwilą poszedł na zaplecze — mówi sprzedawca. — W czymś ci pomóc?

— Serdeczne dzięki, ale pozwolisz, że zaczekam.

— Najlepiej powiem mu, że przysłaś — odpowiada. — Ty jesteś Kristin, prawda?

— Właśnie.

Cała załoga z Gotham Photo zna się na rzeczy i jest bardzo fajna, ale najbardziej lubię Javiera. Każdemu umie wytłumaczyć techniczne dane obiektywu. W dodatku robi to w taki sposób, że nie czuję się przy nim jak amator. Jednym słowem, bombowy facet.

— Jak się masz, Kristin! Miło cię widzieć! — wita mnie z uśmiechem. Wysoki, szczupły i kulturalny, a jednocześnie pełen łagodności.

Przez krótką chwilę gawędzimy, w sumie o wszystkim i o niczym — ale z dziedziny fotografii. Dla Javiera to nie jest praca, lecz coś w rodzaju powołania. Uwielbia robić zdjęcia. Kiedyś mi powiedział: „Pierwszy aparat dostałem od mamy, kiedy miałem sześć lat. To był rollei trzydzieści pięć”.

Wierzę mu.

— To kiedy trafisz do „Blind Spota”? — pyta. To supermodne czasopismo, w którym publikuje się zarówno zdjęcia tych najślawniejszych, jak i mniej sławnych fotografów.

— Jak tylko kupię nowy obiektyw — wzdycham.

Opowiadam mu, co się stało, i już szukamy czegoś w zamian. Obejrzeliliśmy kilka obiektywów, ale skończyło się na najnowszej leice. Javier zawięcie go poleca.

— Jest lżejszy i ma czystszy obraz — mówi. — A co najlepsze, dostaniesz go za ponad stówkę taniej niż poprzedni.

Przekonałeś mnie, Javier.

Kiedy wypełnia dowód sprzedaży, niby mimochodem wspominam o dziwnych fotkach, które zrobiłam pod hotelem.

Skąd się wziął efekt transparencji? Niestety, nie mam zdjęć ze sobą. Próbuję jakoś to opisać, chociaż dobrze wiem, że bez obejrzenia fotografii Javier nie powie mi nic mądrego. Mimo to rzuca kilka pomysłów. Większość mi znanych, parę nowych.

— Jeśli to jakiś błąd obiektywu — mówi z uśmiechem — masz kłopot z głową.

Sama najbardziej chcę to sprawdzić, więc pstrykam zaraz po wyjściu ze sklepu. W domu wywołam całą rolę.

Najpierw niewielka seria ujęć wypieszczonego lhasa apso, prowadzonego przez kobietę strasznie podobną do Nancy Reagan. Idę na północ i nagle trafiam na dwóch kanciastych przewoźników, którzy mocują się z wielką szafą, chcąc ją wpakować na ciężarówkę. Z wysiłku robią tak straszne miny, że są przepiękni.

Pstryk, pstryk, pstryk.

Uśmiecham się do siebie w duchu. Przecież znów jestem swoim żywiole. Najlepiej czuję się właśnie wtedy, gdy mam aparat w rękę. To z jednej strony niezły relaks, z drugiej pewne poczucie władzy. Postrzegasz ludzi w całkiem innym świetle. Owszem, powiada się, że oczy są zwierciadłem duszy, lecz moim zdaniem to raczej oko obiektywu ujawnia coś, co tkwi w człowieku.

Zostaje mi już tylko parę klatek. Zerkam przez wizjer na tłum przechodniów na skrzyżowaniu przy zielonym świetle. Idą zgodnym rytmem, chociaż nie widzą się nawzajem. Wszyscy patrzą na drugą stronę.

Z jednym wyjątkiem.

Na samym rogu stoi jakiś człowiek. Widzę go kątem oka.

Kieruję obiektyw w jego stronę i nastawiam ostrość. Zamazana postać nabiera pełniejszych kształtów i...

Rany boskie!

Obraz jest ostry jak żyłeta, ale nie wierzę własnym oczom.
Moje zdumienie nie ma granic, nawet po wszystkim, co się stało.

To niemożliwe.

Przez chwilę myślę, że zwariowałam.

Nie, to nieprawda... Jestem normalna.

Ale jak nazwać to, co widzę?

Rozdział 30

Trzęsę się jak w febrze i znowu czuję swąd spalenizny, ale nie puszczam aparatu. Patrzę przed siebie. Prosto na... niego.

Stoi po drugiej stronie ulicy. Jest w długim, szarym, nieco staroświeckim płaszczu, jakby kupionym w jednym z butików przy Bleecker Street.

Ale ja wiem, że ten płaszcz wcale nie pochodzi z Bleecker ani w ogóle z Nowego Jorku. W rzeczywistości został kupiony w Concord, w stanie Massachusetts.

Z wolna odrywam aparat od oka, jakby po cichu przekonana, że to ten mały zlepek metalu i plastiku jest sprawcą moich halucynacji.

Nie.

Na własne oczy widzę wydatną szczękę, spiczastą głowę, grube okulary i chude, nieco zgarbione ramiona. To on.

Na skrzyżowaniu stoi mój ojciec.

Nie myśl, tylko pstrykaj.

Szybko robię kilka zdjęć, choć ręce drżą mi jak wariatce. A potem wołam.

Ojciec mnie widzi. Wiem, że mnie widzi, lecz mimo to nie odpowiada.

Szybko podchodzę parę kroków i wołam głośniej:

— Tato!

Patrzy wprost na mnie. Dlaczego ciągle nic nie mówi? Dlaczego nawet nie podniesie ręki?

Idę więc dalej. To wreszcie zmusza go do działania.

Nagle odwraca się i odchodzi. Szybkim krokiem. Jakby uciekał.

— Zaczekaj! — krzyczę. — Tato! Nie odchodź! Muszę z tobą porozmawiać!

Znika za rogiem, więc pędzę za nim. Jestem po drugiej stronie. Widzę go dalej, w głębi ulicy. Biegnie. Co się dzieje? Co to wszystko znaczy? Znów krzyczę, błagam, żeby się zatrzymał.

— Chcę z tobą tylko porozmawiać! Tato! Tato! Taatooo!

Zawsze byliśmy ze sobą zżyci, praktycznie nierozłączni.

Kiedy byłam małą, często udawał, że się ze mną ściga. Strasznie mnie kochał, więc za każdym razem dawał mi wygrywać. Ale nie teraz.

Rozdział 31

Biegnę tak szybko, jak tylko mogę. Na chodniku panuje ścisk, więc lawiruję między wkurzonymi ludźmi, próbując nie zgubić ojca. Wciąż widzę szary płaszcz i znajomą głowę z włosami na jeża.

— Hej, uważaj! — ze złością krzyczy jakaś kobieta, którą potrąciłam.

— Przepraszam — mówię.

Ojciec znów skręca. Potem przebiega przez skrzyżowanie, już niemal na czerwonym świetle. Rusza kolejna fala samochodów, taksówek i ciężarówek.

Ale ja się nie zatrzymuję. Nawet nie patrzę w obie strony. Muszę go złapać. W tej chwili nie ma dla mnie nic ważniejszego. Jestem pewna, że on jeden będzie wiedział, co się ze mną dzieje.

Wbiegam na jezdnię. Słyszę pisk opon i czuję swąd palonej gumy. Ogromna maska autobusu przemyka może o pół metra.

— Co z tobą, młoda?! — woła kierowca przez okienko.

Nawet się nie domyślasz.

— Zaczekaj, tato! Proszę cię, stój! — krzyczę. — Tato... błagam!

Ojciec przystaje. Tak po prostu. Odwraca się i patrzy na mnie. Dzieli nas jakieś piętnaście metrów.

— Chciałem ci pomóc — mówi. — Musisz to zrobić sama.

— Tato... Co się ze mną dzieje?

— Uważaj na siebie, Kristin.

Otwieram usta, by spytać: dlaczego? Jak? Co mam zrobić? Niestety, ojciec znów odchodzi, zanim znajduję odpowiednie słowa.

Emocje biorą górę i osuwam się na chodnik. Od upadku mam całe pościerane dłonie. Z wolna bezradnie unoszę głowę i widzę tylko czubek głowy ojca, który znika gdzieś za zakrętem.

Ludzie obchodzą mnie dużym łukiem. Czuję na sobie ich spojrzenia. Wiem, co to znaczy. Wiem, co myślą.

Na pewno mają mnie za wariatkę.

— Nie rozumiecie! — powtarzam wszystkim, którzy chcą słuchać... a nawet tym, którzy tylko patrzą na mnie z jawną pogardą. — Nie rozumiecie!

Mój ojciec zmarł dwanaście lat temu.

Część szósta

Rozdział 32

Po spotkaniu ze zmarłym ojcem muszę wrócić do domu, choć jeszcze przed godziną marzyłam tylko o tym, żeby się stamtąd wyrwać.

W taksówce niemal przez całą drogę gapię się na aparat. Zrobiłam ojcu trzy, może cztery zdjęcia... Dokładnie nie pamiętam.

Wystarczy mi najwyżej jedno.

Która z myśli wydaje się straszniejsza? Że go widziałam czy że mam nierówno pod sufitem?

Jak oszalała wpadam do mieszkania i rzucam się do ciemni. Szukam odpowiedzi.

— Prędzej! — krzyczę na negatyw zamknięty w ko-reksie. — Pospiesz się!

To jedyny raz, kiedy żałuję, że nie mam cyfrówki.

Jestem tak bardzo przejęta tym, co teraz robię, że przez kilka minut nie myślę o niczym. Nie pamiętam, że obok wiszą zdjęcia z Falcon, przypięte pineskami do korkowej ściany. Makabryczna wystawa — o ile prawdziwa.

Mój wzrok przypadkowo pada na jedną z fotek. Od tej chwili bez przerwy zerkam w tamtą stronę.

Zły pomysł.

Na drugiej ścianie są stare fotografie z czasów, kiedy mieszkałam w Concord, w stanie Massachusetts. Moja matka, ojciec, dwie siostry... i Matthew, mój chłopak z college'u. Na zdjęciu nie ma głowy, bo na to zasłużył.

— Pospiesz się! — znowu wrzeszcze na dojrzewający negatyw. Wreszcie coś widać.

Unoszę go do światła i patrzę na klatkę. Szary płaszcz, lekko zgarbiona postać — ten sam człowiek, który na moich oczach spoczął w grobie. Mój ojciec.

Niemal z płaczem spoglądam na następne zdjęcie. Chłonę każdy szczegół.

Mam wrażenie, że znowu gonię go po ulicy. Brak mi tchu i czuję ucisk w piersiach. Ciemnia zaraz mnie zgniecie, więc chwytam się ściany. Już wiem, jak wygląda prawdziwa panika...

Muszę zaczerpnąć powietrza. Wyskakuję ze swojej kryjówki, a gdy to nie pomaga, otwieram wszystkie okna.

Chcę normalnie oddychać, ale nie potrafię.

Dalej, Kristin... Na pewno zdołasz się pozbierać. Przecież wiesz, że niedługo wszystko się wyjaśni. Musisz jedynie znaleźć jakiś punkt zaczepienia.

To nie był mój ojciec, w kółko powtarzam w myślach, tylko jakiś mężczyzna podobny do niego. Ktoś się ze mną bawi. Tak, to całkiem możliwe...

Chryste Panie, zaczynam wpadać w paranoję. Ktoś chce, żeby bym zwariowała? Ale kto?

Nagle bolą mnie stopy. Ból promieniuje wyżej, do łydki i uda. Dłużej już nie wytrzymam... Mówię, że nie wytrzymam!

Zaciskam pięści i mocno tłukę się po nogach. Tak, sprawiam sobie lanie.

— Dosyć! Dosyć! Dosyć!

Zamykam oczy i wydaję jakiś dziki okrzyk. Ale myślę całkiem rozsądnie: nie możesz być sama.

Rozdział 33

Dzwonię do Michaela.

Prawdę mówiąc, wybieram numer jego pagera. W ten sposób kontaktujemy się w weekendy. Taką mamy umowę.

Oficjalnie jestem bardzo ważnym klientem, któremu Michael pozwala dzwonić nawet w święta, przez okrągłą dobę. W ten sposób może wyjść do gabinetu i porozmawiać ze mną na prywatnej linii, nie budząc tym podejrzeń Penley. Mam swój pseudonim: Carter Whitmore. Chyba w sam raz dla finansisty.

Michael oddzwania dwie minuty później. Nie mówię: „cześć”, ale od razu walę prosto z mostu:

— Jesteś mi potrzebny. — Niemal w tej samej chwili zdaję sobie sprawę z tego, jak to zabrzmiało w uszach Michaela. Bardzo... zmysłowo. — W gruncie rzeczy... chcę porozmawiać — dodaję. Może to dziwne, ale czuję się trochę lepiej. Jakby spokojniej.

— Świetnie. Porozmawiajmy.

— Gdzie się spotkamy?

— Och... — bąka. — Nie załatwimy tego przez telefon?

— Raczej nie.

Mam ci powiedzieć, że zwariowałam albo że jest o wiele gorzej?

— Masz dziwny głos. Wszystko w porządku?

— Nie — odpowiadam. — Możesz się ze mną spotkać?

— Z tym będzie kłopot. Zaraz idę z Dakotą i Seanem do zoo w Central Parku.

— Świetnie. Będę tam za dziesięć minut. — Cisza. — O co chodzi, Michael?

— O dzieci — mówi.

— Pewnie ucieszą się na mój widok.

— Właśnie. W tym cały problem, Kristin. Bardzo cię lubią, więc podejrzewam, że opowiedzą o tym matce.

— Można to zwalić na przypadek.

Michael parska w taki sposób, który od razu mi się nie podoba. Jakby mnie trochę lekceważył. Ze mną nie wolno mu tak postępować.

— Trochę przesadzasz — mówi.

Zaczyna mnie to wkurzać. Do cholery, mało mam jeszcze zmartwień?

— Tak, Michael. Pewnie trochę przesadzam. Nie mogę się z tobą zobaczyć, kiedy jesteś mi najbardziej potrzebny.

— Nie dramatyzuj, Kris. Powiedz, o co chodzi.

Nie ustępuję.

— To może później? Znajdziesz chwilę? Cisza wystarcza mi za odpowiedź.

— Nie mogę — odzywa się wreszcie. — Chciałbym, ale nie mogę. Penley ma plany na wieczór. Jakies spotkanie z jej znajomymi.

Otwieram usta, żeby go zjechać od góry do dołu, ale on nagle chrząka.

— Sprawdzę te dane dla ciebie, Carter. Zostaw to mnie — mówi urzędowym tonem.

Szlag by to trafił.

— Weszła Penley? — pytam.

— Tak, Carter. Wszystko się zgadza. W tych sprawach masz dobrego nosa.

Przez chwilę słucham czezej gadaniny o nowych stopach procentowych i raporcie o stanie zatrudnienia w sektorze pozarolniczym. Muszę mu przyznać, że przestawił się bezbłędnie.

— Okej, poszła — mówi po kilku sekundach.

— Czego chciała?

— Dzieci czekają, więc pokazała palcem na zegarek i zrobiła okropną minę. Ale to przecież nic nowego.

Uśmiecham się mimo woli. Jestem już dużo spokojniejsza. Lubię, kiedy Michael mówi o swojej żonie takim tonem. Jeden punkt więcej w mojej kampanii pod stałym hasłem „Rzuć Penley”.

— Na czym skończyliśmy? — pyta.

— Na tym, że nie masz dla mnie czasu.

Michael wzdycha.

— Wybacz, kochanie — mówi. — Wiesz co? Posłuchaj. Jutro we czwórkę mamy pojechać do moich teściów[^] do Connecticut. Zrobię to samo co poprzednim razem. Powiem, że wypadła mi pilna robota. Co lepsze, zwałę to na ciebie, Carter.

— Mówisz poważnie?

— Możesz być pewna. Będziemy mieli cały dzień dla siebie. Może wyrwiemy się gdzieś w plener i urządzimy sobie piknik? Porozmawiamy, o czym tylko zechcesz.

Sęk w tym, że chcę z nim porozmawiać teraz — dokładnie w tej chwili. Tak mi się zdaje. Lecz zaraz rodzi się pytanie: na ile mogę mu zaufać? Właśnie na tyle?

— Michael, ja...

— O cholera — przerywa podnieconym głosem. — Penley wraca. Zadzwoń jutro rano, dobrze?

Nie mam już czasu na odpowiedź.

Koniec rozmowy.

Pomału, jak w zwolnionym tempie, odkładam słuchawkę. Jak mam nazwać to, co teraz czuję? Pustka? Otępienie?

Wciąż jestem sama.

Zwykle wystarczy mi świadomość, że wkrótce spotkam się z Michaelem. Wtedy od razu czuję się lepiej. Ale nie dzisiaj. Nie tym razem. Nie chcę samotnie czekać aż do jutra.

Biorę słuchawkę.

Już wiem, do kogo mam zadzwonić.

Powinłam była zrobić to od razu.

Rozdział 34

— Bardzo dziękuję, doktorze Corey, że przyjął mnie pan bez kolejki.

Patrzę, jak mój eksterapeuta powoli — baaardzo powoli — nabija nieodłączną fajkę. Lodowiec pełźnie dużo szybciej.

No cóż... Nie szkodzi. Przyszłam tu po pomoc.

— Będę z tobą zupełnie szczery, Kristin — mówi, nie odrywając oczu od fajki. — Wcale mnie to nie cieszy. Gdyby nie rozpacz w twoim głosie, którą słyszałem przez telefon, pewnie wyznaczyłbym ci inny termin. Ale znam swoje obowiązki. Możesz zaczynać. Co się stało?

Dzięki za powitanie, doktorku.

Jednak powtarzam sobie: nic nie szkodzi. I tak mam sporo szczęścia, że mnie przyjął.

Rzadko się zdarza na Manhattanie, żeby psychiatra pracował w weekend. Doktor Michael Roy Corey należy do wyjątków — przynajmniej wiosną, latem i jesienią. Woli przyjmować w każdą sobotę, żeby mieć wolny poniedziałek. Wtedy gra w golfa na publicznym polu w pobliżu swojego domu w Briarcliff Manor.

— Cóż, w poniedziałki jest dużo luźniej i sam wybieram czasy startowe — powiedział kiedyś. To było około półtora roku temu, kiedy wybrałam go na terapeutę. Spotkania trwały sześć miesięcy. Potem przestałam się z nim widywać, bo myślałam, że już po kłopotcie.

Skąd miałam wiedzieć, co się stanie?

Leżę więc na znajomej szarej kanapie i opowiadam o minionych wydarzeniach. Kończę na porannym spotkaniu ze zmarłym ojcem. Doktor Corey pyka ze swojej fajki i nie przerywa mi ani słowem.

Patrzę na niego wyczekującym, pełnym nadziei wzrokiem. Niech mnie wyleczy!

— Nie masz najmniejszej wątpliwości, że na tych zdjęciach jest twój ojciec? — pyta. Wygląda fałdę na szarym swetrze, wręcz doskonale pasującym do jego szpakowatych włosów.

— Prawie — odpowiadam.

— Co to znaczy, Kristin?

Wyczuwam lekką zmianę w jego głosie. Znudzenie? Sceptycyzm?

— Jestem prawie pewna, że chodzi o niego.

— Prawie. Zatem dopuszczasz możliwość, że to jedynie ktoś podobny do niego.

— Myślałam o tym. Ale pamiętam, że ze mną rozmawiał! No i dlaczego by uciekał?

— Z wielu powodów — odpowiada Corey. — Może przestraszył się aparatu? Sam nie wiem... Może to przestępca? Może kaleka?

Kręcę głową.

— Nie. Nawet był w tym samym płaszczu, który zazwyczaj nosił tata. Wiem, że to on. Powtarzam, że rozmawiał ze mną. Znał moje imię.

— Jesteś więc całkiem przekonana, że twój ojciec, który nie

żyje od dwunastu lat, nagle pojawił się na Manhattanie, bo chciał przez chwilę z tobą pogawędzić?

— Tak. Wiem, że to wariactwo. Boże, wiem! Dlatego jestem tutaj.

— Ach, już rozumiem... Dlatego jesteś tutaj — powtarza po mnie. Dużo wyraźniej słyszę niechęć w jego głosie. — Chcesz, żebym ci pomógł.

Zaraz, chwileczkę... Co jest grane?

— Oczywiście, że szukam u pana pomocy. Jestem zrozpaczona. — Głos mi się łamie przy ostatnich słowach, więc usiłuję jakoś się pozbierać, choćby w obronie własnej godności.

Doktor Corey wyjmuje fajkę z ust i patrzy na mnie.

— Posłuchaj, Kristin. Jeszcze raz spróbuj to sobie wbić do głowy. Twój ojciec kiedyś popełnił samobójstwo i choćbyś chciała, to w żaden sposób nie sprowadzisz go tu z powrotem.

— Wiem.

— Tak? — pyta, krzyżując ręce na piersiach. — Gdybyś wciąż do mnie przychodziła, to nie miałabyś tych kłopotów.

— Przecież nie chodzi tylko o mojego ojca... Mam koszmarnie sny.

— Wszyscy je mają.

— Ale ten sen jest prawdziwy!

— Ty tak twierdzisz. To nic nie znaczy. Spróbuj posłuchać, co mówisz, Kristin. Słuchasz?

Patrzę na niego... hm... ze zdumieniem. To nie ten człowiek, który w przeszłości z pewnym humorem udzielał banalnych, lecz dobrych porad. Teraz próbuje mnie zdołować. Postępuje tak ze wszystkimi pacjentami? Może jest wściekły, że już nie chciałam się z nim widywać?

— Panie doktorze, czy pan w ogóle rozumie, co do pana mówię? Wokół mnie dzieją się dziwne i niezrozumiałe rzeczy. Naprawdę! Wydaje mi się, że wariuję.

— Może rzeczywiście tak jest. Skąd mam wiedzieć? — pyta rzeczowym tonem. — Wybacz mi, ale nie zamierzam poświęcać czasu dziewczynie, która ma w nosie moją terapię.

Wiedziałam!

— Myślałam, że już jestem zdrowa — odpowiadam.

Uśmiecha się.

— Tak, to widać.

Facet zaczyna mnie przerażać. Skąd tyle jadu i pogardy? Jak może się tak zachowywać? Przecież byłam jego pacjentką.

— Chyba nie muszę tego słuchać.

— Święte słowa. Wcale nie musisz. Możesz stąd wyjść, kiedy tylko zechcesz. Tak jak poprzednim razem.

Mam łzy w oczach. Nic na to nie poradzę. Co gorsza, czuję, że się trzęsę, ale nie mogę nad sobą zapanować. Nie chcę współczucia.

— Boże... Daj spokój z tą histerią — wzdycha doktor Corey.
— I nie bierz mnie na perskie oko. To żenada.

— Panie doktorze, co się panu stało?

— Nic. Zupełnie nic.

— To nieprawda! Zachowuje się pan jak palant!

— To chyba lepsze niż niewdzięczna wydra.

Dość!

Zrywam się z kanapy i uciekam. W drzwiach rzucam mu na pożegnanie:

— Chuj z tobą!

— Idź do diabła! — słyszę w odpowiedzi. A chwilę później, zanim zamknę drzwi: — Może mi powiesz, co się kiedyś stało w hotelu Falcon? Kristin? Kristin?

Rozdział 35

Jest tylko gorzej.

Koszmar powraca, i to z nową siłą. Potwornie cierpię.

Budzę się, czuję smród spalenizny. Straszne. Nie mogę tego wytrzymać.

Znów mam pokrzywkę, gorszą niż przedtem, na dłoniach, twarzy i ramionach. Ściągam koszulkę i wszędzie widzę czerwone plamy — na piersiach, brzuchu, nawet na nogach. Chcę zdrapać sobie całą skórę.

I ta melodia... Szlag mnie trafi! Znowu ją słyszę w swojej głowie.

Jakaś pociecha? Jest niedziela. Mam ją spędzić razem z Michałem.

Telefon dzwoni tuż po ósmej. Od razu widzę, że to Michael. Czekam, aż mnie przywita w dobrze mi znany, seksowny sposób.

— Halo?

— Cześć — mówi mój ukochany.

To jedno słowo, jedna sylaba, ale od razu wiem, że coś się święci. Coś niedobrego. Jakaś zmiana.

— Już mam się zacząć denerwować?

— Wszystko przez tę pieprzoną Penley — odpowiada. — Do-
stała szału, gdy jej wspomniałem, że dzisiaj muszę popracować.
Jeszcze szybuje na orbicie. Sean mówi o niej Penley Neutron.
Wiesz, jak...

— Tak, znam tę kreskówkę.

Nie wspominając o skarpetkach.

Czuję się głupio. Stoję niemal naga i zawzięcie drapię się po
całym ciele.

— Powiedziałeś jej, że to wyjątkowa sprawa?

— Owszem. W ogóle mnie nie słucha. Burknęła tylko, że po-
przednim razem wykręciłem się w ten sam sposób.

— Tak jej zależy, żebyś tam pojechał?

— Chryste, nie wiem... Powtarza w kółko, że jej rodzice będą
okropnie zawiedzeni.

— Ach, o to chodzi? O jej ojca?

— Chyba nie musisz być złośliwa.

— Nadal mu nadskakujesz?

— To wszystko nie jest takie proste, Kristin.

Nie jest. Istnieje bowiem drugie dno jego małżeństwa z Pen-
ley, lecz o tym zwykle się nie mówi. Michael zarabia bardzo do-
brze. Jest milionerem. Ale to pestka w porównaniu z tym, co
osiągnął jego teść, Conrad Bishop. Facet przez ćwierć wieku był
dyrektorem generalnym Trans-American Steel. Jest wart naj-
marniej dwieście milionów. Ponadto dzięki swoim kontaktom
załatwia robotę Michaelowi. Sporo roboty.

— Kto jak kto, ale ojciec Penley chyba najlepiej cię zrozumie
— mówię.

— Pewnie tak było poprzednim razem — odpowiada Micha-
el. — Teraz pomyśli, że go lekceważę... a to niedobrze.

— Do czego zmierzasz?

Słyszę, że nabrał powietrza w płuca.

— Muszę pojechać do Connecticut.

Te słowa kłują jak miliony żadeł.

— Ale naprawdę jesteś mi potrzebny — jęczę.

— Wiem, wiem. Na pewno ci to wynagrodzę.

Złość, ból, poczucie krzywdy — trochę za dużo tego wszystkiego. Rzucam słuchawkę. Pierwszy raz rozstajemy się w ten sposób. Lepiej nie mówić, jak się czuję.

Jakbym miała za chwilę umrzeć.

Nagle coś sobie uświadamiam — nic mnie nie swędzi, nie czuję smrodu, nie słyszę żadnej melodyjki.

O co chodzi?

Rozdział 36

Zwyczajna jazda windą na parter trwa dla mnie całą wieczność. Robię, co mogę, żeby nie wybuchnąć.

Uspokój się! — powtarzam w duchu. Postaraj się pomyśleć o czymś przyjemniejszym.

Od razu rezygnuję z przywoływania widoku szemrzącego strumyka albo twarzyczki śpiącego dziecka. Próbuję tego, co naprawdę działa. W myślach przeglądam ulubione zdjęcia.

Akty Edwarda Westona.

Wykonany przez Avedona portret Trumana Capote z pępek na wierzchu.

I oczywiście niewiarygodne zdjęcie Yoko Ono i nagiego Johna Lennona, zrobione przez Annie Leibovitz.

To wszystko ludzie z krwi i kości. Owszem, doceniam prace Galena Rowella i Ansela Adamsa, ale widoki gór i krajobrazów nigdy nie miały dla mnie tej siły przebicia co żywy człowiek.

Wyimaginowany pokaz slajdów odnosi skutek. Jestem już nieco spokojniejsza. Niestety, tuż po wyjściu z windy widzę sąsiadkę, panią Rosencrantz. Stoi przy skrzynce na listy, w długim pomarańczowo-niebieskim chałacie, pamiętającym jeszcze lata

siedemdziesiąte ubiegłego wieku. Podnosi głowę znad ulotki i wrogo patrzy w moją stronę. Co jej dolega?

Najwyraźniej mnie nie lubi.

W pierwszej chwili próbuję minąć ją bez słowa, ale wciąż czuję na sobie wredne spojrzenie zza szkieł tanich okularów w szerokiej oprawce. Nie odpuszcza ani na chwilę. Idę w kierunku wyjścia, ale nagle nadkładam drogi i podchodzę wprost do niej.

Wyciągam aparat i trzymam go zaledwie centymetr przed jej spiczastym nosem.

— Chcesz zdjęcie, stara małpo?! — krzyczę. — Zdjęcia żyją dłużej!

Pstryk.

Odwracam się, nie czekając na wybuch oburzenia. Wszyscy się na nas gapią, ale już nic nie mówię. Ze wzrokiem utkwionym w przestrzeń wychodzę na ulicę.

Co ci się stało, Kristin?

To do mnie niepodobne. Nigdy tak nie postępuję — nie krzyczę na ludzi, nie macham im aparatem przed nosem.

Straszne.

Co gorsza, to mi się podoba.

Od tej pory zachowuję się wyłącznie odruchowo — myślę, mówię i robię niesłychane rzeczy, takie, których dotychczas nie zdarzało mi się robić. W tajemniczy sposób zniknęły czerwone chorągiewki, wyskakujące w głowie przy takich okazjach.

— Hej! Patrz, jak leziesz!

Dopiero po sekundzie uświadamiam sobie, że to chyba do mnie. Na rogu ulicy stoi jakiś brudny „artysta” z gitarą. Prawie na niego wpadłam.

— Przepraszam — mruczę.

Jestem kawał od domu. Szłam ze spuszczoną głową, obojętna

na wszystko, co się wokół dzieje. Facet w sumie ma rację, nie patrzyłam, jak idę. Oczywiście od razu pada słuszne pytanie: dokąd mnie tak ciągnie? Przystaję, żeby pomyśleć. Miałam być z Michael'em... Mówił coś o pikniku. Moglibyśmy pogadać, popatrzeć sobie w oczy, napić się trochę wina... Tak byłoby najlepiej.

Ale ten dzień przepadł, zanim się rozpoczął. Najpierw nocne koszmary, swąd, wysypka...

Nagle mam pewien pomysł.

Coś trochę... hm... głupiego.

Całkiem nie w moim stylu. Jeszcze kilka dni temu byłam zupełnie inna.

— Przesuń się, koleżanko — nalega „artysta”. — Popsułaś mi biznes.

Odwracam się do niego. Ma długie tłuste włosy i nieporadnie brzdąka na swojej gitarze. Okropnie fałszuje. Przed nim leży futerał, wyściełany podartym czarnym aksamitem, a w środku parę centów. Dosłownie kilka. Dla tego trubadura marne ćwierć dolara to niemal worek złota.

— Mówię całkiem poważnie — burczy. — Zjeżdżaj stąd! Natychmiast!

Zanim się spostrzegłam, już jestem przy nim.

— Posłuchaj, ty nędzna imitacja Cobaina... Wiesz, co ci psuje biznes? To twoje rzepolenie!

Aż go zamurowało, a ja idę dalej. Mam coś do zrobienia.

Rozdział 37

Gdy porzuciłam Boston i zamieniłam Red Sox na nowojorskich Yankees, przywiozłam na Manhattan dokładnie trzy rzeczy. Walizkę. Chłopaka.

Oraz Boba.

Nie wątpię, że są lepsze nazwy dla furgonetki niż „Bob”, ale tę bardzo lubię ze względu na prostotę. A poza tym mówimy o fordzie F-100 rocznik 1980, z przebiegiem prawie trzysta tysięcy kilometrów. Nawet rdza na nim rdzewieje. Wymyślne imiona do niego nie pasują.

Puszczam się niemal biegiem na First Avenue, gdzie zwykle zostawiam Boba na parkingu pod chmurką. Garaże bywają droższe od niektórych mieszkań — na przykład mojego. Ale i tak płacę za niego jak za zboże. Trzysta pięćdziesiąt miesięcznie. Z prostego rachunku wynika, że zardzewiały Bob, bez kołpaków na kołach i z rżącym silnikiem, stał się dla mnie największym luksusem w tym mieście. Czyste wariactwo, prawda?

Jednak tego dnia wart jest każdego wydanego centa. Dziś jest symbolem wolności, może nawet zbawienia.

Na ulicach jak zwykle korki, a nie chcę się spóźnić. Przede

mną stoi wielka dostawcza ciężarówka od Macy'ego. Błysnęło zielone światło, ale szofer się spóźnia o nanosekundę, więc natychmiast zaczynam trąbić. Jak widać, niewiele trzeba, żeby wyszedł ze mnie nowojorski taksówkarz.

Dojeżdżam na miejsce. Wiem, że nie mogę zaparkować zbyt blisko. Bob wyraźnie odstaje od reszty otoczenia.

Okrażam dom kilka razy, zanim znajduję miejsce w bezpiecznej odległości od wejścia. Wyjmuję komórkę i dzwonię pod numer domowy Turnbullów. Oczywiście, najpierw naciskam *67, żeby ukryć swój numer.

Odbiera Michael.

Dobrze, jeszcze nie wyjechali.

Drugi raz w ciągu jednego dnia odkładam słuchawkę, nie chcąc z nim rozmawiać. Poprawiam ciemne okulary, wciskam się w przedni fotel Boba i znajduję sobie zajęcie.

Czekam.

Wkrótce wychodzi Michael. W pierwszej chwili mam straszną ochotę podbiec i kopnąć go w łydkę. Najpierw nawrzucam mu od najgorszych, myślę, a potem złapię i pocałuję — tak żeby stracił oddech. Razem schowamy się w jakiejś uliczce i tam odamy prawdziwej orgii. Będziemy się dosłownie jebać, niczym króliki, norki lub jakieś inne futerkowce z listy zwierzęcych napaleńców.

— Dobrej zabawy u kochanych teściów! — krzyknę na koniec. Na razie jestem tutaj, z Bobem. Patrę.

Michael znika za rogiem. Po pewnym czasie wraca „rodzinnym wozem”, błyszczącym czarnym mercedesem klasy G.

Niemal w tej samej chwili widzę Penley, Dakotę i Seana. Z tyłu wlecze się umęczony Louis, cały spocony w swojej liberii, niosąc plecaki dzieci i wypchaną torbę plażową.

Michael wysiada, żeby przypiąć Seana do fotelika. Dakota

sama zajmuje miejsce. Penley wyjmuję szminkę i lusterko i poprawia sobie usta. Daje znak ręką, żeby Louis wpakował wszystko do bagażnika.

To ja powinnam być w tym samochodzie, a nie Penley. O niczym innym nie potrafię myśleć. To ja powinnam być tam jako czwarta.

Można powiedzieć, że mam przed sobą obraz idealnego szczęścia. Wszystko jest jak na zdjęciu. Uśmiechnięta rodzina w weekend wyjeżdża na wieś. Ale ja wiem swoje.

Zdjęcia kłamią.

Rozdział 38

Michael jedzie jak rajdowiec, ale nie jestem tym zdziwiona. Po chwili uświadamiam sobie, że pierwszy raz widzę go za kółkiem. Wprawdzie kiedyś wiozłam go Bobem, ale najczęściej jeździliśmy limuzyną albo taksówkami.

Dzisiaj poczyna sobie odważnie, chociaż wiezie dzieci. Prawie ich gubię, i to dwa razy — najpierw na moście Waszyngtona, a później na 1-95, w samym Stanford, gdzie jedno pasmo jest wyłączone z ruchu z powodu remontu.

Bez przerwy chowam się za samochodami, żeby Michael przypadkiem nie zobaczył mnie w lusterku. Na dobrą sprawę debiutuję w roli detektywa, ale jak dotąd radzę sobie całkiem nieźle.

Następny zjazd: Westport.

To zaledwie godzina drogi, a widok taki, jakbym się przeniosła o ponad milion kilometrów od miasta. Dużo drzew, dużo przestrzeni. Zupełnie inny świat. W dodatku bogaty.

Im bliżej wody, tym bogatszy.

Wszystkie domy patrzące na cieśninę Long Island mają ten sam niezmierny i majestatyczny wygląd. Przystrzyżone trawniki, szczelne okiennice i wszechobecna aura potęgi pieniądza. To już nie jest dobrobyt, to po prostu bogactwo.

Michael skręca na podjazd.

Jak można się domyślać, droga wiedzie do najwspanialszej z tutejszych rezydencji, do cedrowego dworu w stylu kolonialnym, jakby prosto ze zdjęcia w „Architectural Digest”. Z bardzo dużego zdjęcia, raczej na dwie strony. Wielki budynek jak fala przetacza się przez posiadłość, na pozór bez końca.

Hm... Więc to tutaj dorastała Penley.

Staję przy końcu domu, za niskim żywopłotem. W ten sposób nie tylko pozostaję w ukryciu, ale mam dobry widok na część posiadłości, łącznie z dużym basenem i kortem tenisowym. Co chcę tam zobaczyć? Tego sama nie wiem.

Gorzej, że nie wiem także, co tu w ogóle robię. No cóż... To się okaże.

Na razie patrzę, jak Michael na czele Turnbullów wysiada z mercedesa. Z drugiej strony nadchodzi jakaś starsza para. To pewnie rodzice Penley. Następuje wymiana uścisków i pocałunków. Najczulej witają się z Dakotą i Seanem. Ojciec Penley przypomina mi trochę Gordona Gekko * na emeryturze. [Gordon Gekko – główny bohater filmu *Wall Street* (1987), grany przez Michaela Douglasa]

Siedzę w Bobie i wyobrażam sobie ich rozmowę. Ciekawe, czy Michael już mu liże dupę, czy trochę poczeka?

Wszyscy wchodzi do domu, ale nie na długo. Dakota i Sean biegiem wypadają przez drzwi ogrodowe. Ścigają się do basenu.

Za nimi idzie dziewczyna, której ubiór aż krzyczy: „jestem pokojówką!”. Zapewne powierzono jej rolę ratownika. Moja zastępczyni na „weekend za miastem”.

Michael, Penley i jej rodzice siadają na werandzie, na białych od bieli wiklinowych krzesłach. Druga pokojówka wkracza ze srebrną tacą. Uroczy obrazek w stylu Normana Rockwella zakłóca tylko martini zamiast lemoniady.

Najdziwniejsze pomysły roją się w mojej głowie. A gdybym tak z wielkim szumem wkroczyła na scenę? Jakiś kawał cholery, która siedzi we mnie, podsuwa mi całą wizję. „Co ty tutaj robisz?”, zawoła zdumiona Penley, gdy wejść na werandę.

„Zapytaj Michaela”, odpowiem ze spokojem.

No, kochany, teraz spróbuj się wykręcić.

Mimo to siedzę w Bobie. Wyjmuję aparat i robię zdjęcia dzieciakom pluskającym się w basenie. Sean zaledwie rok temu porzucił „skrzydełka”. Dakota zaś pływa z pełną gracją. Urodzony łabędź.

Nagle zjawia się Penley. Burczy na dzieciaki, pewnie coś o obiedzie, bo tuż po jej odejściu Sean i Dakota z niechęcią wychodzą z wody i idą po ręczniki. Dwa kochane skarby! A Penley jest okropna.

Dzieci z pokojówką wracają do domu. Spoglądam gdzie indziej. Przez chwilę najzwyczajniej podziwiam okolicę. Wszystko jest takie czyste... Od wody wieje chłodna bryza. Patrzą na samochody. Same kabriolety. Dlaczego nie? Tu, na wsi, jest nadmiar świeżego powietrza.

Zerkam na kobietę biegnącą w dresie firmy Nike. W oddali jakiś człowiek idzie w moją stronę. Ubrany jest w jasną kurtkę i szarą baseballówkę. Kroczy miękko, powoli. Spokojnie — jak wszystko wokół.

Już chcę odwrócić głowę, gdy nagle zamieram.

Jest w nim coś dziwnego.

Jakby... znajomego.

Boże, przecież to ten detektyw z Falcon.

Frank Delmonico. Tutaj, w Connecticut.

Niemożliwe, a jednak to prawda.

Rozdział 39

Błyskawicznie nurkuję pod kierownicę. Delmonico zapewniał, że znowu mnie znajdzie. To brzmiało jak ostrzeżenie. Ale żeby tutaj?

Skąd wiedział? Jechał za mną, gdy śledziłam Michaela? Myślałam, że to możliwe, ale przecież nie będę z nim tu rozmawiać. Nie przed domem rodziców Penley.

Wyraźnie słyszę jego ciężkie kroki. Są coraz bliżej, bliżej, bliżej... Delmonico na pewno zna swoje obowiązki. Ale ja przecież nic nie wiem o tych morderstwach! Dlaczego się mnie czepia?

Powolutku wyglądam przez spłowieła od słońca owiewkę.

Nadal nie widzę jego twarzy, ukrytej pod daszkiem baseballówki. Może to jednak nie Delmonico? Zresztą nieważne. Lepiej stąd zniknąć.

Z trudem wyginam rękę w prawo, żeby dosięgnąć do kluczyków. Zapłon zakaszał od niechcenia, lecz silnik wciąż nie zaskakuje. Nie! Chyba nic z tego.

No, dalej... Stary, nie rób mi takich rzeczy! To bardzo ważne. Jeżeli Penley mnie zobaczy...

Duszę do deski pedału gazu.

Tylko nie zalej silnika, Kris. Jedziemy, Bob. Zabierz mnie daleko.

Patrzę na mały chromowany przycisk na drzwiach od strony pasażera. Przycisk blokady. Nikt go nie wcisnął. Drzwi są otwarte!

Tuż koło siebie słyszę głośne kroki.

Rzucam się na fotel. Moje palce już prawie muskają blokadę.

Za późno!

Słyszę metaliczny szczęk naciskanej klamki. Mój krzyk ginie, zagłuszony zgrzytem steranych zawiasów.

Ktoś zagląda do samochodu!

Rozdział 40

— Co ty tu robisz, do cholery? Zwariowałaś?

Unoszę głowę i patrzę mu prosto w oczy.

To nie jest Frank Delmonico tylko... Michael.

Nigdy w życiu nie czułam takiej ulgi. Niestety, Michaelowi daleko do takiego stanu. Jest wyraźnie wkurzony. Zły jak diabli. Pierwszy raz widzę go takiego. Sprawia wrażenie, jakby za chwilę miał dostać zawału — i to zaledwie w czterdziestym drugim roku życia.

Nic nie mówię. Nie mogę. Ciągle próbuję złapać oddech i jednocześnie znaleźć wyjaśnienie, co tu w ogóle robię.

Michael stoi w otwartych drzwiach i kręci głową.

— Chryste, jechałaś tu za nami?

Ale ja mam dużo ważniejsze pytanie.

— Poszedł? — chrypię przez zaciśnięte gardło.

— Kto? Co ty wygadujesz? Oprócz nas nikogo tu nie ma.

Siadam i obracam głową jak peryskopem. Rzeczywiście, nikogo nie widać. Ulica jest zupełnie pusta. Żadnego Franka Delmonico.

Milczę, bo jest mi strasznie głupio. Czuję się jak wariatka. Naprawdę nie wiem, od czego zacząć. Co jest ważniejsze? Sen?

Trupy pod hotelem? Delmonico? Facet z kitką? Jak to w ogóle z sensem opowiedzieć, skoro w tym nie ma żadnego sensu? Michael jest ciągle czerwony jak burak.

— Co ty tu robisz? — pyta po raz drugi. — Możesz mi to wyjaśnić, Kristin?

Patrzę na niego pustym wzrokiem. Michael krzyżuje ręce na piersiach. Co tutaj robię? Przez cały czas zadaję sobie to pytanie.

— Ja... eee... naprawdę nie wiem — jąkam się. — To... strasznie skomplikowana sprawa, Michael.

— To według ciebie ma być odpowiedź?

Otwieram usta, ale nie potrafię wykrztusić ani słowa.

— Nieważne — mówi i nerwowo ogląda się przez ramię. Patrzy w stronę werandy, czyli tam, gdzie Penley i jej rodzice popijają martini. — Zwiewaj stąd jak najszybciej. To był poważny błąd z twojej strony, Kris. Bardzo poważny.

Prawie się z nim zgadzam. Jeszcze jedno, zanim odjadę.

— Skąd wiedziałeś, że tutaj jestem? — pytam.

— Myślałaś, że nie poznam Boba nawet za krzakami? To chyba dobrze, że poza mną nikt go nie zauważył. Masz sporo szczęścia.

W tej samej chwili słyhać radosny okrzyk:

— Panna Kristin!

Szeroko otwieram oczy. Niemal tak szeroko jak Michael. Słodki głosik Dakoty jest niczym nóż wbity w nasze serca.

Zmuszam się do uśmiechu. Pierwszy raz, odkąd znam tę dziewczynkę, nie stać mnie na szczerłość.

— Cześć, kochanie — witam ją.

Michael się odwraca. Dakota stoi za żywopłotem, owinięta

białym ręcznikiem w czerwone prążki. Jeszcze ma mokre włosy.

— Co pani tu robi? — pyta.

To jest pytanie za sto punktów, jednak nie znam właściwej odpowiedzi. Jej ojciec zresztą też nie.

Michael patrzy na mnie. Wiem, że w tej chwili myśli dokładnie to samo.

Czy Dakota jest na tyle dorosła, żeby coś podejrzewać?

Czy w ogóle cokolwiek wie o takich sprawach?

— Chodź tu do nas, kochanie — mówi Michael.

Dziewczynka przeciska się do niego. Ojciec delikatnie bierze ją za ramiona.

— Umiesz dotrzymać tajemnicy? — szepcze.

Część siódma

Rozdział 41

Nie mam głowy do tego, by jechać na Manhattan ani gdziekolwiek indziej. Patrę na szosę, ale przed oczami wciąż mam niewinną buzię Dakoty, zapatrzonej w ojca. Czy naprawdę dochowa tajemnicy?

Mogę się tylko modlić.

Trzeba przyznać, że Michael zrobił chyba wszystko, aby nas wybronić. Powiedział Dakocie, że wspólnie planujemy przyjęcie-niespodziankę dla Penley w country klubie „babci i dziadka”. Mistrzowskie posunięcie. Rozmawiał z nią całkiem spokojnie, bez cienia paniki w głosie.

— Pamiętaj, nie mów mamie, bo wszystko popsujesz. Zrozumiałaś, kochanie?

O Boże... Strasznie dużo jak na tę małą główkę.

Jest mi potwornie głupio. Po pierwsze, nigdy nie chciałam okłamywać Dakoty, po drugie, niepotrzebnie wciągnęłam ją w to wszystko. Przecież to jeszcze dziecko.

Wyjeżdżam z Connecticut i wracam do miasta. Jakoś udaje mi się przejechać przez zawsze wąską FDR Drive bez karambolu na pięćdziesiąt wozów. Zostawiam Boba na parkingu przy First

Avenue. Po chwili niemal już nie pamiętam, że w ogóle siedziałam za kierownicą.

Co dalej?

Dzień jest naprawdę piękny, ale jakoś nie mam ochoty na spacer. Nie myślę też o powrocie do domu. Jadę więc taksówką do Angelika Film Center na *Igraszki z losem*. Wersja reżyserska. Tytuł nawet na miejscu.

Chcę się trochę rozerwać, może nawet pośmiać, a Ben Stiller bywa najlepszy na chandrze. Zgodnie z informacją zawartą na plakacie, oglądam „sześć dodatkowych minut”. Trochę mnie to dziwi. Do tej pory myślałam, że wersja reżyserska jest na ogół ciut krótsza od oryginału.

Po filmie idę do SoHo na małe zakupy. Tam jest większość moich ulubionych sklepów z ciuchami. Zaglądam więc do Jenne Maag, Kirna Zabete i French Corner — gdzie kiedyś widziałam, jak sama Gwen Stefani przymierzała džinsy — ale nic nie kupuję. Jakoś nie jestem w nastroju. W duchu nadal żałuję idiotycznej wyprawy do Westport.

To było strasznie głupie, bez względu na niemiłą przygodę z Dakotą. Michael miał pełne prawo, żeby się na mnie wściekać. No, może trochę przesadził...

Co chciałam przez to osiągnąć?

Chyba dziesiąty raz sięgam po komórkę, żeby do niego zadzwonić. Mam zamiar go przeprosić.

Dziesiąty raz odkładałam telefon na miejsce. Nie przeginaj, myślę. Znasz Michaela. Daj mu spokój przez dzień lub dwa, to wszystko będzie dobrze.

Wszystko wróci do normy.

Rozdział 42

Stoję w promieniach wieczornego słońca na rogu Prince Street i Greene. Czekam na zielone światło. Rozglądam się. Lekka paranoja... ale w zasadzie nie jest najgorzej. Wszystko się jakoś łączy.

Nie wiem, czy jest lepsze miejsce do obserwacji ludzi niż SoHo. Może Paryż? A może nie? Tak zwani ludzie z towarzystwa, punki, artyści, paru transwestytów — krótko mówiąc: wszystko, czego dusza zapagnie.

Łącznie z jakimś wariatem po drugiej stronie ulicy.

To starszy facet w ciemnych okularach, z długą siwą brodą, wiszącą mu do pasa. Przechadza się po chodniku, z tablicą nad głową, jak na starych kreskówkach. Tylko napis ma inny. Zamiast „Koniec jest blisko” hasło brzmi: „Koniec to zaledwie początek”. Domyślam się, że chodzi mu o Sąd Ostateczny.

Okej, zrozumiałam. To takie ostrzeżenie.

Przechodzę przez ulicę. Mimo woli potrząsam głową. Jak to się dzieje, że niektórzy ludzie są tak oderwani od naszego świata?

— Strzeż się, Kristin.

Słucham?

Staję jak wryta i odwracam się do niego.

— Skąd wiesz, jak mam na imię?

— Po prostu wiem.

Podchodzę parę kroków bliżej. Staję zaledwie pół metra od niego. Jest prawdziwy. Na pewno.

— Pytałam, skąd wiesz, jak mam na imię?

— Jeszcze nie jest za późno, Kristin — odpowiada. Ma nieprzyjemny, szorstki i trochę niesamowity głos.

Odwraca się, żeby odejść, więc szybko łapię go za rękę.

— Zaczekaj. Co to wszystko znaczy? — Cisza. Obrazłam pana ZZ Topa? — Gadaj! — wołam natarczywie. — Uśmiecha się. W życiu nie widziałam tak czarnych i popsutych zębów. Mimo to wciąż przy nim stoję. — Znamy się? — pytam.

Zdejmuje okulary. Tym razem cofam się z cichym jękiem. Nie ma jednego oka. Nie ma tam nic poza czarną dziurą, która ucieka gdzieś do środka głowy. Jak to możliwe? Boję się, że zaraz tam zobaczę glisty albo białe czerwce.

— Jeszcze nie — odpowiada. — Ale niedługo się poznamy. Chyba że zrobisz coś ze swoim życiem.

Zakłada okulary, kiwa głową i odchodzi.

Rozdział 43

Cała się trzęsę. Tępym wzrokiem patrzę za jednookim dowiecipnisiem. Nowa zagadka. Gdzie jest gorzej? U mnie w mieszkaniu czy na ulicy?

Łapię taksówkę. Myślę, że z dwojga złego powinnam jednak wracać do domu. Spokojny wieczór wśród czterech ścian wpływa kojąco na psychikę. Może to wszystko jakoś poskładam? Raczej wątpliwe, ale jednak...

Piętnaście minut później już jestem u siebie.

Najpierw supergorąca kąpiel — taka, że do wody wchodzi centymetr po centymetrze. Nawet dodaję nieco ziół, które dostałam w zeszłym roku od Connie na urodziny. Na etykiecie widnieje napis „Łagodne cytrusy”.

Siedzę w wannie tak długo, aż dostaję zmarszczek. Wycieram się i wkładam wygodny szlafrok. Potem zamawiam chińskie żarcie. Jak zwykle: kurczak w sosie sezamowym i ryż z warzywami. Tylko bez glutaminy. Chcę spędzić normalny wieczór we własnym domu. Wiem, że to brzmi głupio, ale w tej chwili nie potrafię myśleć o czymś innym.

Z pełnym żołądkiem, po tak ciężkim dniu, powinnam być śpiąca. Nic z tego. Wciąż miotam się jak nakręcona.

Próbuję nie myśleć o jednookim, którego spotkałam na rogu ulicy. Skąd znał moje imię? Ale to nie jego twarz widzę w swoich myślach, lecz buzię Dakoty.

„Panna Kristin?”

Ciągle słyszę jej słodki głosik. Przypominam sobie, że wystrykałam całą rolkę filmu, kiedy Dakota i Sean pluskali się w basenie.

Nareszcie mogę się czymś zająć.

Idę do ciemni.

Podwijam rękawy szlafroka i biorę się do roboty. Niemal natychmiast czuję ulgę na ciele i umyśle. Nawet troszeczkę się uśmiecham, bo już mam świetny pomysł na wystawę. „Na czatach” — tak mógłby brzmieć jej tytuł. Zdjęcia zrobione z ukrycia, z samochodu.

Nie, zaraz... „Bob i ja”. To brzmi jeszcze lepiej.

Naprawdę bardziej mi się podoba. Zanim przełożę negatyw do utrwalacza, rzucam okiem na parę klatek.

— Och, jakie śliczne! — wołam na głos.

To moje najukochańsze dzieciaki na świecie. Bawią się wspólnie. Nawet na negatywie widać ich roześmiane buzie.

Znów czuję się trochę dziwnie. Do tej pory pokazywałam Dakocie i Seanowi wszystkie zdjęcia, które im zrobiłam. Tych nigdy nie zobaczą.

Znajduję także ujęcie z Penley. Stoi w typowej dla siebie pozycji, z władczo wyciągniętym palcem. Bardziej strażniczka niż mamusia.

Już chcę przejść do następnego zdjęcia, kiedy coś sprawia, że jeszcze raz patrzę na tę samą klatkę. Żołądek zjeżdża mi do piwnicy. Chwytam lupę i przybliżam do oczu zdjęcie z Penley.

Przyglądam mu się w osłupieniu.

Rozdział 44

Szybko sprawdzam poprzednie zdjęcia, te z Dakotą i Seanem. Tam też to widać?

Nie.

Wszystko w porządku, a nawet lepiej.

Patrzę na Penley. Mrużę oczy i wodzę palcem po emulsji. Negatyw jest zupełnie dobry.

Ale nie zdjęcie. Złe. Paskudne. Wręcz niemożliwe.

Taki sam efekt jak na fotografii czterech nieszczęsnych worków pod hotelem Falcon. Ulotny, ale wciąż widoczny. A może raczej niewidoczny.

Penley jest lekko przezroczysta. Niby tam stoi, ale nie do końca.

Naprawdę nie jest aż tak chuda! Jak to się znów stało? Dlaczego?

Zapalam światło i spoglądam na tablicę z czarnego korka. Patrzę na zdjęcia mojego ojca. Jak on wygląda? Może po prostu coś przeoczyłam?

Przebiegam wzrokiem wszystkie fotki przypięte do ściany. Na żadnej nie ma czegoś podobnego. Czyste ujęcia — tyle że człowieka, który podobno zmarł przed dwunastoma laty!

Więc to nie wina obiektywu. Z nowym dzieje się to samo co ze starym. Czyli aparat jest popsuty. Przynajmniej taką mam nadzieję.

Dobrze pamiętam, że Javier z Gotham Photo dawał mi kiedyś swoją wizytówkę. Z tyłu zapisał numer komórki. Może próbował się umówić? W każdym razie dodał przy tym, że mogę dzwonić w dzień i w nocy, jak będę miała jakiś kłopot.

Chyba właśnie mam.

Pytanie tylko, gdzie ją schowałam? Najpierw zaglądam do portfela. Kilka wyciągów z bankomatu, AmEx, Visa, Discover, prawo jazdy, karta stałego klienta z Java Joint.

Nie ma wizytówki.

Sprawdzam w szufladach, w szafce przy łóżku... Niewiarygodne, ile tam śmieci. Na litość boską, naprawdę muszę zabierać zapalki z każdej restauracji?

No dalej, Javier... Gdzie się chowasz?

Kiedy to było? — myślę zawzięcie. Przypomnij sobie chociaż porę roku...

Na pewno zimą.

Może włożyłam ją do kieszeni płaszcza? Myślę, że nawet wiem którego. To ten z futerkiem, najładniejszy — z rodzaju „musisz go natychmiast kupić” — który spostrzegłam kiedyś u Saksa. Potem przez miesiąc żyłam wyłącznie na kanapkach z tuńczykiem.

Javier też zwrócił na niego uwagę... kiedy mi wręczał swoją wizytówkę.

Idę do szafy, pełna podziwu, że mam taką dobrą pamięć. Może do końca nie zwariowałam?

Jeżeli będę miała szczęście, to jeszcze dzisiaj spotkam się z Javierem i pokażę mu swoje zdjęcia. Sprawdzi aparat, znajdzie usterkę. Prawda, że proste? Już po tajemnicy.

Tylko że najpierw muszę odszukać wizytówkę.

Otwieram szafę.

To znaczy... chcę ją otworzyć. Drzwi się zacięły. Obracam klamkę, ale drzwi nadal są zaklinowane. A niech to licho... Nie wiem, czy nadal mam ochotę zaglądać do tej szafy.

Niestety, muszę, więc ciągnę mocniej. I jeszcze mocniej, obiema rękami. Wygląda na to, jakby drzwi były zamknięte od środka. To niemożliwe, prawda? Nigdy nie zamykałam szafy. Kto mógł to zrobić?

Przekładam ręce i napreżam mięśnie. Ciągnę i ciągnę, aż do bólu ramion.

Drzwi pomaleńku ustępują — nagle otwieram je na oścież.

Patrzę do wewnątrz.

Och, nie! O Boże! Na pomoc!

Wrzeszczę, ile sił w płucach.

Rozdział 45

— Obudź się, Kristin! Wstawaj.

Gwałtownie otwieram oczy i rozglądam się nieprzytomnym wzrokiem. Wszystko wydaje się jakieś zamglone.

— Gdzie ja jestem?

— U mnie — słyszę głos Connie. — Ziemia, planeta ludzi.

Wygląda na mocno przejętą, a może nawet wystraszoną.

— Wszystko w porządku? — pytam.

— Ty mnie pytasz, czy wszystko w porządku? — odpowiada Connie, z niedowierzaniem kręcąc głową. — Boże, tak się darłaś, jakby ktoś cię tutaj mordował!

Widzę promienie słońca, przeciskające się przez zasłony. Jest wczesny ranek. Leżę na kanapie w mieszkaniu Connie przy Upper East Side. Tyle zdążyłam zauważyć. Reszta jest dla mnie wielką zagadką.

— Nic... nie pamiętam...

— Wpadłaś tu wczoraj bliska hysterii — mówi Connie. — Opowiadałaś w kółko o swoim śnie i o jakichś zdjęciach. Aha, jeszcze o szafie. Tej w przedpokoju. Już coś kojarzysz?

— Karaluchy...

— Podobno były ich miliony. Skóra mi cierpła od słuchania.

Tak... To ostatnie, co pamiętam. Szafa pełna karaluchów. Może nie milion, może tylko tysiąc, ale ja mam wstręt do robactwa. Nagle poczułam je na twarzy i we włosach. A potem nic już nie pamiętam.

Connie ostrożnie bierze mnie za rękę.

— Trochę się rozkleiłaś, mała — mówi. — Dałam ci dwa xanaxy i zapakowałam pod kołderkę. Spałaś jak suseł, aż do rana.

Dopóki nie zaczęłam krzyczeć.

Hotel, cztery trupy, ręka. Ten sam koszmar, chociaż w innym miejscu. Wędruje za mną.

— Mogę ci jakoś pomóc, Kristin? Jak się czujesz? — pyta Connie.

Jak potłuczona.

Z gramofonem w głowie. Dowiem się w końcu, co to za piosenka? Szkoda, że Connie jej nie słyszy, może by coś podpowiedziała.

Ale ta melodia dźwięczy wyłącznie w moich uszach, więc nic nie mówię. Skoro ja nie wiem, co się ze mną dzieje, to jak mam to komuś wytłumaczyć? Poza tym nie chcę jej bardziej wystraszyć. I tak dziewczyna się zdenerwowała.

Zapewniam ją, że nic mi nie jest.

— Która godzina? — pytam z przerażeniem. — Nie mogę spóźnić się do pracy.

Odrzucam kołdrę. Connie próbuje mnie powstrzymać.

— Wracaj do łóżka — nalega. — To poważna sprawa. Naprawdę szkoda, że nie słyszałaś tego, co wygadywałaś wczoraj. Coś jest nie tak. Może znów pójdziesz do tego swojego psychiatry?

Tak. Już u niego byłam.

— Przepraszam, że cię przestraszyłam — mówię. — To wszystko przez ten koszmarny sen. Ostatnio żyję w ciągłym stresie.

— A zdjęcia? Duchy? Przewrocyści ludzie?

— Też mi się to śniło — kłamię.

Wstydzę się tego, że zwariowałam? Dlaczego nie chcę szczerze porozmawiać z moją najlepszą przyjaciółką? Connie przygląda mi się przez chwilę.

— Zadzwoń i powiedz, że jesteś chora — mówi. — Musisz odpocząć.

— Nie mogę, Connie. Dzieci mnie potrzebują.

— To niech dzisiaj Ołówek trochę się nimi zajmie. Przecież jest ich matką.

— Nic mi nie będzie. — Zmuszam się do uśmiechu i spuszczam nogi z łóżka. Mrugam do Connie. — Pożyczysz mi jakieś ciuchy?

Rozdział 46

Wkładam czarne spodnie i elastyczny szary sweter z golfem. Niecałe dziesięć minut później już jestem w drodze do pracy. Zwykle zajmuje mi to więcej czasu. Tylko że zwykle nikt — w tym przypadku Connie — nie patrzy na mnie tak, jakbym za chwilę miała wejść na krzesło i krzyknąć głośno: „Oszalałam na punkcie Cocoa Puffs!” [Hasło reklamowe firmy General Mills, wykrzykiwane przez zwariowaną kukułkę Sonny].

Dopiero w windzie, już jadąc do Turnbullów, uświadamiam sobie, że za chwilę czeka mnie nowe doświadczenie. Jestem dziś wcześniej.

Znakomicie. Nie spotkam Penley tuż za progiem.

Otwieram drzwi apartamentu i od razu widzę Seana. Siedzi na podłodze w przedpokoju, otoczony kolorowymi klockami lego. Nawet nie słyszy, że już jestem.

— Dzień dobry, kochanie.

Z uśmiechem unosi głowę.

— Cześć, panno Kristin! Klękam obok niego.

— Co dziś budujesz? Chyba coś wielkiego. Co to jest?
— Supergalaktyczna wyrzutnia raket, które ocalą Ziemię przed kosmitami z planety Grom.

— Chcą nas zaatakować?

— Chyba tak — odpowiada, z powagą kiwając główką.

Obrzucam go uważnym, odruchowym spojrzeniem, żeby sprawdzić, czy dobrze ubrał się do szkoły. Tak, wszystko w porządku, łącznie ze skarpetkami, na których widnieje Jimmy — a może Penley? — Neutron.

— Gdzie Dakota? — pytam.

— W swoim pokoju. — Wstaję, ale po pierwszym kroku słyszę głos Seana: — Mamy jej nie przeszkadzać.

— Co to znaczy? -

— Nie idzie dzisiaj do szkoły — odpowiada, wlepiając wzrok w klocki.

— Źle się czuje?

— Nie wiem. Ale mama była na nią strasznie zła.

Żołądek zwija mi się w miliony twardych supłów. Może Dakota złapała katar? A może jednak nie zdołała dotrzymać tajemnicy? Znów klękam koło Seana.

— A pamiętasz, co mama do niej powiedziała?

Wciska następny klocek.

— Patrz, panno Kristin!

Z głośnym „bziuuu” macha rakieta w powietrzu.

— Wspaniale — mówię. Siłę się na cierpliwość. — Powtórz mi, co mówiła mama. Pamiętasz, Sean?

Okropna myśl niemal rozsadza mi czaszkę. Już słyszę głos Dakoty: „Widziałam pannę Kristin tuż koło domu dziadków! Była razem z tatą!”.

Więc taki ma być koniec? Tak runie domek z kart, który zbudowałam?

Oglądam się przez ramię w kierunku drzwi wiodących na korytarz. Narasta we mnie pierwotny instynkt, zakończony natarczywą myślą.

Uciekaj!

Zwiewaj stąd!

Nie próbuj się z nią spotkać!

Już nie zdążę się zerwać do szaleńczej ucieczki. Od strony salonu słyszę afektowane kroki Penley. Odwracam się. Stoi — i patrzy prosto na mnie.

— O wilku mowa — mruczy.

Rozdział 47

— Sean, kochanie... idź do swojego pokoju, proszę — mówi Penley łagodnym i słodkim głosem. Jak na mój gust nawet zbyt łagodnym. To pewnie chwila ciszy przed krwawym pojedynkiem, który nas jeszcze czeka.

Za późno, żeby uciec?

Sean posłusznie zabiera swój kosmiczny pojazd i powłóczę nogami, idzie do pokoju. Mam szczerą ochotę zawołać go, żeby został. Przecież Penley nie zabije mnie na oczach pasierba, prawda?

Nie bardzo wiem, co zrobić. Pochyliam się i zbieram porzucone klocki.

— To może poczekać — mówi Penley. — Chodź, chcę z tobą chwilę porozmawiać.

Ubrana do treningu — a jakby inaczej? — prowadzi mnie do salonu i ruchem ręki wskazuje zieloną kanapę, stojącą pod ścianą. Sama siada w fotelu, twarzą do mnie.

— Jak minął weekend? — pyta.

Nie mogę uwierzyć. Chyba kpi sobie ze mnie! Co za uroczy uśmiech i łagodna mowa... Nigdy nie pytała, jak spędziłam weekend. Nigdy.

— W porządku.

— Nic specjalnego?

— Raczej nie... — Och, może oprócz tego, że rozmawiałam ze zmarłym ojcem. Prawie zapomniałam.

O co jej chodzi? Chce mnie skłonić do zwierzeń?

Nic z tego. Powiem jej to samo, co Michael powiedział Dakocie. Planujemy większe przyjęcie. Tego się trzeba trzymać!

— A co u ciebie? — pytam, odwzajemniając jej promienny uśmiech. — Miałaś udany weekend?

— Nawet bardzo — odpowiada. — Wczoraj pojechaliśmy na wieś, do moich rodziców.

— Och?

— Nie mówiłam ci o tym?

— Może...

Na pewno nie mówiłaś. Wiem to od Michaela.

— Powinnaś kiedyś pojechać z nami — ciągnie Penley. — Dom jest prawie nad wodą, z kortem i basenem. Naprawdę można trochę odpocząć od miasta.

Och, jakaś ty dobra, Penley.

Dalej chcesz się w to bawić? Pozwól, że ci pomogę.

— Dla dzieci to istna frajda.

— Oj tak. Wszystkie dzieciaki szaleją na sam widok wody. — Zakłada nogę na nogę. — Chociaż trochę się martwię.

— Czym takim?

— Dakotą.

No, nareszcie... Dobrnęła.

— Ach, tak — wzdycham. — Słyszałam od Seana, że zachorowała.

— Prawdę mówiąc, nie bardzo wiem, co jej dolega. Wczoraj, w drodze powrotnej, była jakaś cicha. Nie ma temperatury,

brzuch też jej nie boli. Jest trochę przygaszona. Domyślasz się, co to takiego?

Milczę. Napinam wszystkie mięśnie, gotowa na najgorsze. Czekam, że za chwilę Penley wyłoży karty.

Ale ona jedynie wzrusza ramionami.

— Szybko jej przejdzie. To silna dziewczyna, podobna do Michaela — mówi. — Jednak na razie niech zostanie w domu. — Lekceważąco macha ręką. — A tak w ogóle, to nie o tym chciałam ci powiedzieć.

Z trudem przełykam ślinę.

— Nie?

— Wiesz, z kim rozmawiałam wczoraj?

Jeżeli nie z Dakotą, nic mnie to nie obchodzi. Rozpływam się ze szczęścia.

— Z kim? — pytam.

— Ze Stephenem.

Chwilę trwa, zanim to sobie poukładam.

— Och, z tym znajomym... Z przystojniakiem, prawda?

— Właśnie — odpowiada. — Cholernym przystojniakiem.

Masz dzisiaj wolny wieczór?

— Hm...

— To już jest zajęty.

Rozdział 48

— A wie pani, że niektóre samice karaluchów parzą się tylko raz i pozostają w ciąży aż do końca życia?

— Och... — bąkam, kiwam głową i próbuję okazać zdumienie zamiast wstrętu.

Facet wyciera nos rękawem i wydaje jakieś dziwne pomlaskujące dźwięki, jakich nigdy przedtem nie słyszałam u ludzkiej istoty.

— Nic dziwnego, że potem łązi tyle małych.

— Tak — odpowiadam. — Nic dziwnego.

Oczywiście, mogło być gorzej. Mogłam go spotkać na randce w ciemno. Ale to tylko gość od dezynsekcji. Jednym słowem, tępiciel. Umówiłam się z nim w porze lunchu. Prawdę mówiąc, czekałam na niego pod drzwiami. Za żadne skarby świata nie chciałam sama wejść do mieszkania.

Facet wygląda nieco dziwnie. Nosi grube szkła w czarnej oprawce. Jego oczy wydają się nienaturalnie duże. Trochę mi przypomina Stephena Kinga — ale Kinga widziałam wyłącznie na zdjęciach, a przecież zdjęcia kłamią.

— Sęk w tym, że karaluchy mogą przetrwać wszystko — kontynuuje. — Wie pani, że potrafią wstrzymać oddech na pełne czterdzieści minut?

— Ciekawe. Jest pan dla mnie chodzącym źródłem informacji.

Zakłada dyszę na rozpryskiwacz.

— Widziała je pani w tej szafie?

Kiwam głową. Tak, jakieś dwa tysiące.

— Więc zaczniemy od szafy.

— To chyba dobry plan.

Cofam się, kiedy otwiera drzwi. Nie chcę na to patrzeć. Nawet nie chcę tutaj być.

— Hm... — mruczy, zagładając do środka. — Mhm... hm... hm...

— Co się stało?

— Na podłodze nie widzę ani śladu bobków. — Natychmiast unosi rękę, jakby chciał się poprawić. — Oczywiście, wierzę pani.

Patrzę na niego, jak z latarką w rękę ogląda boki szafy.

— Z sąsiadami wszystko w porządku? — pyta.

— Co to znaczy?

— Nie są kłótlivi? — Znowu wyciera nos rękawem. — Już widywałem, jak jeden sąsiad straszyl drugiego karaluchami. Wie pani, wpychał je do wywietrznika albo też wiercił w ścianie dziury. Częściej się zdarza, niżby kto przypuszczał.

Natychmiast myślę o pani Rosencrantz i jej Herbercie. O to bym ich nie podejrzewała.

Obchodzimy resztę mieszkania. Każda szpara i szczelina zostaje spryskana dwa razy. Mam nawet ochotę powiedzieć facetowi, że chyba przesadza.

— Co tu jest? — pyta przed ostatnimi drzwiami.

— Tu? Tylko moja ciemnia.

Wpuszczam go do środka i zapalam światło.

Wchodzi i rozgląda się z wyraźną ciekawością.

— Mhm... mhm...

Psika kilka razy w różne miejsca, a potem patrzy na zdjęcia wiszące na ścianie. Zatrzymuje się przed fotografią ojca.

— Znacie się, prawda? — pyta.

— Skąd panu to przyszło do głowy?

— Widzę, że patrzy bardziej na panią niż w obiektyw. Z wyrazu twarzy można wywnioskować, że znacie się nawet dobrze.

— Tak, to mój ojciec.

Przybliża twarz do zdjęcia.

— Dobry był z niego człowiek?

— Słucham?

— Pytałem, czy...

— Nie, to słyszałam. Tylko pytanie jest trochę dziwne.

— Według mnie to raczej jedyne pytanie... które dotyczy wszystkich ludzi. Przecież na końcu jesteśmy tylko sumą wyborów dokonanych w życiu.

Świetnie, tępicieł egzystencjalista.

Przyznam, że już bym chciała zakończyć tę wizytę. Nie dość, że facet wygląda jakoś podejrzanie, to na dodatek jeszcze bredzi. Czuję, że zaraz znów dostanę wysypki.

— Skąd pan wie, że mój ojciec umarł? Spytał pan: „Dobry był z niego człowiek?”.

Wzrusza ramionami.

— Tak mi się zdawało.

Z niedawno zrobionego zdjęcia?

Teraz na dobre mam gęsią skórkę. Chcę, żeby sobie jak najprędzej poszedł. Jest tak okropny jak całe stado przerażających karaluchów.

— Skończył pan? — pytam szybko.

— Bardzo przepraszam, jeśli przypadkiem panią czymś uraziłem.

— Nic się nie stało. Po prostu jestem trochę nerwowa. Pewnie z powodu karaluchów.

I całej masy innych rzeczy.

Z czułością klepie bańkę z trucizną.

— Z nimi przez chwilę będzie spokój.

— Jak długo to działa?

— Mniej więcej miesiąc.

— Tak krótko? Sądziłam, że w dzisiejszych czasach już wymyślono coś lepszego.

— Coś tak na zawsze?

— Właśnie.

Kręci głową.

— Nie... Według mnie tylko jedna rzecz na tym świecie jest naprawdę wieczna.

— Niech zgadnę. Miłość?

— Nie — odpowiada i nachyla się lekko do mnie. — Nasza dusza.

Rozdział 49

O wpół do dziewiątej wchodzę do zatłoczonego Elio's przy Second Avenue, w pobliżu 84th Street. Patrzą na mężczyzn okupujących bar, szukając tego, który pasowałby do opisu. Wysoki, ciemnowłosy i bardzo przystojny. Reaguje na imię Stephen.

Skoro tak mówisz, Penley...

Jesteś szefową. Możesz mi wierzyć, gdybyś nią nie była, nikt by mnie nie wyciągnął na taką randkę! Zwłaszcza teraz.

— Przepraszam... Masz na imię Kristin?

Odwracam się i widzę twarz o wystających kościach policzkowych. Robię szybki przegląd całej reszty.

Wysoki, ciemnowłosy, bardzo przystojny. Wszystko się zgadza.

— A ty pewnie jesteś Stephen? — pytam i uśmiecham się mimo woli.

Chwilę później siedzimy przy małym stoliku tuż pod ścianą. Michael byłby strasznie zazdrosny.

Ale nie to sprawia, że mam poczucie winy. Stephen opowiada mi trochę o sobie. Prowadzi studio montażowe i lubi wspinaczkę

skąłową. Jest naprawdę diabelnie miły. Jednak wiem, że marnuję czas. Moje serce należy do Michaela. Po chwili Stephen coś wyczuwa, bo pyta nagle:

— Masz chłopaka?

Muszę kłamać, choć wcale tego nie chcę.

— Nie — odpowiadam. — Jestem sama.

— To właśnie mówiła Penley, ale wolałem cię zapytać. — Uśmiecha się. Ma miły uśmiech. — Chcesz, abym kontynuował? Pewnie słyszałaś, co się stało?

Kręcę głową.

— Jedynie tyle, że ostatnio musiałeś rozstać się z dziewczyną.

— Cóż, chyba można tak powiedzieć. Dla mnie to jednak było coś gorszego.

— A co się stało, jeśli wolno spytać?

— Popelnilem poważny błąd — odpowiada, potrząsając głową. — Ona ma męża.

Och.

Kelner przerywa niezręczną ciszę, która zapadła po tych słowach. Zachwala główne potrawy dnia: *osso buco*, okonia morskiego w czarnym sosie i „przewyborne” risotto z owocami morza. Bezpieczniej będzie zmienić temat.

Myśl, Kristin.

Kelner odchodzi.

— Powiedz mi coś więcej o swojej pracy — proszę Stephena.

Jakby w ogóle mnie nie słyszał.

— Wiesz, co jest w tym najgorsze? — pyta. — Wierzyłem jej. Wciąż powtarzała, że porzuci męża. Byłem okropnie głupi. Takie jak ona nigdy nie odchodzą.

Natychmiast sięgam po szklankę wody. Mam sucho w ustach.

Tak jakbym zjadła garść słonych paluszków na Saharze.

— Wszystko w porządku? — Patrzy na mnie. — Wyglądasz jakoś nieszczęśliwie.

— Nie, nic mi nie jest.

Wzdycha.

— Tak, rozumiem. Wkurza cię, że wciąż mówię tylko o niej.

— Nie szkodzi. Wiem, jak to bywa.

— Serio?

— Mhm... — mruczę. — Takie rozstania nigdy nie są łatwe.

Jedno już przeżyłam — i to na poważnie. Moim pierwszym chłopakiem był Matthew z Bostonu.

— Masz rację. Ale dręczy mnie coś innego.

— Niby co?

— Poczucie winy. Przed rozstaniem w ogóle o tym nie myślałam — mówi. — Dlaczego chciałam zniszczyć ich małżeństwo?

Słucham go — i wciąż powtarzam w duchu, że rozmawiamy o nim, a nie o mnie. Jest mi potwornie głupio. Trochę za bardzo to podobne do sytuacji z Michaeliem. Denerwuję się coraz bardziej.

— Z tego, co mówisz, jej małżeństwo nie należy do zbyt udanych — zauważam.

— Niby tak, ale to nadal jest legalny związek. Nie miałem prawa ich rozdzielać. Na litość boską, przecież mają dzieci!

— Ona w ogóle ich nie kocha! — wołam.

Stephen przygląda mi się spod oka.

— Słucham?

Eee... Powiedz coś, Kristin. Szybko! Cokolwiek! Co ci w tej chwili przyjdzie do głowy!

Chrząkam, żeby się uspokoić. Potem przejmuję inicjatywę.

— Chyba za bardzo to przeżywasz, Stephen. Wiesz, że do tanga trzeba dwojga.

— Tak — odpowiada. Lekko nachyla się w moją stronę. — Ale o jednym zapominasz.

— O czym?

— O tym, że nikt ci nie każe tańczyć.

Część ósma

Rozdział 50

Muszę odetchnąć świeżym powietrzem!

Tylko o tym potrafię myśleć, odkąd rozstałam się ze Stephenem. Pożegnaliśmy się przed Elio's. Uśmiechnął się i szybko cmoknął mnie w policzek. Chyba oboje dobrze wiedzieliśmy, że to była nasza pierwsza i ostatnia randka.

— Zawołać ci taksówkę? — spytał.

— Nie, dziękuję. Mam ochotę na mały spacer. Wszystko mi jedno, dokąd idę, więc przez godzinę nawet nie patrzę na nazwy ulic. Po prostu włóczę się bez celu. Dopiero wtedy, kiedy czuję jakiś nieznośny ucisk w brzuchu, rozglądam się po okolicy.

Jestem na rogu 68th Street i Madison, dokładnie przed hotelem Falcon.

Przypadek?

Oby...

Zaczynam wierzyć, że wszystko, co ostatnio się ze mną dzieje, musi mieć jakiś ukryty powód. Niestety, nie umiem go znaleźć. Wiem, że na pewno istnieje coś, co łączy te wydarzenia.

Najdziwniejszy jest hotel Falcon. Tak się składa, że znam go

wyjątkowo dobrze, chociaż do tej pory nikomu tego nie mówiłam. Nawet Michaelowi. To się zdarzyło kilka dni po moim przyjeździe do Nowego Jorku, tuż przed rozstaniem z Matthew z Bostonu. Od tamtej pory próbowałam o tym nie myśleć. A teraz proszę!

Stoję przed wejściem do hotelu i patrzę na nadzianych gości, kręcących się w tych samych drzwiach, przez które wynoszono trupy. Mimo woli myślę o innym dziwnym „przypadku”.

O moich fotografiach.

Nadal nie wiem, skąd wziął się ów widmowy efekt na zdjęciu zwłok w plastikowych workach. To samo z Penley...

Musi być jakiś logiczny związek między tymi fotografiami. Ba, ale jaki? Czy w życiu wszystko jest logiczne? Niby od kiedy?

Łatwo powiedzieć, że mój sen pewnie ma w sobie coś z przecucia. Co prawda nigdy nie wierzyłam w tę domorosłą psychologię, ale ostatnio jest inaczej. Wspomniany koszmar już się spełnił. Widziałam to na własne oczy. Stałam dokładnie tu, w tym samym miejscu.

Sęk w tym, że w workach były tylko trupy. Penley — o tym mi nie trzeba przypominać — jest jak najbardziej żywa.

Nie idź tam.

Nic na to nie poradzę. Znowu nie potrafię uwolnić się od natrętnej wizji. Wiem, że źle robię. Że to potworne.

A jednak myślę.

To właśnie Penley stoi mi na drodze. Gdyby nie ona, od dawna miałabym Michaela, Dakotę i Seana. Miałabym wszystko, czego pragnę.

Jedynie Penley psuje zdjęcie.

Rozdział 51

Poważnie.

Nie chodź tam.

Przy każdym kroku powtarzam sobie, że nie powinnam tego robić, lecz inny głos — dużo silniejszy i obco brzmiący w moich uszach — bez przerwy pcha mnie do działania.

Bezwiednie idę coraz szybciej. Jestem napompowana adrenaliną. Noc wydaje mi się bardzo chłodna, dużo chłodniejsza niż zazwyczaj w maju. Czuję muśnięcia wiatru na policzkach.

Spoglądam w górę. Oczywiście, dzisiaj jest pełnia!

W pięć minut pokonuję trasę, którą zazwyczaj idę dwa razy dłużej. Zanim zdążyłam się obejrzeć, już stoję prawie pod domem Michaela.

Patrzę na zegarek. Właśnie minęła północ.

Myślisz, że Michael gniewał się na ciebie za to, że pojechałaś do Connecticut? To zobaczysz dopiero teraz.

Przez ogromną szybę obok drzwi widzę nocnego portiera, siedzącego z lekko znudzoną miną za swoim biurkiem.

Próbuję sobie przypomnieć, jak ma na imię. Jestem niemal pewna, że Adam. Do tej pory spotkałam go może ze dwa razy, kiedy miał zastępstwo na dziennej zmianie.

Nieważne.

Dzwonię z komórki. Patrzę, jak portier podnosi słuchawkę. Zawsze podają adres budynku, zamiast powiedzieć po prostu „halo”.

— To Adam? — pytam.

— Tak.

— Cześć, z tej strony Kristin, niania od Turnbullów. Posłuchaj, mam do ciebie prośbę. Louis pozwolił mi dzisiaj rano skorzystać z waszej toalety. Zdaje się, że zostawiłam tam torebkę. Mógłbyś to sprawdzić? Przepraszam.

— Oczywiście, poczekaj chwilę.

Odkłada słuchawkę na bok i znika za drzwiami. W mojej głowie rozlega się strzał ze startera.

Naprzód!

Przebiegam przez Fifth Avenue i wpadam do budynku. Błyskawicznie mijam pusty hol i bezpiecznie znikam na schodach przed powrotem Adama.

Jestem w środku.

Przerywam połączenie i po cichu wchodzę na piąte piętro, żeby na pewno być poza zasięgiem głosu. Potem znów dzwonię do Adama.

— Przepraszam, że się rozłączyłam, ale miałam drugi telefon — mówię. — Znalazłeś ją?

— Nie. Nic tam nie ma. Pod biurkiem także.

— Cholera, byłam pewna, że tam ją zostawiłam. Dzięki za fitygę.

— Nie ma sprawy — mówi.

Na pewno.

Każdy, kto jak ja przez kilka lat pracuje w tym samym miejscu, dość dużo wie o swoim otoczeniu. Tak się składa, że u Turnbullów nie ma kamer na schodach. Tym lepiej dla mnie.

Teraz pora na główny punkt programu.

To zwykle nosi nazwę „włamanie”.

Rozdział 52

Wspinam się przez trzynaście pięter, zanim zdyszana, z trudem łapiąc oddech, stoję przed drzwiami mieszkania Turnbulłów. Znowu spoglądam na zegarek. Wiem, to nerwowe.

Światła w apartamencie gasną najpóźniej o dziesiątej. Michael na ogół wstaje bladym świtem, a Penley lubi się kłaść wcześniej, bo to dobrze wpływa na cerę. Broń Boże, żeby kiedyś miała wory pod oczami.

Mimo to czekam pełny kwadrans. Mam ostatnią szansę, żeby się opamiętać.

Nie korzystam z niej.

Palcami wyczuwam klucz, który kiedyś dostałam od Penley. To było niemal na samym początku mojej pracy. Jak przez mgłę przypominam sobie, że górnolotnym tonem mówiła wtedy coś o „symbolu zaufania”. No i proszę — teraz wspomniany symbol posłuży mi do sforsowania drzwi w samym środku nocy.

Trzymając klucz w mocno zaciśniętej garści, na palcach zbliżam się do wejścia. Wkładam klucz do solidnego mosiężnego

zamka i powoli przekręcam. Chcę uniknąć głośnego „klik” otwieranej zapadki. Na korytarzu jest bardzo cicho. Nawet zbyt cicho. Boję się, że najmniejszy hałas obudzi gospodarzy.

Zamek zgadza się na współpracę. Niemal bezgłośnie otwieram drzwi i wchodzę do środka. W pierwszej chwili dosłownie nic nie widzę. Otacza mnie zupełna ciemność, ale tak dobrze znam to mieszkanie, że mogłabym się w nim poruszać z zawiązanymi oczami.

To jakiś obłąd. Co ty wyprawiasz?

Powoli idę długim korytarzem w kierunku sypialni. W moich żyłach nadal pulsuje adrenalina, ale cała aż trzęsę się ze strachu. To tak, jakbym szła po linie bez siatki zabezpieczającej. Moja obecność w tym mieszkaniu nie ma żadnego usprawiedliwienia.

Jestem zaledwie parę kroków od pokoju Dakoty. Nie chcę tam wchodzić, a jednak to robię. Muszę przez chwilę na nią popatrzeć, upewnić się, że śpi spokojnie. Widzę ją w świetle małej lampki w kształcie serca, stojącej przy łóżku. Pod różową kołderką Dakota wygląda jak aniołek.

Kocham ją. Kocham jej braciszka. Jak można ich nie kochać?

Idę dalej, żeby zajrzeć do pokoju Seana. Tutaj nie ma żadnej lampki. Chłopiec nie lubi spać przy świetle.

Mrużę oczy, ale w ciemnościach widzę tylko niewyraźny zarys jego sylwetki. Podchodzę odrobinę bliżej i — katastrofa! Kopnęłam w coś. Lego!

W całym pokoju słychać donośny grzechot plastikowych klocków. To jeden z fantastycznych pojazdów Seana rozbija się na ścianie.

Małec kręci się w łóżku, a ja zastygam w bezruchu i wstrzymuję oddech. Serce wali mi jak oszalałe.

— Mama? — słyszę.

Cholera.

Co teraz?

Jestem bliska paniki, ale nagle wpadam na pomysł.

— Tak, kochanie — szepczę. — To tylko sen... Śpij spokojnie, dobrze?

Sean zastanawia się przez kilka nieznośnie długich sekund.

— Dobrze — odpowiada w końcu.

Uf...

Gdyby naprawdę się obudził, bez wątpienia by mnie rozpoznał. Byłam o włos od totalnej klęski.

Powinłam uznać to za ostrzeżenie i jak najszybciej wynieść się z mieszkania. Wystarczy, że z pokoju Seana skręcę w lewo i nie obejrzę się za siebie.

Jednak jak głupia skręcam w prawo i dalej idę korytarzem.

Do sypialni Michaela i Penley.

Rozdział 53

Drzwi do pokoju Michaela i Penley są przymknięte. Nie wślizgnę się tam przez szczelinę. Boże, spraw, żeby zawiasy były dobrze naoliwione...

Pomału wciskam się do środka. Nic nie skrzypi. Słysząc jedynie oddech Michaela. To nie jest jakieś głośne chrapanie, tylko niski pomruk. Umiem rozpoznać go od razu, bo przecież czasem się zdarzało, że Michael jednak zasnął przy mnie, a nie wyłącznie „sypiał” ze mną.

Podchodzę bliżej. Gruby perski dywan zupełnie tłumi moje kroki. Przez zasłony sączy się słaby blask księżycy. Moje oczy z wolna przyzwyczajają się do mroku. Już wiem, co mi to przypomina.

Ciemnię.

Zdenerwowana gapię się na wielkie łóżce. Penley leży z lewej strony, bliżej łazienki. Nie przytula się do męża ani go nie obejmuje. Prawdę mówiąc, Michael odsunął się tak daleko, że jeszcze trochę i spadnie z łóżka. Mimo to złości mnie, że widzę ich śpiących razem.

Tak, wiem, że są małżeństwem — że to normalne, choć ich związek nie należy do najnormalniejszych. Po prostu nigdy nie

myślałam o nich w taki sposób. Nie dostrzegałam między nimi najmniejszych oznak zażyłości.

A teraz widzę ich w jednym łóżku.

Dziwne uczucie — trochę niezręczne i niepokojące. Trudno powiedzieć, czy to zazdrość. Po prostu jestem zła, i tyle.

Z całego serca nienawidzę Penley, chociaż w tej chwili nie zrobiła mi nic złego, prawda?

Już nie patrzę na Michaela, tylko na nią. Widzę jej chude ramiona wystające spod puchowej kołdry i zadarty nos, który marszczy, kiedy coś jej się nie podoba — czyli zawsze. Nawet we śnie wygląda na niezłą zołzę. Mogłaby zagrać w *Niedobrej* bez charakteryzacji.

Wodzę wzrokiem po łóżku.

Poduszek jest dużo więcej, niż potrzeba dwojgu śpiącym ludziom. Jedna, całkiem nietknięta, opiera się o ścianę. W mózgu, niczym snop iskier, strzelają mi różne myśli. Wszystkie złe.

Mogłabym bez trudu pochylić się nad Penley, zakryć jej twarz poduszką, przytrzymać łokciami i po prostu udusić. Jeśli zrobię to szybko, nie zdąży się szarpnąć. Nie będzie kopaniny ani zduszonych krzyków. Umrze szybko, milcząco, stuprocentową śmiercią.

Mogłabym to zrobić?

Jasna cholera, co się ze mną dzieje, że mam takie parszywe myśli?

Nagle przychodzi mi coś do głowy... Chyba znalazłam punkt zaczepienia. Już wiem, dlaczego na zdjęciu Penley jest ten sam efekt co pod hotelem. Znalazła się w niebezpieczeństwie.

Kto jej zagraża? Ja?

Czuję lekkie zawroty głowy. Coś jakby zimny powiew przebiega mi po plecach. Odwracam się — i widzę falujące zasłony. Okno na taras jest otwarte.

Lodowaty dreszcz przeszywa mnie wzdłuż kręgosłupa aż do samej głowy. Moje myśli biegną w zupełnie inną stronę.

Już wiem, co muszę zrobić.

Zdjęcie Michaela.

Rozdział 54

Ostrożnie wyjmuję leicę z plecaka. Dwa razy sprawdzam, czy załadowałam film. Pewnym ruchem celuję obiektyw prosto w głowę Michaela.

Nie myśl, po prostu pstrykaj.

— Mamo!

Oglądam się. Rany, przecież to Sean woła ze swojego pokoju.

— Mamo! — słyhać po raz drugi.

Patrzę na Michaela i Penley. Budzą się. Znajdź jakąś kryjówkę!

Spoglądam na aparat. Stój, zaczekaj. Najpierw zdjęcie, a potem w nogi.

Sean krzyczy po raz trzeci. Jego cienki głosik rozbrzmiewa jak syrena. Słyhać go trochę głośniejszy i jakby trochę bliżej. Czyżby chłopiec wstał z łóżka?

W panice rzucam się na podłogę. Trzy metry ode mnie, w kierunku łazienki, widzę kawałek miejsca za fotelem.

Pełznę tam na czworakach.

Jestem teraz na środku pokoju. Gdyby Penley wstała, zabiła by się o mnie.

W tej samej chwili słyszę, jak rozspanym głosem coś mruczy do Michaela. Wygląda na to, że raczej nigdzie się nie wybiera.

— Idź, zobacz, co mu się stało — mówi.

— Ciebie wołał — sennie odpowiada Michael.

— To niech wrzeszczy dalej.

Michael wzdycha i odrzuca koldrę.

Och, nie... Zaraz wstanie z łóżka! Za dwie sekundy mnie zobaczy.

Do fotela mam już kilka kroków. Próbuję wcisnąć się za niego. Trzeszczy podłoga pod dywanem.

— Co to było? — pyta Michael. Penley ziewa.

— O co ci chodzi?

— O ten hałas. Słyszałaś? Jakby tutaj, w sypialni.

Zamykam oczy. Już po mnie.

— Mamo?

Ostrożnie wyglądam zza fotela. W drzwiach stoi Sean. Teraz mówi po cichu, prawie szeptem.

Uratowana! Przynajmniej na razie.

Michael natychmiast zapomina o wszelkich podejrzanych dźwiękach.

— Hej... — mówi. — Co się stało, mój mały kolego?

— Znowu mi się źle śniło! Przyszedł Dumba. Mogę spać z wami?

Dumba to pewien potwór, który czasami nawiedza Seana w snach. Może ostatnio bywał u mnie?

— Pewnie, że możesz — odpowiada Michael. Cudowny facet.

— Nie! — woła Penley.

— Przestań, kochanie. Przecież widzisz, że czegoś się przestraszył.

— Nic mnie to nie obchodzi. Powinien wiedzieć, że nie może nas budzić za każdym razem.

Michael parska z oburzeniem.

— Tak, i powinien znać algebrę. Ale nie jako pięcioletnie dziecko.

Wspaniale, Michael! — myślę z radością mimo straszego przerażenia. Ale Penley i tak musi mieć ostatnie słowo.

— Świetnie — burczy. — Twój wybór. Jeżeli on śpi tutaj, to ty spadasz.

— Chyba nie mówisz tego poważnie?

— Bardzo poważnie. Ty, Sean i Dumba możecie iść gdzie indziej.

— Ależ ty jesteś, Penley...

Słyszę, jak stopy Michaela z głośnym stukiem lądują na podłodze.

— Chodź, kolego — łagodnym głosem mówi do Seana. — Prześpimy się w salonie.

Wychodzą. Zostaję z Penley.

Rozdział 55

Chociaż raz ominą mnie koszmary i nie obudzę się z przerażającym krzykiem. Tylko dlatego, że tej nocy pewnie w ogóle się nie położę.

Bez obawy, nie skrzywdzę Penley. Nawet nie zrobię „bu!” w jej sypialni. Nadal chowam się za fotelem i przez godzinę tkwię w bezruchu. Wreszcie wydaje mi się, że mogę bezpiecznie uciec. Oczywiście z mieszkania.

Bo przecież nie z budynku.

O wiele łatwiej było wślizgnąć się do środka, niż wyjść na zewnątrz. To ty, Adamie? Bądź tak łaskaw i znowu idź do toalety.

To się nie uda.

Do rana siedzę więc na schodach, w pobliżu ostatniego piętra. Nowy dzień, nowy portier — a jeśli Louis przerwie swój pojedynek z Seanem i zdziwi się, dlaczego mnie nie widział, gdy wchodziłam, po prostu się roześmieję. Odpowiem mu, że jest ślepy albo że ma alzheimera.

Próbuję zasnąć. Boże, jestem zupełnie wykończona, ale niestety, betonowe schody nie nadają się na poduszkę. Po mniej więcej godzinie zupełnie tracę nadzieję na choćby małą drzemkę.

W zamian układam w myślach dokładny plan miodowego miesiąca z Michaeliem.

Karaiby? Może Bahamy i One & Only Ocean Club? Wenecja i pałac Grittich? Riwiiera Francuska?

Wiem jedno. Po powrocie Sean będzie mógł zawsze sypiać w naszym łóżku. A może zabrać dzieci do Disney World? Dlaczego nie?

Mniej więcej kwadrans po piątej słyszę jakiś ruch po drugiej stronie drzwi wiodących na klatkę schodową. Michael idzie do pracy. O piątej piętnaście? To wcześniej niż zazwyczaj. Cóż, tak się kończą noce spędzane w salonie.

Wreszcie dochodzi ósma. Chyba kolej na mnie. Drugi dzień z rzędu jestem w pracy przed czasem. Jeśli tak dalej pójdzie, dostanę podwyżkę!

Wchodzę do apartamentu. Znowu.

— Oho, ktoś tu jest zmęczony — z wrednym uśmiechem mówi Penley, widząc mnie w kuchni. — Późno się położyłaś, co?

Mrug, mrug.

Dopiero po krótkiej chwili łapię, o co jej chodzi. Mam wrażenie, że ze Stephenem widziałam się tydzień temu albo wcale.

— Muszę znać wszystkie szczegóły — dodaje Penley.

Jestem zmęczona i w złym humorze. Poza tym nie ma o czym gadać.

— Był bardzo miły — odpowiadam.

Penley marszczy brwi i kręci głową.

— Musisz ciut bardziej się postarać, Kristin.

Tego się domyślałam. Opowiadam jej trochę o kolacji. Wprawdzie nie mówię tego wprost, ale wyraźnie daję jej do zrozumienia, że ów „przyjaciel z sali gimnastycznej” nie jest w moim typie. Nie chcę, żeby namawiała nas na następną randkę.

Ale tu czeka mnie niespodzianka.

— Tak, tak... Stephen powiedział to samo.

— Rozmawiałaś z nim?

— Mam nadzieję, że się nie gniewasz. — Wzrusza ramionami. — W końcu to mój przyjaciel. Byłam ciekawa, jak wam poszło.

Niewątpliwie.

Odwraca się i nalewa sobie drugi kubek parującej kawy. Ukradkiem przetykam ślinę. Chociaż raz mogłaby zapytać, czy też się nie napiję.

— Wiesz, Stephen wyczuł, że masz już kogoś.

Dzięki, kolego.

— Mówiłam mu, że to nieprawda — odpowiadam. — Trochę się dziwię, bo on sam ciągle myśli o byłej dziewczynie.

— Tak?

— Oczywiście. *À propos*, wiedziałaś, że ona ma męża?

Patrzy na mnie szeroko otwartymi oczami. Chyba nie wiedziała.

— Nie wspominał mi o tym — odpowiada z kąśliwym uśmiechem. — Przepraszam.

Penley? Przepraszam?

— Za co? — pytam.

— Za to, że ci podsunęłam Stephena. Nie apróbuję takich rzeczy. Chyba powinien o tym wiedzieć. — Marszczy brwi. — Mam rację?

O ironio...

Rozdział 56

Odprowadzam dzieci do szkoły i staram się nie zasnąć. Jedno oko mam na wpół przymknięte, drugim zezuję na Dakotę. Zastanawiam się, jakie myśli krążą w tej małej główce.

Wczoraj rzeczywiście była przygaszona i większość dnia przesiadzała u siebie w pokoju. Wprawdzie pod żywoplotem w Westport przyłapała nas tylko na zwykłej rozmowie, ale chyba coś wyczuwała. Sytuacja była... hm... nieszczególna. Wzięłam Dakotę za rękę. Nie zaprotestowała.

— Hej, panno Kristin! A wie pani? — świergocze Sean, gdy przechodzimy przez skrzyżowanie Madison i 76th. — Dziś w nocy mi się pani śniła!

O Boże... Jeszcze mi tego trzeba.

Na ostatnim etapie naszej wspólnej drogi do Preston Academy bez przerwy słucham paplaniny Seana. Znam już wszystkie szczegóły snu. Wygląda na to, że urządziliśmy sobie piknik na Księżycu.

— A może to było na Marsie? — mruczy Sean.

Troszeczkę płacze się w zeznaniach, ale wyraźnie nie pamięta

o tym, że u niego byłam. Alleluja. Jedno zmartwienie mniej.

Zostaje tylko tuzin innych. Najbardziej jestem wściekła o to, że nie zrobiłam zdjęcia Michaelowi. Po prostu złąkałam się, że mnie znajdą, i myślałam już tylko o ucieczce.

— Okej, moje aniołki. — Kucam przed bramą Preston Academy. — Życzę wam cudownego dnia. Słuchajcie się nauczycieli. Jak zwykle przyjdę po was po południu.

— Cześć — mówi Sean, cmokając mnie w policzek.

— Dzięki — mówi Dakota. — Za to, że jesteś fajna.

Patrzę za nimi, jak galopują do kolegów i koleżanek. Po chwili biegną do szkoły. Sean zostaje nieco z tyłu. Dakota natychmiast zwalnia i wyciąga do niego rękę. Wzdycham w głębi serca.

Postanowione. Na sto procent pojedziemy z nimi do Disney World!

Odwracam się i odchodzę w stronę Fifth Avenue. W głowie rozbrzmiewa mi melodia — na szczęście inna niż dotychczas: *It's a small world after all...* [Piosenka towarzysząca przejażdżce labiryntem w krainie lalek w Disneylandzie i Disney World]

Po chwili słyszę pisk mojej komórki. Co znowu?

Wielkie nieba! To Michael. Wiedziałałam, że po pewnym czasie na pewno zadzwoni.

— Właśnie myślałam o tobie — mówię.

— Ja o tobie na pewno więcej, Kris. Potwornie tęsknię.

Nawet nie czeka na moją odpowiedź, tylko natychmiast mnie przeprasza.

— Za co? — pytam. — Przecież to ja narozrabiałam. Strasznie mi głupio.

— Nie, to ja źle zrobiłem, że odwołałem nasze spotkanie.

Penley to wiedźma jakich mało — dodaje. — Po jakie лихо w ogóle pojechałem do tego Westport?

— Ja też sobie zadaję podobne pytanie.

Śmiejemy się. Michael jest strasznie kochany. Szybko domyślałam się, że trochę cierpi z powodu źle przespanej nocy z Seanem i Dumbą na kanapie. Nie wie, że byłam świadkiem jego scysji z żoną...

Zdumiewające. Wszystko, co powiem albo zrobię w ramach kampanii „Rzuć Penley”, jest dużo słabsze od samej Penley. W tym tempie Michael zostawi ją jeszcze przed czwartym lipca.

Dzień Niepodległości.

Dopiero strzelą fajerwerki!

— Dzisiaj wieczorem znów muszę spotkać się z paroma ludźmi — mówi Michael. — Ale jutro jestem do twojej dyspozycji. Zrobię wszystko, co tylko zechcesz. Zgoda?

— Właśnie umówiłeś się na randkę — odpowiadam.

— Boże, mam tyle szczęścia, że jesteś moja...

— Pamiętaj o tym.

Po pożegnaniu, przeplatany licznymi „kocham cię” i tak dalej, chowam komórkę do plecaka. Niechący patrzeć na aparat. Spadła zaślepka z obiektywu. Zakładam ją— i wtedy coś zauważam.

Wczoraj, przed nocną wizytą u Penley i Michaela, załadowałam nową rolkę filmu. Nie zrobiłam żadnego zdjęcia, więc licznik powinien pokazywać „0”.

Tymczasem stoi na „1”.

Rozdział 57

Może aparat jakoś przesunął się plecaku i sam zrobił zdjęcie? To się czasami zdarza. Zwłaszcza w zamieszaniu.

Istnieje jednak druga, całkiem inna odpowiedź...

Ta myśl sprawia, że natychmiast odwracam się na pięcie. Idę w przeciwną stronę.

Znów wyjmuję komórkę i dzwonię do Penley. Z góry wiem, że najwyżej nagram się na automatyczną sekretarkę, bo wiedźma poszła na trening. Zresztą jak jest w domu, to też nie odbiera.

Mówię jej, że wypadła mi plomba. Na szczęście mój dentysta zgodził się mnie przyjąć bez zbyteńczego czekania.

— Nic się nie martw, na pewno zdążę jeszcze przed trzecią wrócić po dzieciaki.

To mam już załatwione. Następny przystanek: ciemnia.

Nigdy dotąd nie zmarnowałam filmu, żeby wywołać tylko jedno zdjęcie. Zawsze jest ten pierwszy raz...

Muszę je zobaczyć.

Pamiętam, że wczoraj w nocy, tuż przed przygodą z Seanem, celowałam w Michaela. Może — podkreślam: może — całkiem bezwiednie pstryknęłam mu zdjęcie.

Spieszy mi się jak diabli, więc łapię taksówkę. Czuję nową falę adrenaliny. Umysł i ciało zapomniały, że nie śpię już ponad dobę. A czas płynie...

— Reszty nie trzeba! — wołam do szofera. Rzucam mu siedem dolców i biegnę do domu. Niecałą minutę później jestem w ciemni, za zamkniętymi drzwiami i przy zgaszonym świetle. Mały pokój tonie w widmowej czerwieni.

Ostatnio jestem coraz szybsza w wywoływaniu negatywów. Tym razem biję nowy rekord. Moje ręce pracują w idealnej harmonii z oczami — biorę, nalewam, sprawdzam, przekładam — a wszystko po to, żeby tchnąć życie w jedno jedyne zdjęcie.

Co zrobię, jeśli to nie Michael?

Na dobrą sprawę na tej fotce może być dosłownie wszystko. Na przykład Penley. Albo zupełnie nic.

Kleks, jakaś rozmazana plama, smolista czern. A może licznik tylko się przesunął i zdjęcia w ogóle nie ma?

W takim razie muszę uzbroić się w cierpliwość. Jutro mam się spotkać z Michałem, więc wtedy go sfotografuję. Mogę czekać dzień dłużej.

Gapię się na koreks.

— Szybciej, ty leniwy draniu!

Chyba daleko mi do cierpliwości.

Nerwowo stukam palcami w blat stołu. Czekam na pierwsze zarysy zdjęcia. Wreszcie coś widać.

Szybko przenoszę negatyw do utrwalacza i pochylam się nad nim, żeby lepiej mu się przyjrzeć. Tak, jest tam jakaś postać, ale nie mogę jej rozpoznać. Robię stykówkę. Już wszystko jasne.

To Michael. Więc jednak pstryknęłam mu zdjęcie.

Patrzę uważniej na odbitkę i widzę coś, czego nie chciałam zobaczyć — ten sam upiorny efekt co na zdjęciu Penley.

— Kurza twarz... Nie rób mi tego.

Ale tam jest coś jeszcze... Coś dużo gorszego.

To straszne. Wręcz okropne!

Bez namysłu wkładam rękę do zimnej wody, wyciągam zdjęcie i biorę szkło powiększające.

O mój Boże... Michael. Co ja narobiłam?

Nie leży w łóżku obok Penley, lecz na podłodze, w jakimś obcym, całkiem nieznanym mi pokoju. Na pewno nigdy tam nie byłam.

Wygląda na to, że nie żyje.

Część dziewiąta

Rozdział 58

Jestem wstrząśnięta — i to dosłownie. Tak jakby nagle tysiąc woltów przebiegło mi przez palce. Bezwiednie rzucam zdjęcie na podłogę. Pada zewnętrzną stroną do dołu. Na twarz.

Tak jak Michael.

Cofam się z przerażeniem. Jak? Co? Gdzie? Kiedy? Nie znam odpowiedzi na żadne z tych pytań. Co jest prawdą? Co nie jest? Przecież musi być jakieś rozsądne wyjaśnienie! Powtarzam to od początku, od pierwszego koszmaru... Ale teraz, gdy patrzę na fotografię Michaela, już sama nic nie wiem. Jak to wytłumaczyć?

Nie mam bladego pojęcia.

Przynajmniej w tej chwili.

Krążę po maleńkiej ciemni, powtarzając w myślach wciąż te same słowa: trzymaj się, Kris!

Mam więc do wyboru: albo iść do czubków, albo zmierzyć się z tą dziwną tajemnicą. Już widzę siebie w ciasnym pokoju bez klamek, ubraną w najmodniejszy kaftan bezpieczeństwa.

Decyzja zapadła.

Szybko biegnę do kuchni i łapię za telefon. Zdjęcie Michaela to jedno, ale pozostaje ów widmowy efekt na innych fotografiach.

Po ostatnich przygodach jestem przekonana, że to nie ma nic wspólnego z moim aparatem. Muszę się jednak upewnić.

— Gotham Photo — rozlega się głos w słuchawce.

— Cześć, mogę mówić z Javierem? To bardzo ważna sprawa. Niemal życia i śmierci.

— Dzisiaj ma wolne.

Cholera.

— Wiesz, jak go mogę złapać?

— Niestety, nie.

W jego głosie wyczuwam jakby lekkie wahanie. Podejrzewam, że wie.

— To naprawdę ważne — mówię.

— Nie wolno nam podawać prywatnych namiarów. Mogę mu najwyżej przekazać wiadomość. Zgoda?

Nie!

Właśnie zabieram się do tego, żeby odegrać przed nim rolę bezradnej pipki w strasznych kłopotach. Zamierzam zrobić to z taką pasją, że Glorię Steinem by zatkało. Wtem przypominam sobie szafę. Przecież przez kilka karaluchów — mniej więcej tysięcy — nie sprawdziłam, czy nie mam w płaszczu wizytówki Javiera.

— Poczekaj chwilę, dobrze? — wołam.

Odkładam słuchawkę na bok, biegnę do szafy i w duchu błagam wszystkich świętych, żeby tępicieł egzystencjalista rzeczywiście znał się na swoim fachu.

Powoli otwieram drzwi. Widzę tylko płaszcze — z kożuszkami włącznie. Jeden zero dla mojej pamięci. Wizytówka Javiera jest tam, gdzie myślałam.

— Już nieważne — mówię po powrocie do telefonu.

Rozłączam się.

Dzwonię do Javiera. Rozlega się przeciągły sygnał. Oddycham z ulgą, gdy odbiera.

— Przepraszam, że ci zawracam głowę.

— Nic się nie przejmuj — odpowiada.

Jestem zupełnie pewna, że mnie lubi, więc mam małe wyrzuty sumienia.

Przypominam mu „duchy” na moich zdjęciach.

— Pamiętasz? Rozmawialiśmy o tym, kiedy kupowałam u was nowy obiektyw.

— Czyli wina nie leżała po stronie starego?

— Chyba nie. Wiem, że masz dzisiaj wolne, ale może choć trochę zerkniesz na te fotki? To dla mnie bardzo ważne.

— To zależy — mówi.

— Od czego?

— Przede wszystkim od tego, jak dobrze znasz Brooklyn.

Rozdział 59

Niezbyt dobrze.

Prawdę mówiąc, widziałam Brooklyn tylko w telewizji, w bloku Nick at Nite, gdy na nowo puszczały serial *Welcome Back, Kotter*.

Odbieram dzieci ze szkoły i przez cały czas udaję, że jestem obolała po wizycie u dentysty. Wreszcie z nadzieją w sercu wsiadam do pociągu F, wyjeżdżającego z Manhattanu.

Zazwyczaj nie wymiguję się odjazdy metrem — z wyjątkiem godzin szczytu. Wtedy to dom wariatów.

Oczywiście, trafiam na najgorszą porę.

Wciśnięta w milionowy tłum — tuż obok jakiegoś wysokiego faceta, którego dezodorant chyba już dawno przekroczył termin ważności — analizuję w myślach stare porzekadło: „Wyjazd to dopiero połowa zabawy”. Nieprawda.

Ale w końcu wysiadam na rogu 15th Street i Prospect Park. Stamtąd, dzięki bardzo dokładnym wskazówkom Javiera, bez trudu dochodzę do pobliskiego domu z czerwonej cegły.

Okolica jest bardzo ładna. Nawet mi trochę głupio, bo spodziewałam się większej biedy. Nie znoszę ludzi, którzy uważają,

że wszystko co najlepsze zaczyna się i kończy w dzielnicach oznaczonych numerem kierunkowym 212, a sama zachowuję się tak jak oni.

Mieszkanie jest na parterze. Javier wita mnie w drzwiach tym samym miłym uśmiechem co zawsze. Wygląda niemal tak jak za ladą w Gotham Photo — ubrany w spodnie khaki i starannie zapiętą koszulę, tym razem w biało-niebieskie prążki. Brakuje mu tylko plakietki z nazwiskiem.

— Chcesz coś do picia? — pyta.

— Jeśli masz, to poproszę o dietetyczną colę.

Ma. Idę za nim do kuchni, po drodze zaglądając do pokojów.

Widzę gustownie umeblowany salon z ogromnym płaskim telewizorem i przytulną bibliotekę, pełną oprawnych w skórę książek. Doprawdy nie wiem, co myślałam, ale znów czuję się jak snobka spod 212. Chyba to nawet dobrze, że ci sami ludzie muszą aż tyle płacić za sprzęt fotograficzny.

Javier nalewa coli do szklanki z kostkami lodu.

— Pokaż te zdjęcia — mówi. — Zobaczymy, o co w nich chodzi.

— Świetnie.

Otwieram plecak i wyjmuję fotki. Javier spogląda na pierwszą z brzegu. W tej samej chwili dociera do mnie, że... nie jesteśmy sami.

Rozdział 60

— Javier? — słyhać głos z drugiego pokoju. — Javier? Ktoś do nas przyszedł?

To kobieta. Prawdopodobnie stara, cudzoziemka i lekko zdziwiona.

— Si, *Mamá* — odpowiada Javier przez ramię. Patrzy na mnie. — Sprowadziła się do mnie w zeszłym roku, zaraz po śmierci ojca. Niestety, trochę choruje.

— Javier? — woła znów matka. — Mówię do ciebie. Javier?

Mężczyzna mruga do mnie.

— W dodatku przygłucha. Si, *Mamá!* — woła głośniejsze.

— *Con quién estas hablando?*

— Chce wiedzieć, z kim rozmawiam — tłumaczy Javier. — *Ella es mi amiga.*

— *La has visto antes?*

Przewraca oczami.

— Chce wiedzieć, czy już tu byłaś. Teraz, Niestety, muszę cię przedstawić, bo w przeciwnym razie się obrazi. Zajrzymy do niej? Przepraszam, Kristin.

— Nic nie szkodzi—zapewniam go. — Chętnie ją poznam.

Javier wychodzi z kuchni i prowadzi mnie na sam tył mieszkania. Nagle przystaje w wąskim korytarzu.

— Muszę ci coś powiedzieć — szepcze. — Moja matka jest bardzo wierząca. Nie zdziw się, kiedy wejdiesz do jej pokoju.

Nie bardzo wiem, o co mu chodzi. Javier otwiera drzwi.

Jezu!

I to dosłownie. Na ścianie wisi ze sto krucyfiksów — dużych, małych, z drewna i porcelany. Na półkach stoi jeszcze z pięćdziesiąt.

— *Mamá, ella es mi amiga*, Kristin.

Starsza pani siedzi w bujanym fotelu przy oknie. Ma na sobie najprostszą z możliwych sukienek — „cementowoszarą”, jeśli można to tak określić. Ale o wiele bardziej uderza mnie jej wygląd. Jest niesamowicie krucha — wręcz tak chuda, że Penley przy niej wpadłaby w kompleksy.

Kieruje na mnie wpadnięte oczy. Podchodzę do niej z wyciągniętą ręką. Wydaje mi się, że tak powinnam zrobić.

Błąd.

Koszmarne błęd.

Po kilku krokach widzę, jak jej wpadnięte oczy eksplodują strachem. Staruszka chwytą w ręce niebieski różaniec, leżący na jej kolanach, i zaczyna przeraźliwie krzyczeć. W klaustrofobicznym pomieszczeniu pełnym krzyży rozpętuje się prawdziwe piekło.

— *Espiritus malos! Espiritus malos! Mantengase lejos de mi. Ella está poseida por espiritus malos!*

Javier głęboko wciąga powietrze.

— *Mamá!* Co ty wygadujesz?

Też chciałabym to wiedzieć, ale Javier nie kwapi się do tłumaczenia. Biegnie do matki i próbuje ją jakoś uspokoić. Nic z tego.

Jest coraz gorzej. Staruszka wprost szaleje na swoim fotelu.

— *Ella está rodeada por espíritus malos!* — wrzeszczy. Jej drobnym ciałem wstrząsają gwałtowne drgawki.

Javier chwyta ją za ramiona i krzyczy coś po hiszpańsku, lecz matka wcale go nie słyszy. Nadal wrzeszczy i wyciąga palec.

Wskazuje na mnie.

— *Espíritus malos! Espíritus malos!* — woła, kopiąc nogami w podłogę.

— Co ona mówi? — pytam i z wolna wycofuję się z pokoju.

— Coś jej się poplątało — odpowiada Javier. — Nic się nie przejmuj.

— Nie. Chcę wiedzieć. Powiedz.

Matka wpada w konwulsje, jakby jej fotel nagle zamienił się w krzesło elektryczne. Mocno zagryza dolną wargę. Strużka krwi płynie jej po brodzie. Boże!

— *Mama!* — krzyczy Javier. Stara wskazuje na mnie palcem.

— *Espíritus malos! Espíritus malos!*

— Kristin... Innym razem obejrzę twoje zdjęcia. W pracy. Najlepiej stąd idź.

Jeszcze chwilę.

— Najpierw mi powiedz, co tu się dzieje! Muszę to wiedzieć!

— Javier łypie na mnie wilkiem, wyraźnie zły, że mu się sprzeciwiam. — Proszę cię, Javier! — wołam.

Wreszcie ustępuje.

— *Espíritus malos* — powtarza słowa staruszki. — Moja matka myśli, że jesteś opętana. Uważa cię za diabła.

Rozdział 61

Wychodzę od Javiera taka zakręcona, że na ulicy niemal walę nosem w chodnik. Chwiejnym krokiem wędruję gdzieś prosto przed siebie. Bez przerwy potrząsam głową.

Co się przed chwilą stało? Jestem diabłem? Ja?

Przed oczami wciąż mam przerażoną staruszkę. Nadal słyszę jej krzyk: „*Espiritus malos! Espiritus malos!*”.

Znowu powtarzam sobie, że muszę się trzymać.

Ale pierwszy raz nie wiem, czy naprawdę potrafię.

Espiritus malos... Jestem diabłem.

Do wszystkich znanych pytań dochodzi jeszcze jedno. Gdzie się znalazłam?

Nie znam żadnej z tych ulic. Do tej pory w ogóle nie patrzyłam, dokąd idę. Z wolna zapada zmrok.

Przystaję i szybko zaglądam do plecaka. Odsuwam na bok zdjęcia, które zdążyłam zabrać, wychodząc od Javiera. Potem sprawdzam kieszenie. Niestety, nie mam kartki z zapisaną trasą.

Po prostu znakomicie. Zgubiłam się na Brooklynie.

— Przepraszam... — zaczepiam pierwszą napotkaną osobę, jakąś młodą dziewczynę z dużo większym plecakiem. Wygląda

na nie więcej niż dwudziestoletnią. — Jak dojść do linii F? Nawet nie zwalnia kroku.

— Sama jestem przyjezdna.

Bratnia dusza.

Nieco dalej widzę staruszka, tak po siedemdziesiątce, siedzącego na schodach. Czyta „Daily News”. Jest trochę podobny do Ernesta Borgnine'a.

— F? — Pokazuje za mnie. — Najpierw trzeba zawrócić.

Odwracam się posłusznie, a on dalej trajkocze, gdzie trzeba skręcić w prawo, a gdzie lepiej w lewo. Słucham najuważniej jak umiem, ale nie nadążam. Powiedział: druga w lewo czy może jednak pierwsza?

Chcę go prosić, żeby powtórzył, i w tej samej chwili widzę coś, czego wcale nie chciałabym zobaczyć.

Coś — a właściwie kogoś. Pewnego człowieka.

Owszem, jest już po zmierzchu, ale ja go widziałam tak wyraźnie, jakby był środek dnia. To jedna z zalet oczu przywykłych do ciemni.

Czekam chwilę. O, znów wystawił głowę zza białej furgonetki stojącej na rogu. Nawet nie muszę szukać jego rysów.

Wystarczy mi, że widzę kucyk.

Rozdział 62

— Hej, proszę pani! Źle pani idzie! — krzyczy za mną staruszek siedzący na schodach.

Jak dla mnie — dobrze. Mogę się zgubić na Brooklynie, lecz nie zamierzam tu umierać.

Jeszcze nie biegnę. Raczej szybko idę. Odwracam głowę i nerwowo błędzę wzrokiem po ulicy.

Kucyk gdzieś zniknął, ale to wcale mnie nie cieszy, bo jestem pewna — zupełnie pewna — że go widziałam. Znów przyszedł z jakimś ostrzeżeniem? A może już wyczerpał limit?

Skręcam w przecznicę i przyspieszam. Szukam jakiegoś policjanta albo przynajmniej dużego chłopca, który w razie czego mnie obroni. Lepiej niech będzie kuloodporny. Ale nie widzę nikogo takiego. Przed sobą mam pustą ulicę, dwa rzędy magazynów i całe zwały śmieci.

Kucyk mnie goni? Przez chwilę z napięciem spoglądam za siebie.

Nigdzie go nie ma. Przynajmniej na razie.

Niestety, cienie znikają. Niedobrze. Z każdą sekundą robi się coraz ciemniej.

Ciągle oglądam się za siebie, aż wreszcie stoję w połowie ulicy. Czekam i czekam. Gdzie on się podział? Czego ode mnie chce?

Może już poszedł? Może tym razem, z niewiadomych względów, nie chciał, żebym go zobaczyła?

Mija minuta. Potem następna. Już oficjalnie zapadła noc. Nie mam pojęcia, co się dzieje za mną. Jedyne źródło światła w okolicy to latarnia na następnym skrzyżowaniu. Ostatni raz zerkam przez ramię. Idę przed siebie. I tak muszę kogoś spytać o dalszą drogę. Wciąż nie znam Brooklynu.

Nagle coś widzę.

To taksówka!

Stała na czerwonym świetle, właśnie na tamtym skrzyżowaniu. Jakieś dziesięć, góra piętnaście metrów ode mnie. Słyszę głuchy pomruk silnika.

Szybko! Zanim zapali się zielone światło!

Puszczam się sprintem. Wlepiam wzrok w taksówkę, jakbym w ten sposób chciała ją zatrzymać.

Jeszcze ostami krótki wysięk. Jeszcze parę kroków. Macham rękami i krzyczę z całych sił:

— Taksówka!

Nie ma mowy, żeby kierowca mnie nie słyszał.

Tak mi się tylko zdaje.

Światło zmienia się na zielone. Samochód rusza.

— Nie! — wrzeszczę na całe gardło. — Stój! Zaczekaj!

Nie chce stanąć. Zaraz przejedzie tuż koło mnie.

Po moim trupie.

Wbiegam na jezdnię. Taksówkarz daje po hamulcach, słyhać przeraźliwy pisk łyśnych opon. Chromowany zderzak kołysze się zaledwie kilka centymetrów od moich kolan.

Szofer łypie na mnie złym okiem, ale nie zwracam na to uwagi. Biegnę na tył, żeby wsiąść do samochodu. Już mam otworzyć drzwi, kiedy nagle widzę przed sobą czyjąś rękę.

— Pozwolisz, że ja to zrobię.

Rozdział 63

Już jest za późno na ucieczkę. Kucyk zamyka moją rękę w żelaznym uścisku. Otwiera drzwi i bezceremonialnie wpycha mnie do taksówki, a potem wsiada za mną. Jestem w pułapce!

— Cii... — szepcze i odchyła klapę czarnej sportowej kurtki. W samochodzie jest dosyć ciemno, ale i tak widzę to, co mi chce pokazać. Pistolet.

Za plastikową przegrodą siedzi szofer — krępy i łysy, jak ten aktor ze *Świata gliniarzy*. Patrzy na mnie w lusterku.

— Pani się cieszy, że zahamowałem — mówi. — Mogłem panią przejechać.

— Bardzo pana przepraszam — odpowiadam, zerkając na Kucyka. — Złapanie tutaj taksówki graniczy z cudem.

Kucyk ściska mi rękę jeszcze mocniej. Auć! Pochyla się i szepcze mi do ucha:

— Nie próbuj być taka cwana. To nie są żarty.

— Dokąd jedziemy? — pyta kierowca. — Jakoś nie jestem jaśnowidzem.

— Po prostu jedź pan — warczy Kucyk. — Pokręcmy się po okolicy.

Szofer włącza taksometr i wzrusza ramionami, jakby chciał powiedzieć: „W końcu to wasza forsa”.

Ruszamy.

Patrzę na siedzącego obok mężczyznę. Trzęsę się, chociaż nie chcę okazywać strachu. Tuż koło mnie majaczy wąska i groźna twarz o wyrazistych rysach. Pod trzydniowym zarostem widać bliznę. To raczej nie jest ślad po zwykłym „wypadku”. Dlaczego ten gość za mną łązi? — myślę. Może to gliniarz? Może prowadzi śledztwo w sprawie Falcon?

Szofer przestawia radio na jakąś jazzową stację.

Boję się, ale wiem, że mój los spoczywa teraz wyłącznie w moich rękach.

— Kim jesteś? — pytam w nagłym odruchu śmiałości.

— Twoją najgorszą zmorą — odpowiada Kucyk głębokim barytonem. Ani śladu obcego akcentu.

— Nie ty jeden.

— Bardzo możliwe — mówi. — Sama tego chciałaś.

— Co to znaczy?

— Jesteś niegrzeczna, Kristin. Na pewno zdajesz sobie z tego sprawę. Zasłużyłaś na wszystko, co cię już spotkało. A teraz będzie jeszcze gorzej.

Wstrząsa mną zimny dreszcz.

— Skąd wiesz, jak mam na imię?

— Wiem o tobie o wiele więcej. Wiem, kiedy i dlaczego wyjechałaś z Bostonu. Wiem, gdzie mieszkasz i gdzie pracujesz.

Rozmowa przypomina jazzowe nagranie. Jest szybka i urywana. Pełna improwizacja. Do czego to prowadzi? Następny cios Kucyk zadaje mi prosto w serce.

— Naprawdę kochasz te dzieciaki? — pyta. — Te dwa słodkie maleństwa?

Dakotę i Seana?

— A co to ma wspólnego z nimi?

— Wszystko. Są bardzo ważne.

— Jeśli je skrzywdzisz... — warczę głucho, grożąc mu zaciśniętą pięścią.

— Nie — przerywa mi. — To ty je krzywdzisz.

— Ha! I tu się mylisz — wołam. — Nic o mnie nie wiesz.

Muzyka nagle cichnie.

— Hej, tam z tyłu! Wszystko w porządku? — pyta szofer.

Nie robi tego z czystej uprzejmości. Mówi lekko zdenerwowanym i podejrzliwym tonem. Chyba wyczuł, że coś jest nie tak.

Nie chcę, żeby przeze mnie zginął, lecz wiem, jak niemal wszyscy nowojorczyki, że w taksówce jest „pilot napadowy”, który zapala światło z tyłu wozu. To ma być sygnał dla policji, że w samochodzie dzieje się coś złego — jakaś rozróżba lub porwanie.

Albo cokolwiek.

Niestety, nie wiem, jak ukradkiem mam powiadomić taksówkarza, żeby skorzystał z tej możliwości.

Kucyk chrząka. Nie daje mi czasu do namysłu.

— Wszystko gra — odpowiada.

Taksówkarz patrzy na mnie w lusterku.

— Pani się zgadza? — pyta. — Nic się nie stało?

Kucyk do bólu ściska mnie za rękę.

— Powiedz mu, żeby się odczepił — z naciskiem szepcze mi wprost do ucha.

Biorę głęboki oddech i wzdycham.

— Nie! — warczę na niego. — Co pana napadło?

Nie wiem, czy dobrze mnie zrozumiał, za to Kucyk w lot chwytą, o co chodzi. Głupio zrobiłaś, Kris!

— Mówiłem ci, żebyś nie była taka cwana... — Sięga pod kurtkę. — Ile razy mam cię ostrzegać?

Rozdział 64

Kucyk za chwilę mnie zabije. Tu i teraz. Tak to się skończy. Od samego początku chodziło o moją śmierć. Zginę zamordowana.

Mam wrażenie, że te myśli w jednej chwili docierają do każdego kłębka nerwów w moim ciele. Cała się trzęsę.

Ale facet wcale nie sięga po pistolet. Wyjmuje portfel.

— Stań pan tutaj! — woła do taksówkarza.

Taksówka zjeżdża do krawężnika. Kucyk wypycha dwadzieścia dolców przez szczelinę w plastikowej ścianie. Wszystko dzieje się piekielnie szybko.

— To jest ostatnie ostrzeżenie, Kristin — mówi. — Wracaj do domu, spakuj walizki i zwiewaj stąd jak najdalej. Odczep się w końcu od Turnbullów, bo potem może być za późno.

— Na co za późno? — pytam.

— Sama wiesz. Chcesz skrzywdzić całą czwórkę? Radzę ci, nie rób tego, Kristin!

Wysiada i z trzaskiem zamyka drzwi. Gapi się na mnie przez okno i mruży coś pod nosem. Jestem zupełnie pewna, że ostatnie słowo to znowu „ostrzeżenie”.

— Pani przyjaciel? — słyszę kpiące pytanie szofera.

— Jedziemy! — krzyczę. — Szybko! Szybko!
Natychmiast dusi pedał gazu. Łyse opony piszczą na asfalcie.
Odwracam się i spoglądam przez tylne okno. Kucyk wciąż na
mnie patrzy. W ciemnościach widać tylko błysk jego białych
zębów. Chory uśmiech.
„Chcesz skrzywdzić całą czwórkę?... Nie rób tego”.

Część dziesiąta

Rozdział 65

„To jest ostatnie ostrzeżenie, Kristin”.

Kto mnie ostrzega?

I dlaczego?

Ktoś z policji? Może detektyw Delmonico?

— To jak? Jedziemy gdzieś czy nie? — pyta szofer, odrywając mnie od obłąkańczych myśli.

— Tak, na Manhattan — odpowiadam. — Proszę...

Zmęczonym głosem podaję adres i zapadam się głęboko w fotel. Mam wrażenie, że zaraz zasnę. Przecież nie spałam półtorej doby. Na dobrą sprawę to prawie śmieszne, ale już nie mam siły się roześmiać.

— Halo, nic pani nie dolega?

— Nie — kłamię. — Dzień jak na wczasach.

Chwilowa ulga ustępuje pod naporem panicznego strachu.

Tak jakby Kucyk nadal był koło mnie i nieustannie mówił o Turnbullach.

Cała się trzęsę. Mam zawroty głowy. Co gorsza, wszystko mnie potwornie swędzi. Znowu wysypka? Nie wiem, ale zawzięcie drapię się po całym ciele.

Z każdą sekundą jest coraz gorzej. Czuję, jak skóra mi się marszczy. Co jest grane?

Właśnie mijamy jakąś latarnię, więc do taksówki wpada mdłe żółte światło. Błyskawicznie podwijam rękaw, żeby spojrzeć na swoje ramię. Szukam wzrokiem czerwonych śladów zadrapania.

Widzę zupełnie coś innego. Coś tam łązi!

Podrywam się jak oparzona. W taksówce znowu panuje ciemność. Otrząsam rękę. Z czego? Już sama nie wiem... lecz wciąż coś czuję.

— Co ty wyprawiasz, do wszystkich diabłów?! — woła taksówkarz. Chyba żałuje, że mnie nie przejechał.

— Coś mnie oblaźło! — krzyczę.

Szybko zapala górne światło. Patrzę na rękę — i zaraz drę się na całe gardło. Tak, to karaluch... ale nie siedzi mi na ręku.

Łazi pod skórą.

Wyraźnie widzę ohydne kształty — nogi, odwłok, czułki. Idzie gdzieś w górę, w kierunku łokcia. Zapamiętałe tłukę się po przedramieniu.

Drugi karaluch... Potem jeszcze jeden... Oba wędrują w ślad za pierwszym, przebijając się przez moje ciało. Innych nie widzę, ale czuję. Na nogach, w brzuchu i na twarzy. Robale są dosłownie wszędzie!

Macham rękami i jak szalona miotam się po taksówce. Muszę natychmiast wysiąść! Chwytam za klamkę, lecz w tej samej chwili drzwi zostają zablokowane. Tak mi się przynajmniej zdaje. Na próżno szarpię klamkę. Zostałam uwięziona.

— Otwieraj drzwi! — wrzeszczę do taksówkarza. W ogóle mnie nie słucha. Pewnie dlatego, że go wystraszyłam.

Przed nami widzę ceglana ścią. Zbliza się w błyskawicznym tempie. Pełna wysiadka — i to w najgorszym znaczeniu tego słowa.

Nie mogę dłużej na to patrzeć. Zamykam oczy i ręką zasłaniam twarz.

A potem: trach! Bum! Gruch! Jak w komiksie.

Ogarnia mnie smolista ciemność.

Rozdział 66

— To jak nazywa się ten szpital? — trzydziesty raz pytam lekarza.

Unosi wzrok znad mojej karty.

— Matki Boskiej od Nadziei — odpowiada.

— No dobrze... Skąd się tu wzięłam?

— Prosto z taksówki. Szofer powiedział, że zaczęła pani nagle strasznie krzyczeć, więc zahamował i poleciała pani głową na przegrodę. Skutek: utrata przytomności.

Na piersiach ma tabliczkę z napisem „doktor Curley”. Pochyliła się, żeby lepiej obejrzeć moje czoło.

— Może jednak przyniosę trochę więcej lodu? — pyta. — Ma pani paskudnego guza.

— Nie — odpowiadam. — Nic mi nie jest.

Od razu wie, że to nieprawda. To samo wiedzą inni lekarze i pielęgniarki z izby przyjęć. Przecież co najmniej przez pięć minut bełkotałam o dziwnych zdjęciach, diabłach i koszmarach, mordercy o przydomku „Kucyk” i podskórnych karaluchach. Po pewnym czasie wszyscy zrozumieli, że to nie może być skutek uderzenia w głowę.

Kristin, przywitaj się z naszym psychiatrą, doktorem Curleyem.

Siedzimy w małym gabinecie, tuż obok poczekalni. Nie ma tu biurka ani obrazków na ścianach, ani telefonu. Jedynie dwa składane krzesła. Bardzo przytulnie.

— Pewnie pan myśli, że zwariowałam? — pytam.

Doktor Curley — łagodny, misiowaty facet z szopą blond włosów — powoli stuka długopisem w kartkę. Na koniec wzrusza ramionami.

— A pani?

— Skoro ściągnęli pana do mnie, to chyba muszę być wariatką. Prawda?

— Nie przesadzajmy. — Pochyla się, jakby chciał mi powiedzieć jakąś tajemnicę. — Tak między nami, szpital ciągnie kasę za to, że ma psychiatrę. Muszę coś zrobić dla przykrywki.

— W moim przypadku to uzasadnione — mówię.

Z powrotem patrzy w swoje notatki. Jest dużo miłszy od mojego byłego terapeuty, doktora Coreya. Pewnie nie pali głupiej fajki.

— Z tego, co widzę, miała pani wyjątkowo ciekawy tydzień. — Spogląda na mnie z ciepłym uśmiechem. — Może zrobimy mały eksperyment? Obiecuję, że to nie potrwa długo.

Cierpliwie słucham, kiedy wyjaśnia mi „proste ćwiczenie”. Mam uzupełniać zdania.

— Podam przykład — oznajmia. — Na ogół jestem... Pani odpowiedź?

Nic.

Siedzę jak kołek.

— Cóż... Gdybym miała coś do wyboru... — bąkam, zachodząc w głowę, o co w ogóle w tym wszystkim chodzi i czy naprawdę chcę się bawić.

Doktor Curley wybucha śmiechem.

— Oczywiście. Lecz proszę pamiętać, że nie ma błędnych odpowiedzi. Nie musi pani się zastanawiać. Liczę na szczerłość.

— Bo nie ma błędnych odpowiedzi? — powtarzam.

— Właśnie. Znow zaczynamy. „Na ogół jestem...”.

— Przyzwoita — mówię.

— O, proszę. Nic nie bolało. Jedziemy dalej — cieszy się lekarz. — Świat staje się bardziej...

— Niebezpieczny — uzupełniam, tym razem zupełnie bez namysłu.

— Myślę, że większość ludzi jest...

— Samotna.

— W chwilach rozterki lubię...

— Pracować w ciemni.

— Gdybym coś mogła zmienić w swoim życiu, to...

— Przede wszystkim polepszyć pracę. To znaczy, chciałabym być sławna. Jako fotograf.

— Ostatnio złoścę się... — Na siebie.

— Najbardziej liczy się dla mnie... Odruchowo otwieram usta, żeby powiedzieć: Michael.

W ostatniej chwili gryzę się w język. Przecież do tego się nie i przyznam!

— Co się stało? — pyta doktor Curley.

— Ee... nic — odpowiadam, kręcąc się na krześle. — Tylko musiałam chwilę pomyśleć. To chyba Connie... Moja przyjaciółka.

Kiwa głową. Ciągłe to robi, ale tym razem trochę inaczej. Wolniej. Wie, że kłamię? Pewnie, że wie. Nie jest głupi.

— Dobrze, ostatnie dwa pytania — mówi. — Moje dzieciństwo było...

Znowu waham się przez sekundę.

— Trudne.

— Najbardziej boję się... To łatwizna.

— Śmierci.

Rozdział 67

Obserwuję, jak doktor Curley pisze coś szybko w swoim notatniku. Długopis sunie po papierze. Ponieważ jestem porządnie śpiąca, działa to na mnie jak wahadłowy ruch zegarka w dłoni zręcznego hipnotyzera. Oczy dosłownie same mi się kleją. Nie chcę znów zapaść się w głąb koszmaru!

— Jesteś tu, Kristin?

Podrywam głowę. Lekarz spogląda na mnie.

— Tak, tak — mówię. — Przepraszam.

— Nic nie szkodzi.

— Zdałam?

— Jak już mówiłem, w tym teście nie ma złych odpowiedzi. Żadnego haka. Ale dziękuję ci za szczerłość.

— Co teraz? — pytam. Szczerłość za szczerłość.

Curley poprawia okulary.

— Tak sobie myślę... — zaczyna z wolna. — Zrobiło się dość późno, a ty do domu masz kawał drogi. Na pewno jesteś bardzo zmęczona i obolała po wypadku. Może zostaniesz na noc w szpitalu?

Jeśli popatrzeć na to w ten sposób...

Nawet podoba mi się pomysł, żeby nie wracać na Manhattan.

Może — nareszcie — porządnie się wyśpię? Kto wie? Może koszmary, śwąd spalenizny i karaluchy nie mają wstępu do szpitala?

— Czemu nie? — mruczę.

Doktor Curley prosi, żebym przez chwilę została sama i „odpoczęła”, a on załatwi to z lekarzem. Potem wychodzi. Zamyka drzwi.

Siedzę i czekam. Zaczynam się niecierpliwić. Paranoja? No pewnie.

Mija kilka minut. I jeszcze kilka. Wciąż siedzę zupełnie sama, ale od dawna już nie odpoczywam. Dokąd on polazł? Dawaj, stary... Jestem zmęczona. Nie pamiętasz?

Wstaję i lekko uchylam drzwi — tylko na tyle, żeby wystawić głowę na korytarz. Widzę Curleya. Jest dość daleko i rozmawia przez komórkę. Tuż koło niego stoi jakiś człowiek — pewnie ten lekarz, o którym mówił. Nie mogę dostrzec jego twarzy. Curley zasłania go czupryną.

Jednak po chwili lekko się przesuwa i wtedy zerkam na drugiego. Natychmiast cofam się jak oparzona. Serce omal nie wyskoczy mi z piersi.

Znam go!

Albo przynajmniej znałam.

Zanim został zamordowany w moim rodzinnym Concord, w stanie Massachusetts.

Rozdział 68

To jakiś gigantyczny trop w serialu grozy pod tytułem *Życie na bieżąco*. Nie widzę innej możliwości.

Błyskawicznie zamykam drzwi. Jestem zupełnie sama w gabinecie i wcale nie chcę, żeby tu ktoś przyszedł.

Nie mam pojęcia, jak to się stało, że mój pediatra, doktor Floyd Magnumsen, nadal żyje i praktykuje na Brooklynie. Co więcej, nawet się nie postarzał. Nic się nie zmienił od tamtej chwili, kiedy ostatnio go widziałam.

Ale ja miałam wtedy dwanaście lat.

Ogarniają mnie wątpliwości. Może to jednak nie on? Może to jakiś inny lekarz, tylko podobny do Magnumsena? Z tą samą blizną na podbródku?

Znam tylko jeden sposób, żeby to sprawdzić. Wyjdź i zapytaj. Jeśli masz rację, nawet nie musisz czekać na odpowiedź. Przecież dokładnie wiesz, jak i dlaczego zginął. Wszystko wyczytasz z jego miny.

Chryste Panie... Czy ty się słyszysz, Kristin? Naprawdę chcesz rozmawiać z trupem?

A co będzie, jeśli się mylisz? Wyjdziesz na środek i znów zrobisz z siebie widowisko?

Wtedy na pewno cię tu zostawią. W takim pokoju, gdzie nie ma klamek. Z małym okienkiem w drzwiach, żeby można było na ciebie popatrzeć.

Jestem pewna, że to Magnussen!

Tak samo jak tego, że widziałam ojca. Nawet mam zdjęcie.

Chwileczkę... zdjęcie!

Niemal natychmiast otwieram plecak, wydaję aparat i sprawdzam film. Wszystko gotowe.

A ja? Do czego? Do nowej próby?

Stoję pod drzwiami i przełykam ślinę. Przytykam twarz do chłodnego drewna. Muszę poruszać się szybko i cicho. Nikt nie powinien wiedzieć, co robię. Ani doktor Curley, ani tym bardziej Magnussen. Dlaczego, Kristin? Bo nieboszczycy zazwyczaj nie chcą być fotografowani?

Ostrożnie zerkam na korytarz. Obaj wciąż stoją w tym samym miejscu, lecz doktor Curley znowu się przesunął, zasłaniając włosami twarz Magnussena.

Patrzę przez wizjer aparatu i czekam na dogodny moment. Dalej, doktorku... Rusz się trochę!

Nic z tego. Stoi jak posąg.

Trudno, muszę poczekać. Ciekawe, ile będę tak stała, zanim ktoś...

Teraz!

Doktor Curley chowa telefon i usuwa się na pół sekundy. Tak! Mam fotkę! Jeszcze jeden niezbity dowód na to, że nie jestem żadną wariatką. To raczej cały świat zwariował — przynajmniej patrząc z mojej strony.

Zaledwie rozległ się trzask migawki, słyszę za sobą jakieś wrzaski. Odwracam się, widzę kobietę w wyraźnie zaawansowanej ciąży. Stoi zgarbiona w drzwiach izby przyjęć. Znów krzyczy. Podbiegają do niej dwie pielęgniarki.

Wyciąga palec w moją stronę. Gapi się prosto na mnie.

Z jej krzyku można wyłowić tylko jedno słowo:

— Szatan!

Czuję, że ktoś jeszcze na mnie patrzy. To oczywiście doktor
Magnumsen.

Już nie mam żadnych wątpliwości. Minęło blisko piętnaście
lat, ale czas jakby się zatrzymał. To ten sam człowiek — mój pe-
diatra — który mnie kiedyś molestował. Widzę, że także mnie
rozpoznał.

Wystarczy spojrzeć na tę wredną gębę.

Rozdział 69

— Kristin? Proszę cię, otwórz drzwi — mówi doktor Robert Curley. Przemawia do mnie takim tonem, jakby czytał w przedszkolu książeczkę doktora Seussa.

Nie otwieram. Nie dam się na to nabrać.

— Bez względu na to, co cię gnębi, na pewno zdołamy ci pomóc.

Jak to „my”, Robbie?

Słyszę napięcie w jego głosie, choć nadal stara się być bardzo miły. Pewnie korzystał z podręcznika w stylu *Jak mówić do wariatki*. Lekcja pierwsza: nigdy się nie denerwuj.

— Daj spokój, Kristin. Przecież nie jestem twoim wrogiem.

Całkiem ciekawy dobór argumentów.

— Wciąż jest tam z panem? — pytam. — Czy już poszedł?

— Kto?

Ha! Dobrze wiem, że Floyd Magnumsen stoi obok niego. Nawet to czuję. Dlaczego Robbie struga wariata? Pewnie należy do całego spisku.

W milczeniu słucham błagań Curleya, który uparcie chce mnie wywabić z malusieńkiego gabinetu. Chyba zrozumiał, że mu

się nie uda, bo już porzucił ugodową pozę. Teraz jest oschły, wręcz opryskliwy.

— Otwórz drzwi! — krzyczy. — Słyszysz? Natychmiast!

Bębni pięścią. Stoję wpatrzona w okrągłą kłamkę z mocno wciśniętą blokadą zamka. Strach mnie ogarnia, że odskoczy.

— Przecież nie możesz tam wiecznie siedzieć!

Zobaczymy.

Po chwili wrzaski i bębnienie cichną. Słysząc wyłącznie jakieś szepty. Szybko przyciskam ucho do drzwi. To chyba głos Magnumsena. Ledwo rozróżniam poszczególne słowa, ale wystarczy mi to, co słyszę.

— Klucz. Kto ma klucz? Trzeba ją jakoś stamtąd wyciągnąć.

Przysuwam krzesło, żeby podstawić je pod kłamkę, ale niestety, jest za niskie. Co teraz?

Na moment wpadłam w panikę, ale to wcale nie znaczy, że jestem głupia. Wiem, że jak wejdą tu obaj naraz, to już nie zdołam ich powstrzymać.

Jednak znam kogoś, kto to może zrobić.

Łapię komórkę i drżącą ręką wybieram numer. Patrę na zasięg. Jedna kreska — raz się pojawia, a raz znika. Najpierw szum, potem sygnał. Drugi...

Przy trzecim słyszę kroki na korytarzu. Ktoś wkłada klucz do zamka.

Odbierz! Odbierz! Odbierz!

Drzwi z głośnym trzaskiem walą o ścianę. Nigdzie nie widzę Magnumsena. Doktor Curley próbuje wyrwać mi telefon, ale ja trzymam go z całej siły. Jestem jak pitbull. Nagle w słuchawce odzywa się głos, na który czekam.

— Halo?

Krzyczę nazwę szpitala. Curley przewraca mnie na podłogę. Z wolna rozgina moje palce. Ból jak cholera.

— Michael, na pomoc! Musisz mnie ratować!

Rozdział 70

— Drzwi są zamknięte? — szepczę. — Sprawdziłeś?

— Tak.

— Jesteś zupełnie pewny? Wiem, że to brzmi trochę głupio, ale...

Michael naciska klawisz w suficie limuzyny i opuszcza prze-grodę z ciemnego szkła.

— Drzwi są zamknięte, prawda, Vin?

— Tak, proszę pana — mruczy Vincent, ale uprzejmie zwal-nia blokadę i zaraz włącza ją na nowo.

Szyba zamyka się z cichym szumem. Znowu jesteśmy w naszym małym świecie. Leżę na tylnym fotelu, z głową na kolanach ukochanego. Czuję, jak głaszcze mnie po czole — tam, gdzie mam paskudnego guza. Guz jest prawdziwy. Tak jak wszystko, co mi się dzisiaj przytrafiło.

— Już po zmartwieniu — uspokaja Michael.

Ile bym dała, żeby miał rację! Dobrze chociaż, że mnie wycią-gnął ze szpitala.

— Nie byłam pewna, czy ten cholerny Curley mnie wypuści — wzdycham.

Michael kiwa głową.

— Strasznie się stawał, prawda?
— Co mu się stało, że zmienił zdanie?
— Och, nic takiego. Powiedziałem, że sama przyszałaś do szpitala i także sama stamtąd wyjdiesz.
— To wszystko? Tym go przekonałeś?
Uśmiecha się po swojemu.
— No, nie... Jeszcze coś dodałem.
— Wiedziałaś!
— Wspomniałem tylko, że będzie pozew o bezpodstawne uwięzienie, a potem szpital zmieni nazwę na Matki Boskiej od Bankructwa.

Za to go kocham.

Michael nie prosi mnie o wyjaśnienia. Tak bardzo chcę mu wszystko wyznać, lecz wciąż coś mnie powstrzymuje. Przed chwilą ręczył własnym słowem, że jestem zdrowa na umyśle. Jak zareaguje, gdy usłyszy to, co mam do powiedzenia? Boję się, że rozkaże Vincentowi, aby natychmiast wracał do szpitala. „Szybko! Trzeba ją jak najprędzej odwieźć!”

Poza tym mam już dość niepotrzebnych nerwów. Nareszcie mogę trochę odpocząć. Jestem... bezpieczna. Tak, to najlepsze słowo. Tak samo czułam się ostatnio, gdy siedzieliśmy w limuzynie. Może to też ma jakieś znaczenie w tej porąbanej układance? Jaka jest rola Michaela?

— Znów to zrobiłam, prawda? — wzdycham. — Chyba popsułam ci ważne spotkanie.

— Nic się nie martw. — Mój ukochany spogląda na swojego platynowego roleksa. — Jak tylko wrócę, żeby zapłacić, nikt mi nie powie złego słowa.

— Naprawdę musisz tam pojechać? — pytam i biorę go za rękę.

— Raczej tak. A ty postaraj się odpocząć.

Ma świętą rację. Już oficjalnie gonię na rezerwie. Jednak nie chcę, by odchodził. Nie możemy tak jechać aż do końca życia?

— Michael?

— Tak?

— Pokochamy się?

W odpowiedzi muska moje usta najdelikatniejszym pocałunkiem. Tego mi w tej chwili potrzeba.

Z wolna zaczyna mnie rozbierać. Odrywam wzrok od jego twarzy i mimo woli patrzę w górę, przez szybę w dachu, w ciemność nocy. Nade mną wiszą długie stalowe liny mostu Brooklyńskiego. Otoczone są żółtą poświatą, jak na stylowej fotografii. To coś pięknego i trwałego.

Poza czasem.

Rozdział 71

Niechętnie żegnam się z Michaeliem, gdy dojeżdżamy do jego domu. Myślę, że zaraz się rozplączę. Potem jest chyba jeszcze gorzej. Nie chcę być sama w pustym mieszkaniu. Wydaje mi się, że minęły wieki, odkąd miałam tu przytulne gniazdko.

Zaledwie weszłam i przekręciłam klucz, żeby porządnie zamknąć się od wewnątrz, już słyszę świergot telefonu. Nie mam ochoty z nikim rozmawiać, ale po pewnej chwili myślę, że to Michael. A może jednak zmienił zdanie? Dobrze by było...

Odbieram tak po piątym dzwonku i słyszę głos telefonistki:

— Będzie rozmowa na koszt odbiorcy. Dzwoni pani Kristin Burns.

Mam ochotę rzucić słuchawką, ale przyjmuję połączenie. Słyszę swój głos.

— Na pomoc! Niech ktoś to przerwie...

Teraz naprawdę rzucam słuchawką. Co ktoś ma przerwać? Na litość boską, co się dzieje?! Jak mogę dzwonić sama do siebie?

Śliwka na czole jest prawdziwa i już zmieniła się w porządne siniaka. Nijak nie mogę jej zamalować, więc robię sobie nową fryzurę — grzywka na oczy.

Wkładam koszulkę, spodnie od dresów, potem gramolę się do łóżka. Myślę, że zasnę, jak tylko przytknę głowę — z siniakiem — do poduszki.

Dlaczego zatem jeszcze nie śpię?

Mija pięć, dziesięć minut, pół godziny... a ja wciąż rzucam się i wiercę. Wydarzenia ostatnich dni zaciskają się w mojej głowie jak jakaś obłędna pętla strachu i zdumienia. Stres, który rozplynął się, gdy leżałam w ramionach Michaela, powrócił — najpierw powoli, jakby ukradkiem, a potem z niespożytą energią.

W tym momencie mogę zrobić tylko jedno.

Zrywam się z łóżka po aparat. W uszach dźwięczy mi głos Curleya. Wyraźnie słyszę początek zdania: „W chwilach rozterki lubię...”.

Zamykam drzwi do ciemni, żeby wywołać zdjęcie, które cyknełam w szpitalu. Nie spieszę się, bo z góry wiem, co zobaczę. Doktor Curley na pewno nie był sam. Niczego sobie nie wymyśliłam. Ani tam, ani gdzie indziej.

Pytanie tylko: co to wszystko znaczy? Albo przynajmniej: jak to możliwe?

Biorę odbitkę. Bywały czasy, że płakałam, patrząc na twarz doktora Floyda Magnumsena.

Miał zimne ręce. Podczas badania zazwyczaj nosił rękawiczki. Z wyjątkiem tamtego jednego razu. Dlaczego zamknął drzwi? — pomyślałam. A potem nagle zrozumiałam: nie chce, aby ktoś wiedział, że jest potworem.

Na koniec strasznie się wstydziłam. Niestety, nikt mi nie uwierzył. Doszło do tego, że chciałam umrzeć.

Doktor Magnussen był nie tylko szacownym pediatrą, ale też bohaterem wojennym... ja zaś dwunastoletnim dzieckiem o

„wybujalej” wyobraźni. Nawet rodzice podejrzewali, że wszystko sobie wymyśliłam. „Chcesz zwrócić na siebie uwagę, Kristin? — spytała matka. — Jesteś zupełnie pewna, że tak było?”

Ale po pewnym czasie zjawił się ktoś inny. Uczennica drugiej klasy z liceum w Concord. Doktor Magnussen wmawiał jej, że szuka guzów „tam, na dole” — i że to może być przyjemne. Przez cztery lata żyła z tajemnicą.

Dopiero kiedy przeczytała o mnie, gdy usłyszała plotki na ulicy, gdy zobaczyła przysłowiowe „K” jak „klamczucha”, przynitowane do moich spłóviałych dżinsów, doszła do wniosku, że nie może milczeć. Opowiedziała, co jej zrobił lekarz.

Nie byłam sama. Mówiłam prawdę.

Dwa dni później ojciec dziewczyny wtargnął do gabinetu Magnussena i strzelił mu prosto w twarz ze śrutówki. Potem gazety podawały, że przed pogrzebem nie wystawiono otwartej trumny.

A teraz trzymam portret Magnussena w rękach. Wrócił z zaświatów. Nie ma na sobie najmniejszej rany. Wygląda tak, jakby zdjęcie zostało zrobione przed piętnastu laty.

Przypinam je do ściany. Obok umieszczam inne fotografie — te, które zabrałam do Javiera. Cofam się, patrzę na nie... Wiem, że stanowią klucz do zagadki.

Ale co ma wspólnego doktor Magnussen z moim ojcem? Albo też z Penley i Michaeliem?

Jak ich połączyć z hotelem Falcon?

Pochyłam się, żeby z bliska spojrzeć na nosze. Cztery ciała w równym szeregu. Co to za ludzie? Jak zginęli?

Wodzę palcami po fotografiach. Kiedy dotykam najdziwniejszej — tej z Michaeliem, której na pewno nie zrobiłam — moja dłoń nagle zastyga w bezruchu.

Coś słyszę. Jestem tego pewna.
Za ścianą rozległ się jakiś hałas.
To echo kroków.
Ktoś jest w mieszkaniu!
Stoję jak skamieniała. Nie oddycham. Nawet nie mrugam.
Czekam, aż znowu coś usłyszę.
Ale wokoło panuje cisza. Ani jednego dźwięku. Zmęczony
umysł płata mi figle. Najlepszy dowód na to, że już dawno po-
winnam być w sypialni, a nie w ciemni.
Daj sobie wreszcie spokój, Kris!
Ziewam ukradkiem i podchodzę do drzwi.
Szlag! Szlag! Szlag!
Znów słyhać kroki.
Są tuż za drzwiami.
Nie w mojej głowie.
Trudno to nazwać miłą niespodzianką.

Rozdział 72

Biorę żelazny statyw, który zwykle stoi w kącie ciemni. Jeśli za drzwiami ktoś się czai, przynajmniej umrę z bronią w ręku.

W wąskiej szczelinie tuż nad podłogą widzę cień stóp — wielkich jak cholera. Są coraz bliżej. Ujmuję statyw w obie dłonie i podnoszę go na wysokość głowy. Oj, kogoś to zaboli. Naprawdę mam bojowy nastrój.

— Pani Burns?

Znam ten głos.

Otwieram drzwi i patrzę na detektywa Franka Delmonico.

— Jak pan się tu znalazł?

— Po prostu wszedłem — odpowiada kpiąco. Nie usiłuje mnie przeproszać. — Przecież nie wpadłem przez otwarte okno.

— Dobra metoda. Od razu mnie zatkało. — Drzwi były otwarte — wyjaśnia. — Pukałem, ale chyba mnie pani nie słyszała. Czy to już koniec śledztwa? Może teraz ja zadam parę pytań?

Sięga do kieszeni szarego garnituru i wyjmuje ołówek oraz

postrzeżony notes. Czuję znajomy zapach płynu po goleniu i papierosów. Aż mnie ciarki przechodzą.

To wszystko dzieje się zbyt szybko, myślę. I bardzo późno. Już prawie północ. Co ten gość robi w moim mieszkaniu?

— Owszem, pamiętam, że obiecałam z panem porozmawiać. Ale czy to musi być właśnie teraz?

— Tak.

— Ale dlaczego?

— Myślę, że pani coś ukrywa — odpowiada. — A to mi się nie podoba.

Eufemizm roku, jeśli wziąć pod uwagę sposób, w jaki to powiedział. Ostrożnie, Kris.

— Dobrze. W czym mogę panu pomóc? Nic nie wiem o tych morderstwach — mówię dość obcesowym tonem.

— Tamtego ranka, przed hotelem Falcon, ciągle robiła pani zdjęcia. Dlaczego? — pyta, w ogóle nie zwracając uwagi na moje ostatnie słowa.

— Jestem fotografem.

— To pani zawód?

— W pewnym sensie. Przygotowuję się do wystawy. Mam też agentkę. Może pan do niej iść. Tylko nie dzisiaj — dodaję z naciskiem.

Patrzy gdzieś za mnie.

— To pani ciemnia?

— Tak.

— Mogę tam zerknąć? — pyta Delmonico. Podchodzi bliżej. Staję tak, żeby mu zablokować drogę.

— Czy to konieczne?

Znowu ten drwiący uśmiech.

— Boi się pani, że zobaczę zdjęcia, które zrobiła pani pod hotelem? A może chodzi o coś więcej?

— Nie. Ale są tam także moje prywatne fotografie.

— Świetnie rozumiem — odpowiada.

Potem przepycha się koło mnie.

Wchodzi do ciemni.

Rozdział 73

— Co pan wyprawia? To bezczelność!

Delmonico staje pośrodku ciemni, patrzy na lewo i na prawo. Wszędzie wiszą zdjęcia, pokrywają ściany niemal jak tapeta. Chyba jednak trochę się zdziwił.

— No, no, no... — mruczy. — Pracuję z siebie.

— Nie pozwoliłam panu tutaj wchodzić!

Jego ciemne oczy świdrują mnie na wylot.

— Wolisz, żebym wrócił tu z nakazem? Wtedy narobię bałaganu! Tego chcesz? Mogę zacząć od razu. Znasz przeplatankę „dobry gliniarz, zły gliniarz”? Ja jestem tym drugim, Kristin.

— Stałam się podejrzaną?

— Utrudniasz śledztwo w sprawie morderstwa.

— To jakieś żarty.

Podchodzi bliżej. Jest ze dwa razy większy ode mnie.

— Pamiętaj, Burns, że tamtego dnia zginęło aż czworo ludzi.

Czworo!

— Wiem. Sama to widziałam.

— Zachowywałaś się co najmniej dziwnie.

— Widocznie byłam zdenerwowana.

Wciąż jestem, głąbie!

— Mimo to twierdzisz, że nie znałaś ofiar.

— Powtarzam, byłam zdenerwowana. Ciała leżały na ulicy.

— Ale myślałaś, że ktoś z nich żyje. Przynajmniej tak mi powiedziałaś.

— Nie, wydawało mi się... To znaczy tak, ale... ee...

Im dłużej zwlekam, tym bardziej czuję na sobie twarde wzrok Delmonico. Chyba zupełnie już się zaplątałam. Wyraźnie kopię dół pod sobą.

— Słucham uważnie — mówi detektyw. — Na twoich oczach ktoś tam ożył?

— To niedorzeczne. Doskonale pan wie, że nic mnie nie łączy z tym morderstwem.

— Jesteś jedynie przypadkowym świadkiem?

— Tak.

Delmonico śmieje mi się prosto w twarz.

— I ty w to wierzysz? Naprawdę jesteś tak niewinna, że ta rozmowa ci uwłacza?

— Nie bardzo wiem, co pan mi wmawia, ale nie będę tego dłużej słuchać. Proszę stąd wyjść.

Kiwa głową i chowa do kieszeni notes i ołówek.

Dzięki Bogu! Nareszcie pójdzie.

Nie.

Po prostu chciał mieć wolne ręce.

W gnieniu oka chwytą mnie za ramiona i rzuca na najbliższą ścianę. Zdjęcia sypią się na podłogę. Czuję, że coś mnie łupie w plecach. Jeszcze nie wierzę, że to zrobił.

— Słuchaj mnie! Słuchaj złego gliniarza! — syczy ze złością. — Pójdę dopiero wtedy, kiedy skończę. Pytasz, czy jesteś podejrzana? Otóż tak. Jesteś. Na początek.

Boję się. Milczę.

— Pewnie uważasz się za bardzo sprytną? Za niezależną, nowoczesną cipę? — pyta. — Wiesz co? Niedługo zmięknie. To tylko kwestia czasu. Jesteś wplątana w te morderstwa. Przynajmniej tyle mi wiadomo.

Otwieram usta — po pierwsze, żeby złapać oddech, po drugie, żeby coś powiedzieć.

— To... boli... — jęczę.

Kręci głową.

— W ogóle nie znasz prawdziwego bólu. Ale niedługo poznasz.

Grzbietem dłoni gładzi mnie po szyi i w poprzek piersi.

To jednak dzieje się naprawdę.

Co dalej? Zabierze mnie ze sobą? Aresztuje za niepopelnioną zbrodnię?

Dłoń detektywa nieruchomieje tuż nad moją piersią. Serce mi wali jak szalone.

— Czujesz to? — pyta. Pochyla się i z odległości kilku centymetrów patrzy mi prosto w oczy. Wcale nie mruga. — Zawsze, kiedy pomyślisz o mnie, przypomnisz sobie to uczucie strachu.

Z wolna odchodzi w stronę drzwi. Cała się trzęsę. Delmonico spogląda na mnie.

— Wiem, gdzie mieszkasz, Kristin — powiada. — Wiem, co zrobiłaś w hotelu Falcon... za pierwszym i za drugim razem.

Część jedenasta

Rozdział 74

Jeśli istnieje podział na złe i dobre dni, to mój następny dzień jest naprawdę dobry.

Penley wybiera się do South Hampton na jakiś hiperekskluzywny piknik. Gdy tylko znika, dzwonię do szkoły, że dzieciaki są przeziębione, i wędrujemy razem na wagary.

Wyraźnie czuję, że Sean i Dakota czegoś takiego potrzebują. Zwłaszcza Dakota. Nie mówiąc o mnie.

Na początek to, co najważniejsze: wielkie obżarstwo w Sarahbeth's. To nasza ulubiona restauracja w całym Nowym Jorku. Zamawiamy więc naleśniki z jagodami, wiórkami czekoladowymi i mnóstwem syropu. Potem idziemy do Central Parku. Tylko jedno nam w głowie — żeby się porządnie zmęczyć i pobrudzić. Jak wszystkie normalne dzieci.

Przez trzy godziny biegamy, skaczemy, wrzeszczymy na całe gardło, bawimy się w berka, rzucamy piłką, gramy w zbijaka i „głupiego Jasia”. Nie mam złych myśli, nic mnie nie gnębi i nie widuję dawno zmarłych ludzi.

Kończymy na niewielkim betonowym placu, na którym są huśtawki i zjeżdżalnie. Z miłością patrzę na moje brudasy —

Dakotę i Seana. Cieszę się, gdy tak wyglądają. Im też to się podoba. Jeszcze nigdy nie widziałam piękniejszych uśmiechów na ich buziach.

Oczywiście przez cały czas robię im zdjęcia. Dziesiątki zdjęć. Wszystkie są udane, wręcz doskonałe.

Nagle — okropna katastrofa!

Sean wspina się po drabince na zjeżdżalnię. Na samym szczycie zahacza czerwonym adidasem o ostatni szczebel i spada na łeb na szyję. Patrzę na niego z przerażeniem. Widzę, jak leci buzią na beton. Przysięgam, że wyrznął czołem.

Dziesięć minut później jesteśmy na pogotowiu w Lenox Hill. Jakimś dziwnym, cudownym zbiegiem okoliczności Sean wychodzi z tego bez najmniejszego szwanku. Nie potrzeba szwów. Na koniec on i Dakota dostają po lizaku.

Z Lenox Hill wracamy taksówką do domu. W samochodzie panuje cisza. Dakota przysuwa się nieco bliżej i kładzie głowę na moim ramieniu. Szkoda, że nie mamy właśnie takiego zdjęcia.

— Nic się nie stało, panno Kristin — mówi. — Nikomu o tym nie powiemy.

— Obiecuję! — dodaje Sean. — Na pewno nie powiemy. Kochamy panią, panno Kristin.

Ja też ich kocham.

Na zabój kocham Dakotę i Seana. Jak można ich nie kochać?

A jednak mam poczucie winy. Nie wiem, jak się z tego wyplątać. Tu nie chodzi o jakieś tam głupie wagary — notabene wspomniałem — ale o całą resztę.

Całą.

Rozdział 75

Cholera, zaraz cisnę ten budzik przez okno! Jak w ulubionym dowcipie Seana. Czas leci...

Nie wiem, po jakie licho w ogóle nastawiam budzik, skoro i tak zrywam się co rano, dręczona koszmarem. Mam wrażenie, że to trwa już całe wieki. Może nawet od zawsze.

To samo z innymi dziwnymi „przygodami”. Tylko jedno pytanie: jak długo wytrzymam?

Mam to po prostu olać i żyć jak normalni ludzie?

Proszę bardzo, spróbuję. Z niewielką pomocą przyjaciół.

Brygada „Beth i Connie” zadzwoniła do mnie na komórkę, jak tylko odstawiłam dzieciaki do szkoły. „Zjesz z nami lunch”, usłyszałam. Bez żadnego gadania.

Oczywiście, chcę wiedzieć, czy jeszcze się trzymam, czy już zupełnie zmięklam. Prawdopodobnie Connie — zgodnie ze swoim społecznym powołaniem — wpadła w lekką panikę po moim zagadkowym najeździe na jej mieszkanie. Beth już na pewno o tym usłyszała.

A może by im powiedzieć o wszystkim, co się stało?

Nie ma mowy.

Za bardzo mnie wystraszył ten potwór Delmonico. Ciągłe czuję miazdzący uścisk jego dłoni na mojej szyi. Pamiętam wyraz jego oczu.

Robię więc „minę numer pięć” i beztrzesko wkraczam do restauracji Comfort — adekwatna nazwa — przy 45th Street, między Second i Third Avenue. Connie i Beth zajęły już stolik przy oknie. Pamiętam o tym, żeby się uśmiechnąć.

Niestety, reszta mojego ciała nie rozumie tej podpowiedzi.

— Koszmarnie wyglądasz, Kris — niemal natychmiast mówi Beth.

Connie przewraca oczami, a ja wybucham zdrowym śmiechem. Tak, tak... To cała Beth. Nic dziwnego, że wciąż nie może się zaczepić w filmie. Swego czasu nawet sam Martin Scorsese usłyszał od niej, że powinien odrobinę przyciąć „te dwie gaśienice”, które ma nad oczami.

— Chyba jesteś zmęczona — w dyplomatyczny sposób dodaje Connie. — Dobrze sypiasz?

— Ostatnio najlepiej u ciebie — mruczę.

— Owszem, dopóki się nie obudziłaś z krzykiem, jakbyś nocowała co najmniej w Bellevue — odpowiada z przekąsem.

Wcale nie musiała mi tego przypominać.

— Byłaś u lekarza? — pyta Beth. — Może złapałaś jakiegoś wirusa.

— A co z tym twoim psychiatrą? — wtóruje jej Connie. — Wybierzesz się do niego?

Może pomyślisz, że zwariowałam, lecz już mam szczerze dość wszystkich psychiatrów.

Patrzę na moje przyjaciółki. Chyba naprawdę są zmartwione.

— Doceniam to, że chcecie mi pomóc. Bardzo dziękuję. Ale w tej chwili mam ochotę zapomnieć o kłopotach i zjeść lunch w towarzystwie najlepszych kumpelek. Zgoda?

Obie kiwają głowami. Na pewno rozumieją. Potrzebuję rozrywki, a nie biadolonia. Sięgają więc pamięcią do najświeższych wspomnień, wyszukując najlepsze plotki i anegdoty.

Connie przebija wszystko historią ze swojej pracy, o koledze, który niechcący dał się przyłapać na tym, jak robił ksero... penisa. Z początku jej nie wierzę, ale ona przysięga, że to szczerą prawdą.

— Pewnie jeszcze do tego nastawił powiększenie — wtrąca Beth.

Ze śmiechem zamawiamy lunch. Rozmowa pomału schodzi na moją pracę i „cudowną” Penley.

— Niech zgadnę — mówi Beth. — My się tu obżeramy, a Penley siedzi w siłowni i spala resztki kalorii.

— Jest chora na punkcie ćwiczeń — odpowiadam. — Ale dzisiaj podobno pojechała do Greenwich. Mają tam dobroczyzną fetę.

— Powinnyśmy ją kiedyś poznać — odzywa się Connie. Beth robi zdziwioną minę.

— A po jaką cholere?

— Dobrze, dobrze... Masz rację. A co ty powiesz, Kris?

— Lepiej niech pozostanie tworem wyobraźni. — Parskam śmiechem. O Boże... Naprawdę mi dobrze.

Connie uśmiecha się i dłubie widelcem w sałatce. Sięgam po szklankę z mrożoną herbatą. Nagle Beth wlepia wzrok w okno i głośno chichocze.

— Zobaczcie, jaka PDU po drugiej stronie.

Connie i ja patrzymy za jej wyciągniętym palcem. Rzeczywiście, tuż pod czerwonym światłem stoi jakaś para, złączona w wyjątkowo namiętnym pocałunku. Wspomniana PDU, czyli Publiczna Demonstracja Uczuć, ciągnie się bez końca. Wreszcie kobieta ze śmiechem odpycha partnera i spogląda za siebie, jakby szukając świadków.

— O mój Boże! — wyrywa mi się.

Beth i Connie natychmiast patrzą w moją stronę.

— Co się stało? — pyta Connie.

— To Penley!

— Przecież przed chwilą mówiłaś, że jest w Greenwich —
mruczy Beth.

— Wiem. Tak mi powiedziała.

Wszystkie trzy z powrotem gapimy się w okno. Facet pochyla się w stronę Penley i szepcze jej coś do ucha. Na pewno jakieś słodkie bzdury.

— Hm... — wzdycha Beth. — Do tej pory nie wspominałaś nam, że ma takiego przystojnego męża.

— Rzeczywiście — mówię. — Tylko że to nie jest jej mąż.

Rozdział 76

Zrywam się z krzesła, potrącam stół, niemal wylewam mrożoną herbatę. Przelotnie rzucam „cześć” w stronę przyjaciółek i biegnę na ulicę.

— Zaczekaj, Kris! — słyszę głos Connie.

Nie czekam. Nie mogę. Mam ważniejsze sprawy. To może stanowić klucz do całej zagadki.

Wybiegam z restauracji i rozglądam się wokół siebie. Na skrzyżowaniu pali się zielone światło, a Penley gdzieś zniknęła.

Tak samo Stephen. Wysoki, ciemnowłosa i urodziwy Stephen. Jak sądzę, jej kochanek.

Kręcę głową na wszystkie strony. Widzę ich, dalej idą chodnikiem. Niewiele myśląc, skradam się za nimi.

Aż trudno w to uwierzyć. Atmosfera, jak mówią, powoli gęstnieje.

Penley ma kochanka. W dodatku to ten sam facet, z którym wysłała mnie na randkę w ciemno!

Wciąż jestem w szoku, ale czuję coś jeszcze.

Ulę.

Od pierwszego dnia związku z Michaeliem — „żonatym mężczyzną” — towarzyszyło mi poczucie winy. Wszędzie taszczyłam je ze sobą jak ciężką walizkę.

Teraz, na widok tej oszustki Penley, zrobiło mi się lżej na duszy.

Tak, wiem, że dwa minusy nie dają plusa. Ale troszeczkę zmniejszają brzemię.

Idę za Penley i Stephenem. Nie przytulają się do siebie. W oczach przechodniów mogą uchodzić za najzwyczajszą parę przyjaciół.

Póki nie staną na czerwonym świetle. Wtedy od razu coś ich bierze — zwłaszcza Stephena. Wręcz nie potrafi trzymać rąk — i ust — z dala od Penley.

Penley nie karci go za te pieszczoty, ale wyraźnie zdaje sobie sprawę z tego, że są na ulicy. Krąg jej znajomych jest dosyć spory. Co prawda w Nowym Jorku mieszka jakieś osiem milionów ludzi, jednak ostrożności nigdy za wiele. Ktoś przecież mógłby ją zobaczyć.

Tak jak ja.

Błyska zielone światło. Koniec krótkiego przedstawienia, pora na dalszy ciąg spaceru. Idę za nimi, chociaż czuję, że coś mnie gnębi. Strach.

Stephen i Penley są ze sobą żłyci. Nie poznali się przed kilkoma dniami. A to oznacza tylko jedno.

Ona zna prawdę.

Albo przynajmniej czegoś się domyśla. Może wciąż nie wie, co faktycznie łączy mnie z Michaeliem, ale ma swoje podejrzenia. To wyjaśnia, dlaczego Stephen tak dużo mówił o „niewiernych” związkach. Chciał nakłonić mnie do zwierzeń, czy robił mi wodę z mózgu?

Tak czy inaczej, to robota Penley. Trochę szkoda, że wcześniej tego nie spostrzegłam.

Ale teraz wszystko zupełnie się zmieniło.

Znowu stają na rogu i Stephen natychmiast powraca do pieszczoł. Tym razem staje się bardziej namiętny. Penley to nie przeszkadza. Mój Boże, dlaczego nie pójda do hotelu?

Nadal pozostaję w przyzwoitej odległości za nimi, ale o wiele dalej od rozsądnych myśli. Nawet nie umiem właściwie określić swoich uczuć. Za dużo tego wszystkiego. Za dużo możliwości...

Już wiem, co powinnam zrobić.

Nie myśl, po prostu pstrykaj.

Sięgam po aparat. Jeżeli się pospieszę, to jeszcze przed zmianą światel zrobię udane zdjęcie pocałunku z języczkiem.

Ale moja ręka zawisa w powietrzu.

Nie mam aparatu. Ba, nie mam nawet plecaka. Zapomniałam go zabrać, wybiegając z Comfortu.

W mordę jeża i worek szkła! — myślę sobie.

Dobrze pamiętam, kto tak mówił.

Mój zmarły ojciec.

Rozdział 77

— Co?! — Michael patrzy na mnie z niedowierzaniem.

Powtarzam wszystko od początku, ale on dopiero teraz naprawdę słucha. Chyba wciąż nie docierają do niego moje słowa. Myśli, że kłamię?

Stoimy pod ogromnym oknem, w apartamencie, który jego firma trzyma przy Wall Street dla przyjezdnych VIP-ów. Raczej nie narzekają na brak gości, bo nie zawsze można tu znaleźć wolny pokój. Nam kilka razy się to udało. Tamte wieczory były romantyczne, ale dziś coś mi podpowiada, że nie będzie zbyt wiele seksu.

— Jesteś pewna, że to Penley? — pyta Michael. — Nie pomyliłaś jej z kimś innym?

— Nie. Widziałam ich na własne oczy.

Próbuję spojrzeć na to z jego strony. Przecież niecałe dwa dni temu musiał pojechać do szpitala, bo chcieli mnie zabrać do czubków.

A teraz nowa rewelacja.

Wcale się nie dziwię, że mi nie wierzy. Jeszcze w dodatku powiedziałam, że zapomniałam aparatu. Wie, że praktycznie sypiam z leicą.

Bez fotografii — bez dowodów — może jedynie mi zaufać.
— Mówisz, że to był tamten facet, z którym raz poszłaś na kolację?

Kiwam głową.

— Owszem. „Uroczy” Stephen.

— To znaczy, że...

— Jakbyś zgadł — przerywam mu.

— Jak to możliwe? Przecież byliśmy tak ostrożni...

Patrzę na niego z lekkim przekąsem.

— Wystarczy wspomnieć tylko „klub Maytag”, nie mówiąc już o innych rzeczach.

— Mimo to wiedziałbym, gdyby się czegoś choćby domyślała! Prędzej by mnie zabiła, niż snuła jakieś plany... — myśli na głos, nerwowo krążąc po pokoju. Jest czerwony jak burak. — Naprawdę sądzisz, że go wysłała na taki mały rekonesans? Nie da się ukryć, baba ma jaja, ale teraz mówimy o *cojones* King Konga!

— Może nas tylko podejrzewa. To by nie było takie głupie.

— Jakkolwiek by patrzeć, wszystko, co mówisz, jest potwornie głupie! — woła.

Ostatnie słowo wisi w powietrzu tuż nad moją głową. Głupie... Myśli, że zwariowałam? Widzę, że jest coraz bardziej wkurzony. Na kogo? Na mnie? Nie chcę, byś dostał napadu złości, Michael...

— Nie wierzysz mi? — pytam.

Michael przystaje. Podchodzi bliżej i bierze mnie w ramiona.

— Jasne, że wierzę — mówi. Przytula mnie, jakby w ten sposób chciał rozproszyć własne wątpliwości.

Ale niepewność wciąż istnieje. Słyszę ją w jego głosie, widzę w oczach. Po prostu nie wie, co o tym myśleć. Różnie wyobrażałam sobie jego możliwą reakcję, lecz coś takiego nigdy nie przyszło

mi do głowy. Umiiałabym zrozumieć złość albo urazę. Umiiałabym zrozumieć zazdrość, bo przecież żaden zdrowy facet nie lubi dzielić się kobietą, choćby nawet już jej nie kochał.

Lecz miałam nadzieję, że gdy opadną pierwsze emocje, Michael popatrzy na to z mojej strony. Zobaczy szansę. Skoro już nie jest jedynym winnym „gorszącej zdrady”, to nie ma obaw, że przy rozwodzie jego wredna żona doszczętnie go oskubie. Może spokojnie zrobić to, o czym marzę.

Rzucić Penley.

— Co teraz? — pytam.

— Muszę się z tym przespać — odpowiada. Przygląda mi się przez dłuższą chwilę. — Jesteś zupełnie pewna, Kris, że ją widziałś? Na sto procent?

— Tak — mówię.

Jestem pewna.

Tak mi się zdaje.

Rozdział 78

Przez całą noc rzucam się i wiercę, myśląc o Penley i Stephenie. Nie wiem, czy Michael mi uwierzył. Nie wiem, czy sama sobie wierzę.

Jedynym plusem bezsennej nocy jest to, że rano nie mam koszmarów. Szkoda, że nie istnieje żaden dobry sposób, żeby nie sypiać do końca życia.

Idę do pracy. Kiedy przekraczam próg apartamentu Turnbullów, Penley spogląda na mnie ze zdziwioną miną.

— Chyba coś ci się pomyliło, prawda? — pyta.

Walę się dłonią w czoło.

— Rzeczywiście!

Równno co dwa tygodnie Penley sama zabiera dzieci do szkoły. Mam wtedy wolny cały ranek.

Michael nazywa to „drogą pokuty”, ale ja myślę, że tu nie ma nawet mowy o pokucie. Penley nie zdaje sobie sprawy z tego, że jest złą matką. W ogóle o tym nie wie. Myślę, że w jej pokrętnym umyśle jest to ofiara ze względu na mnie. Praca społeczna, tyle że z dziećmi.

— Skoro już jesteś... — mruczy Penley. — Trzeba na lato wynieść na taras kilka miękkich krzeseł. Tylko je przedtem wyczyścić, dobrze?

— Nie ma problemu — mówię.

— Łącznie z tapicerką.

— Oczywiście.

Znów jest w kostiumie gimnastycznym z napisem Chanel. Takie ubranko kosztuje więcej, niż zarabiam w miesiąc. Penley krzyżuje ręce na piersiach.

— Odstawię dzieci, a potem pójde trochę poćwiczyć. Wróce mniej więcej w porze lunchu.

— *A propos* — zagajam. — Jak tam wczorajsza impreza w Greenwich?

Pilnie spoglądam na nią spod oka, czekając, czy się spłoszy, zawaha lub zająknie. Czy zrobi coś, co by ją zdradziło. Nic z tych rzeczy.

— Och, przecież wiesz, jak wyglądają takie przyjęcia dobroczynne. Zawsze to samo.

Bez wątpienia.

Idzie do siebie. Ja zaś kieruję kroki do kuchni. Sean i Dakota kończą śniadanie. Penley zrobiła im dużą michę płatków owsianych z mikrofalówki.

— Cześć, panno Kristin! — wołają chórem. Są zaskoczone, że mnie widzą, a przy okazji strasznie szczęśliwe!

— Co pani tu robi? — pyta Sean.

— Myślałam, że dziś idziemy do szkoły z mamą — mówi Dakota.

— Tak, tak, kochanie... Zapomniałam o tym. Jestem okropnie głupia.

— Pani niczego nie zapomina — słyszę w odpowiedzi.

— Nigdy niczego — dodaje Sean.

Uśmiecham się. Dzieci są strasznie mądre. To prawda. Wcale nie zapominałam. Mam doskonałą pamięć.

Długą jak teleobiektyw.

Rozdział 79

Dziesięć minut później idę za Penley i dziećmi w stronę szkoły. Staram się zachować bezpieczną odległość. Jeśli któryś z nich mnie spostrzeże, to już nie żyję. Jestem ugotowana.

Chyba dziesiąty raz sprawdzam ręką, czy mam aparat — i czy w ogóle wzięłam plecak.

Penley, Dakota i Sean są mniej więcej w połowie drogi do Preston Academy. Dla każdej matki to wspaniała szansa, żeby przez dłuższą chwilę побыć ze swoimi pociechami. Niestety, Penley gada przez komórkę i nie zwraca uwagi na dzieci.

Tym razem mi to nie przeszkadza. Nawet lepiej, że ma zajęcie, bo nie ogląda się przez ramię.

Idę ich śladem, lecz z każdym krokiem ogarniają mnie dziwne myśli. Jakbym patrzyła z boku na siebie. Przecież to ja niemal codziennie przechodzę tędy z Seanem i Dakotą.

Widząc kogoś na moim miejscu, jeszcze wyraźniej zdaję sobie sprawę z tego, ile te dzieci dla mnie znaczą. Chciałabym spędzać z nimi każdą chwilę. Tak, wiem... Gdyby Penley była choć trochę

lepszą matką, musiałabym się wstydzić swoich marzeń.

Jeszcze jedna przecznicza. Znów sprawdzam, czy mam aparat.

Minutę później chowam się za budką telefoniczną. Widzę, jak Penley staje przed bramą szkoły i niecierpliwym ruchem ręki odgania dzieci. Niewiarygodne — wciąż rozmawia przez komórkę!

Z kim? Ze Stephenem?

Mają się spotkać na siłowni?

— Sorry, korzystasz z tego telefonu? — słyszę.

Aż podskakuję ze zdenerwowania. Skąd znam ten głos? Znam na pewno.

Odwracam się. Widzę chłopaka w workowatych džinsach i koszulce z napisem GAP. O w mordę... Nie rozmawiałam z nim od czasu, gdy chodziliśmy razem do liceum. Nie wiem, co się z nim potem stało, ale pasuje do koszmaru.

Wskazuję na telefon.

— Chyba nikt z niego nie korzysta — mówię. — Ty jesteś Harvey, prawda? Z Concord?

Spogląda na kawałek kabla wystającego ze słuchawki, jakby to był ogon szczura.

— Do ciebie, Kristin — mówi rzeczowym tonem. Ot, tak... po prostu.

W tej samej chwili telefon dzwoni. Znów podskakuję, ale nie odbieram.

— Tak, jestem Harvey — odpowiada i odchodzi, powłócząc nogami.

— Pozwól, że zgadnę! — wołam za nim. — Nie żyjesz, prawda?

Ale Harvey jakoś nie kwapi się z odpowiedzią.

Szybko spoglądam w kierunku bramy. Tylko że Penley już tam nie ma. Rewelacja.

Głowa mi lata jak spryskiwacz do trawników. Drugi raz robię pełny skan — trzysta sześćdziesiąt stopni — i wreszcie... jest! Widzę Penley w głębi Madison. Zdradza ją sposób poruszania się. Jakby całą sobą mówiła: „Jestem od ciebie dużo lepsza. Zejdź mi z drogi!”.

Szybko przebiegam przez ulicę, żeby ponownie jej nie zgubić. Teraz, kiedy oddała dzieci, już nie rozmawia przez komórkę. Chowam się w tłumie — dobrze, że są godziny szczytu — lecz nie próbuję podejść bliżej.

Mijamy kilka następnych przecznic. Wciąż nie pamiętam nazwy jej klubu. Reebok? Equinox? Może nigdy mi tego nie mówiła?

Zaraz się dowiem. Siłownia pewnie jest gdzieś blisko, bo Penley idzie na piechotę. Jak ją znam, wzięłaby taksówkę, gdyby to było trochę dalej.

Spoglądam na nią, lecz moje myśli wciąż wybiegają gdzieś daleko naprzód. Wystarczy jeden pocałunek... Okej, może być przytulanka, ale za całusa zgarnę więcej.

O ile zjawi się pan Stephen...

Penley mówiła, że poznała go w klubie. Tak, i wróżyła nam świetlaną przyszłość... Ha!

Może niepotrzebnie ją śledzę? A może jednak? Jakie to ma znaczenie? Muszę zdobyć dowód! Zwłaszcza dla Michaela.

Skąd więc ten nagły przypływ strachu?

Czuję, jak coś mnie ściska w brzuchu. Po każdym kroku jest coraz gorzej. To nie są nerwy ani mdłości, lecz coś innego... Znam to uczucie.

Czas i przestrzeń stają się dla mnie rozmazaną plamą. Nie wiem, co robić — i w tej rozterce nawet nie patrzę, gdzie jest Penley.

Mrużę powieki, żeby ją zobaczyć. Wchodzi do klubu! W tej samej chwili wpadam w panikę. Jestem przerażona do granic możliwości.

Tak samo czułam się poprzednim razem.

Dokładnie tutaj.

Przed „klubem” Penley.

Znanym także jako hotel Falcon.

Rozdział 80

Coś zmusza mnie do biegu — tyle że nie mam pojęcia dokąd.

Najchętniej zaraz bym uciekła, lecz jednocześnie wiem, że powinnam iść za Penley i sprawdzić, co tam się naprawdę dzieje. Daję krok naprzód, potem do tyłu. Jestem jak jo-jo.

Biegnę.

Wprost do hotelu.

Odpędzam od siebie strach — przerażenie — i pędzę w stronę schodów, ocienionych czerwoną markizą. Zwalniam dopiero w holu. Wszystko pamiętam — przyjechałam tutaj prosto z Bostonu. Daj spokój, Kris. Teraz to nieważne.

Czeka mnie pierwsza trudna próba — muszę ukradkiem sprawdzić, który pokój zajmuje Penley.

Gdzie ona jest?

Nigdzie jej nie widać. Rozglądam się po skąpo umeblowanym holu. Od razu spostrzegam, że zmienili wystrój. Wszystkie meble są całkiem czarne, obsługa w ciemnych garniturach. Niczym u Prądy. Chudzielićw sporo, ale bez Penley.

Po lewej stronie od recepcji są dwie windy. Podbiegam do

nich. Pierwsza stoi otwarta, druga jedzie w górę. Patrę, na którym piętrze się zatrzyma. Czekam i czekam. Trzecie.

Wsiadam do pustej. Na trzecim piętrze ostrożnie wyglądam na korytarz. Spodziewam się, że zobaczę Penley idącą do pokoju.

Ale na korytarzu nikogo nie ma. Czuję się jak bohaterka taniego horroru. W uszach słyszę okrzyki widzów: „Nie chodź tam, Kristin! Nie! Uciekaj!”

Nie zrobię tego. Boję się, że zgubiłam Penley. Może w ogóle nie wjechała na to piętro?

Nagle, kilka pokoiów dalej, słyszę coś jakby kobiecy śmiech. Albo paplaninę. Ale od razu wiem, że to Ołówek.

Podchodzę bliżej i nasłuchuję. Niemal dotykam uchem drzwi. Znow słyszę śmiech, przeplatany urywkami rozmowy. Nie potrafię rozróżnić słów, ale znam głos mężczyzny, który jest w pokoju. To on.

Stephen.

Podsluchuję ich chyba przez minutę. Dokazują jak dzieci — bardzo niegrzeczne dzieci. To ma być ta kobieta, która kazała mi ustawiać konserwy w kolejności alfabetycznej?

Znow macam plecak. Nie ma obawy — aparat jest na swoim miejscu. Tuż pod ręką.

Na samym końcu korytarza są drzwi wiodące na klatkę schodową. Mają małe okienko, mniej więcej na wysokości oczu. Znakomite miejsce na zasadzkę.

Stephen i Penley przyszli oddzielnie, więc na pewno nie wyjdą razem. Ale to dla mnie bez różnicy. Zrobię im zdjęcia, jak wymykają się z pokoju. Więcej nie trzeba. Michael dośpiewa sobie całą resztę.

Z wolna odchodzę w głąb korytarza. Dobiegające z pokoju śmiechy — i Bóg wie co tam jeszcze — brzmiały w moich uszach

tak, jakby ktoś drapał paznokciem po tablicy. Mam nadzieję, że Stephen nie jest zwolennikiem tantrycznego seksu, tak jak Sting. Wtedy czekałabym w nieskończoność!

Idę na schody. W połowie drogi nagle staję, jakbym wyrznęła w niewidzialną ścianę. Znowu ogarnia mnie przerażenie. Spłoszonym wzrokiem patrzę na pokój po drugiej stronie. W głowie mi szumi. Cała się trzęsę.

A wszystko przez to, co właśnie słyszę.

Rozdział 81

To ta piosenka!

Tylko że teraz gra nie w mojej głowie, ale za drzwiami. Podkład muzyczny nocnych koszmarów... związanych właśnie z tym hotelem! Dźwięki dochodzą z głębi pokoju. To pewnie radio. Po prostu super. Co za sadysta tutaj mieszka?

Pochyliam się i nadstawiam ucha, ale muzyka brzmi bardzo cicho, słowa są całkiem nieuchwytnie. Tytuł mam już na końcu języka...

Nie chcę dłużej czekać.

Delikatnie pukam do drzwi. Bardzo przepraszam, że przeszkadzam, ale już czas na teleturniej z cyklu *Jaka to melodia?*

Nikt nie otwiera.

Pukam nieco głośniej.

No... Co się dzieje?

Właśnie w tej chwili bierzesz prysznic?

Śpisz? Przy włączonym radiu? Owszem, czasami to się zdarza...

Klękam i patrzę przez szczelinę tuż nad podłogą. W pokoju jest na pewno ciemno.

Zaraz się wścieknę! Choćby nie wiem co, muszę natychmiast wejść do środka!

Łomoczę z całej siły. Widzę, jak mi sinieje ręka. Wyważę te cholerne drzwi, jeżeli tam nikogo nie ma!

Słyszę szczęk zamka.

Z tyłu!

To pokój Penley i Stephena.

W nogi!

Jak oszalała pędzę na schody. Dogania mnie głos Stephena, błędzący echem po korytarzu.

— Nie wiem, najlepiej sprawdzę — mówi do Penley. — Też to słyszałem.

Głupia, głupia, głupia! Narobiłaś hałasu!

Dopadam drzwi i przeciskam się na klatkę. Widział mnie? Mógł rozpoznać z tyłu? Albo też z przodu, jeśli o to chodzi?

Chcę zbiec na dół, lecz nagle coś mi podpowiada, że jednak lepiej będzie w drugą stronę. W górę! W górę!

Potykając się, wbiegam na półpiętro i osuwam się po chłodnej betonowej ścianie. Mam nadzieję, że stąd mnie nie widać. Wstrzymując oddech, czekam na Stephena.

Był tuż za mną. Pędzi po schodach w dół. Na szczęście miałam nosa.

Na palcach podchodzę do balustrady. Gdzieś w dole widzę czubek głowy Stephena. Nagie ramiona. Jest owinięty tylko w ręcznik.

Biegnie na parter, przekonany, że zwiąlam do holu.

I wtedy słyszę jej słodki głos. Ten głos, którego nienawidzę.

— Gdzie jesteś, kochanie? — woła Penley.

Mężczyzna hamuje z piskiem. Ta wiedźma wyraźnie owinęła go wokół małego kościstego palca.

— Tu, na dole!

— Kto hałasował na korytarzu? — pyta.

— Nie wiem. Na razie zwiął.

— Naprawdę wolisz goły biegać po hotelu, zamiast się ze mną kochać? Nic nie szkodzi.

To cała Penley. Zanim powiesz „aport”, Stephen posłusznie gna na górę. Prawdziwy cud. Chwała Ołówkowi!

Rozdział 82

— Gdzie jesteś?! — woła.

— Przed hotelem Falcon — odpowiadam. — Też jesteś tu potrzebny. Przyjeżdżaj... Tak, chcę, żebyś wszystko rzucił.

Szybko wyjaśniam mu, o co chodzi.

— Zaraz tam będę — mówi Michael. — Nigdzie nie odchodź.

— Nie martw się. Nie odejdę.

Siedzę po drugiej stronie ulicy, na wysokim stołku za oknem kawiarni Starbucks. Stąd mam doskonały widok na wejście do hotelu. Czerwona markiza tylko czasami ginie, zasłonięta przejeżdżającym autobusem albo ciężarówką. Po tym, jak Stephen przegonił mnie na schody, już nie miałam ochoty wracać na korytarz. Nie lubię tego hotelu. Pierwsze dni w Nowym Jorku małej biednej Kristin... Horror sam w sobie. Ale nie o tym mowa.

Jedno zdjęcie jest warte więcej niż tysiąc słów, jednak chcę, żeby Michael sam zobaczył Penley. Tak będzie dużo lepiej.

Mam nadzieję, że zdąży, zanim sobie pójdą. Szybka zmiana poglądów, przynajmniej w jednej sprawie: modłę się, żeby Stephen był miłośnikiem Stinga... i to w najlepszej formie.

Po dwudziestu minutach Michael jak burza wpada do kawiarni. Niemal wszyscy kawosze spod znaku cienkiej *latte* unoszą głowy znad laptopów.

„Co się gapicie?” — mówi wyraz twarzy Michaela. „Z powrotem piszcie scenariusze, których i tak nikt od was nie kupi!”.

Podbiega do mnie.

— Są tam jeszcze? — pyta, ruchem głowy wskazując na hotel.

— Na szczęście tak — odpowiadam.

Marszczy brwi. Od razu wiem, o co mu chodzi. „Szczęście” to nie najlepsze słowo. Owszem, chce złapać Penley *in flagranti*, lecz muszę pamiętać, że nie jest z tego zadowolony.

Szczerze mówiąc, wygląda, jakby miał wybuchnąć, a tego za wszelką cenę wolałabym uniknąć.

W jego oczach już nie ma ani śladu zwątpienia. Przestałam być „głupią Kristin”. To nie pomyłka ani przywidzenie. To się dzieje naprawdę.

Prosi, żebym opowiedziała wszystko, co robiłam od wyjścia z ich mieszkania do chwili, gdy zadzwoniłam.

— Tylko dokładnie, Kris — nalega.

Opowiadam. Podaję nawet numer ich pokoju.

Tylko o jednym nie wspominam — o muzyce. Czy ten drugi pokój był rzeczywiście pusty? Może się przesłyszałam? Michael spogląda na roleksa.

— Jak długo tam siedzą?

— Jakąś godzinę — odpowiadam. Mój ukochany nerwowo przestępuje z nogi na nogę. — Obawiam się, że nie wyjdą razem — dodaję. — Przyszli oddzielnie.

Parska gniewnie.

— Na litość boską, przecież wystarczy, że ją zobaczę przed hotelem! O jedenastej rano. Niczego więcej nie potrzeba.

Ale ogląda dużo więcej. Całe żalosne przedstawienie.

Zaledwie kilka sekund później Penley i Stephen wychodzą na ulicę. Nie wierzę własnym oczom. Co za zuchwałość... Co za głupota! Znów cała Penley.

Michael jest wściekły.

Patrzę na niego, gdy spogląda na nich. Jest czerwony jak burak i mocno rozdyma nozdrza. Może jednak powinnam tylko dać mu zdjęcie? Boję się, że zaraz eksploduje pośrodku kawiarni.

Potem jest jeszcze gorzej.

Penley długo i namiętnie całuje się ze Stephenem. Materiał na zdjęcie roku. Odruchowo, chociaż już nie muszę, uwieczniam to na kliszy. Instykt fotografa bierze górę. Nie myśl, po prostu pstrykaj.

Michael sprawia wrażenie, jakby oglądał jakąś spektakularną krakę. Wciąż gapi się na pocałunek. W sumie nie można mu się dziwić. Trochę to chore, ale wciągające.

— Niemożliwe... — mruczy pod nosem. — Normalnie, kurwa, niemożliwe.

Opuszczam rękę z aparatem i patrzę na niego. Nigdy nie mówił takim głosem. Nie ma w nim żalu... ani gniewu. Zupełna pustka.

— Wszystko w porządku? — pytam. — Michael? Przykro mi, że musisz na to patrzeć.

— Zabiję sukę — słyszę w odpowiedzi.

Rozdział 83

Chyba mam lekki zamęt w głowie. Za to Michael jest skoncentrowany. Pierwszy raz widzę go takiego, jaki zapewne bywa w swojej pracy.

— Gdzie oficjalnie teraz jesteś? — pyta.

Ledwie go słyszę.

— Co?

— Penley. Myśli, że jesteś u nas w domu?

Kiwam głową. Michael natychmiast sięga po komórkę.

— Co robisz?

— Często wychodzisz na spacer, nie zostawiając żadnej kartki?

Słusznie. Nie pomyślałam o tym.

— Nie — odpowiadam. — Prawdę mówiąc, miałam posprzątać na tarasie.

Michael naciska klawisz połączenia.

— Musimy zyskać trochę czasu — mówi.

Następne chwile są z pogranicza surrealizmu. Patrzę na drugą stronę ulicy. Penley przerywa długi pocałunek i wkłada dłoń do torebki. Sprawdza, kto dzwoni, i niespokojnie zerka na Stephena. Potem przytyka palec do ust. Cicho...

Odbiera. Widzę, jak porusza ustami. To trochę dziwne, lecz ekscytujące.

— Cześć, kochanie. Jak się masz? — Michael stoi zaledwie pół metra ode mnie. — Wyszłaś już z klubu?

Mówi normalnym, niemal wesołym głosem, bez najmniejszego śladu nerwowości.

Niesamowite, myślę. Oczywiście, to cały Michael — ten sam facet, który serdecznie objął mnie ramieniem i przedstawił swoim szwedzkim gościom. Zawsze na luzie.

Patrzę na Penley i nadstawiam ucha, żeby dowiedzieć się, co odpowie. To tak, jakbym oglądała zagraniczny film z napisami.

— Właśnie wychodzę — mówi Penley. — Co się stało? Jestem zajęta.

— Na pewno nieźle się zmęczyłaś — odpowiada Michael.

Uśmiecha się do mnie. Widać, że nie tylko Penley ma jaja King Konga.

Trochę gorzej słyszę. Penley chyba go pyta, dlaczego dzwoni z komórki, a nie z biura.

— Wskoczyłem na kawę — mówi Michael. — Dobrze wiesz, że nie lubię tej biurowej lury. Słaba jak cholera. O, właśnie... Już wiem, po co do ciebie dzwonię. Musisz mi w czymś pomóc.

Penley prosi, żeby zaczekał chwilę.

Widzę przez okno, jak dłonią zakrywa słuchawkę i mówi coś do Stephena. Ten jest wyraźnie zły. Biedaczysko... Chyba właśnie usłyszał, że Michaela nie uda się tak łatwo spławić. Parę sekund później zamaszystym krokiem wchodzi do hotelu.

Mieszka tam?

Penley wraca do przerwanej rozmowy.

— Co mam zrobić?

— Wszystko w porządku? — pyta Michael.

— Tak, myślałam, że zostawiłam klucze w szafce. Już je znalazłam.

Sprytnie, Penley.

— To dobrze — mówi Michael. — A wracając do sprawy, jutro z samego rana mam się spotkać z klientem przylatującym z Tokio. Przed chwilą ktoś mi powiedział, że w samym śródmieściu, konkretnie w Takashimaya, jest znakomita japońska kawa. Kupisz ją przed powrotem?

Penley wzdycha tak głośno, że kilka osób patrzy w naszą stronę. Chyba nie wierzą, że jest aż tak wredna.

— Nie możesz wysłać swojej sekretarki? — jęczy. — Mam ci kupować kawę?

— Kochanie, przecież doskonale wiesz, że dla Amandy to godzina drogi w obie strony. A ty jesteś dosłownie obok. Proszę cię, Pen. Zrób to dla mnie.

Jeszcze jedno westchnienie, w dodatku głośniejsze.

— Jak się nazywa ta „znakomita” kawa?

— W tej chwili nie pamiętam, ale rozpoznam nazwę. Zadzwoń do mnie, jak będziesz w sklepie, dobrze?

— Dobrze.

Penley z trzaskiem zamyka komórkę i wysuwa środkowy palec. Michael wybucha śmiechem.

— Będę tęsknił za tą kobietką — mówi żartobliwym tonem, odprowadzając wzrokiem odchodzącą żonę.

Uśmiecham się, ale tylko dlatego, że odzyskał humor. Nigdy nie widziałam go tak ponurego jak kilka minut temu.

— Japońska kawa? — pytam ze zdziwieniem.

— Już nie pamiętasz? Diabeł tkwi w szczegółach.

Kiwam głową.

— Co teraz?

Michael bierze mnie za rękę.

— Kochasz mnie, prawda?

— Oczywiście.

— Masz do mnie pełne zaufanie?

— Tak.

O co w tym wszystkim chodzi? Dlaczego pyta mnie o takie rzeczy?

— Wracaj do pracy — mówi — posprzątaj taras i udawaj, że nic się nie stało. Cisza na froncie.

— I to wszystko?

— Na razie tak.

— A ty co zrobisz? — Nie odpowiada. Idzie w kierunku drzwi. — Michael! Co chcesz zrobić?

Ogląda się. Błyska zębami w swoim najlepszym uśmiechu. Na koniec mruga do mnie. To moje mrugnięcie.

— Zobaczysz.

Część dwunasta

Rozdział 84

Idź za nim! Zobacz, co chce zrobić. Rusz się, Kristin.

Ale nogi mnie nie słuchają.

Dalej siedzę w kawiarni Starbucks. Patrzę, jak Michael wychodzi, łapie taksówkę i odjeżdża. Zniknął.

„Zobaczysz”, powiedział.

Jedno krótkie słowo, które przyprawia mnie o nowe drgawki. W duchu wiem, że od początku wszystko zmierzało do tej sytuacji. Pytanie tylko: jak to się skończy?

Może to także już widziałam?

Patrzę na drugą stronę ulicy, na hotel Falcon. W oknach, niczym języki ognia, błyszczą promienie porannego słońca. Wyraźnie widzę całą scenę — sanitariuszy dźwigających nosze, cztery worki leżące na chodniku... Wszędzie policja. Delmonico. Może też Kucyk?

Najpierw widziałam to tylko we śnie. Potem tutaj, na własne oczy. Od tamtej pory nie mogę przestać o tym myśleć.

Coś musi łączyć te wydarzenia. Co? Tego nie wiem. Czy ktośkolwiek wie? — myślę.

Na koniec wstaję i szybko wracam na Fifth Avenue. Wciąż mam wystarczająco dużo czasu, żeby posprzątać na tarasie na długo przed powrotem Penley. Przynosi kilo japońskiej kawy w torbie z napisem „Takashimaya”.

Potem odbieram dzieci ze szkoły i wędrujemy do Ancient Playground w Central Parku. Byliśmy tam już tysiące razy. Sean wciąż zadaje mi pytania, a Dakota jedynie wzdycha i przewraca wielkimi niebieskimi oczami. Ale bawimy się całkiem niezłe — zwłaszcza jak na tę sytuację.

Jeszcze jeden normalny dzień. Cisza na froncie, jak by powiedział Michael.

Tylko co dalej?

„Zobaczysz”.

W drodze do domu mam nieznośne, paskudne uczucie, że już to gdzieś widziałam.

Rozdział 85

Nie, tylko nie to...

Obok skrzynki na listy stoi moja „kochana” sąsiadka, pani Rosencrantz. Chyba na kogoś czeka. Na mnie.

— Odbierała już pani pocztę? — pyta znaczącym tonem, w którym pobrzmiewa cień ironii.

Prawdę mówiąc, nie wyjmowałam listów chyba od tygodnia. Miałam inne zmartwienia.

— A co to panią obchodzi? — odpyskuje.

Nie odpowiada, lecz wyczekująco spogląda na mnie zza szkieł wielkich okularów. Wyraźnie chce mi coś pokazać.

W pierwszej chwili mam zamiar zwyczajnie ją olać i pójść prosto do windy, ale ciekawość jak zwykle jest silniejsza ode mnie. A może w skrzynce znajdę jakiś klucz do zagadki? Wyjmuję ze środka okazały plik reklam, rachunków i innego śmiecia.

List leży na wierzchu.

Urzędowe pismo z administracji domu, czyli z Priority Holdings. W środku jedna kartka.

*Szanowna Pani Burns,
z uwagi na liczne skargi ze strony innych mieszkańców budynku, narzekających na Pani zachowanie, nie przedłużymy Pani umowy z upływem obecnego terminu wynajmu. W myśl prawa obowiązującego w stanie Nowy Jork od niniejszego orzeczenia przysługuje Pani odwołanie do naczelnej administracji budowlanej miasta Nowy Jork.*

Niżej podano kontakt, ale dla mnie ważniejsi są sprawcy tej zniewagi. Nie muszę daleko szukać.

— To pani robota, prawda?

Pani Rosencrantz przyjmuje zawadiacką pozę.

— Sama jest sobie pani winna.

— Wierzyć się nie chce... Naprawdę nie ma pani ciekawszych zajęć?

Wymachuję listem przed jej nosem.

— Dziś rano panią ostrzegałam.

— Dziś rano?!

— Była pani bardzo niegrzeczna. Jest pani niewychowana, młoda damo. Niewychowana.

— Może małe sprostowanie, pani Rosencrantz. To nie było dzisiaj, tylko tydzień temu.

— Nie, panno Burns. Chyba najlepiej wiem, kiedy stałam pod pani drzwiami.

— Jak widać, jednak pani nie wie. Dodatkowo zaręczam pani, że nie zostawię tak tej sprawy. Zrobię totalną awanturę. Zobaczy pani, co się będzie działo.

— Proszę bardzo. Niech pani krzyczy, ile wlezie. Przecież w tym pani jest najlepsza.

Och, sama się o coś prosi!

Pierwszy raz w życiu mam ochotę uderzyć staruszkę. W dodatku sklerotyczkę. Nawet dni jej się mylą...

Z najwyższym trudem zachowuję spokój, odwracam się i odchodzę. Masz dużo ważniejsze *rzeczy* do roboty, Kristin.

Wzywam windę i czekam. Mój wzrok pada na następną wiadomość od administracji. Tym razem to zwykła kartka przyklejona taśmą do ściany.

Z uwagi na awarię kotła, dzisiaj rano nastąpiła chwilowa przerwa w dostawie ciepłej wody. Przepraszamy za niedogodności.

Informacja wisi tu pewnie od tygodnia. Ktoś ją zapomniał zdjąć. Boże, pamiętam ten lodowaty prysznic! Czytam do końca. Jest jednak pewien kłopot. Na kartce widnieje dzisiejsza data.

Rozdział 86

Uspokój się, powtarzam w duchu. Musi być jakieś wyjaśnienie. Zwykła powtórka. Ciepłej wody nie było dzisiaj i tamtego dnia, kiedy kłóciłam się z Rosencrantzową. Dlatego starej wszystko się myli.

Wsiadam do windy. Mam mętlik w głowie. Nigdy nie byłam alkoholiczką, ale w tej chwili muszę się napić.

Zaraz po wejściu do mieszkania nalewam sobie małąkę stołecznej. Wódka plus tonik, minus tonik. Wychyłam kieliszek jednym haustem. Mam zamiar wprawić się w stan odrętwienia.

Szkoda, że nie ma ze mną Michaela. Szkoda, że nie wiem, co wymyślił... Dlaczego nie chciał mi nic powiedzieć? Boję się, żeby go nie poniosło.

Nalewam drugi kieliszek wódki i wystukuję numer pagera. Zaciskam dłoń na brylantowo-szafirowej bransoletce, którą dostałam od ukochanego. Dzisiaj już pewnie by się nie pogniwał, gdybym włożyła ją do pracy.

Upływa kilka minut. Czas dłuży się niemiłosiernie.

Może jest jeszcze w Baer Stevens? Albo ma jakiś telefon z zagranicy i nie chce przerwać połączenia? A może poszedł do

prawnika, by porozmawiać o rozwodzie? W końcu w grę wchodzi sporo kasy...

Kilka minut zamienia się w pół godziny. Z wolna zaczyna mnie to wkurzać. Dlaczego Michael nie oddzwania? Przecież na pewno wie, że powinien ze mną porozmawiać.

Znów wywołuję jego pager.

Ale już nawet się nie złościę. Bardziej się boję. Coś nawywiłajał? Co mógł zrobić?

Wybieram *67 i dzwonię pod numer domowy. Penley na pewno nie odbierze, ale Michael...

Dzwoni i dzwoni. Cholera.

Włącza się automatyczna sekretarka, więc już mam zamiar odłożyć słuchawkę, gdy nagle słyszę:

— Halo?

Od razu poznaję akcent. To Maria. Tylko że dzisiaj nie jest dzień sprzątanego. W ogóle nie ma „dnia”. Już po zmierzchu.

— Maria? To ja, Kristin — staram się mówić spokojnym głosem. — Co ty tam robisz?

— Przyszłam do dzieci — odpowiada. — Pani Turnbull zatelefonowała do mnie w ostatniej chwili.

— A gdzie pan Turnbull?

— Z panią. Poszli gdzieś na kolację.

Przyznaję, że oniemiałam. Kolacja? Razem?

— Przypadkiem nie wiesz, dokąd się wybrali?

— Nie. Ale w razie alarmu mam numer komórki. Jak pani chce, mogę ich zawiadomić.

— Nie, nie... Dziękuję.

— Jak wrócę, powiem, że pani dzwoniła.

— Nie! — wołam w pierwszej chwili, ale natychmiast biorę głębszy oddech. — To niepotrzebne, Mario. Jutro spokojnie porozmawiam z panią Turnbull.

Kończę rozmowę. Nie wiem, czy się cieszyć, czy martwić.

Bardziej to drugie. Po tym, co się zdarzyło rano, ani przez chwilę nie podejrzewałam, że Michael weźmie żonę na kolację.

Chyba że chodzi o coś więcej. Coś, czego mi nie powiedział.

Dzwonię na pager. Jeśli naprawdę są w restauracji, to przecież Michael może spokojnie wyjść i oddzwonić...

Zaczynam płakać i to mnie jeszcze bardziej drażni. Już sama nie wiem, co mam zrobić... Im więcej myślę o tym wszystkim, tym trudniej mi się opanować.

Sięgam po flaszkę — i w tej samej chwili uzmysławiam sobie, że to nie wódka mi potrzebna.

Idę do ciemni.

Minutę później, w wątłym blasku czerwonej żarówki, wywołuję zdjęcia Penley i Stephena, które zrobiłam pod hotelem. Trudno uwierzyć, że wyszli razem. Może to prawda, co ludzie mówią, że kochankowie po cichu chcą być przyłapani?

Ale wciąż nie wiem, co mam myśleć o związku Penley ze Stephenem.

Wszystko się zmienia, kiedy patrzę na pierwszą wywołaną fotkę. Nie!

Stephen jest przezroczysty.

Tak jak Penley.

Jak worki ze zwłokami.

To w dalszym ciągu nie ma sensu.

Mój sen nie jest tylko snem. To rzeczywistość. To się naprawdę stało. Czas przeszedł. Wiem, bo tam byłam.

W dodatku znam jeszcze kogoś, kto stał pod hotelem Falcon.

Kłopot w tym, że za żadne skarby świata nie chcę się z nim spotkać. Więc dlaczego znów o nim myślę? Zupełnie zwaśniowałam?

Ależ skąd. To tylko przejaw skrajnej desperacji.

Rozdział 87

Wyjmuję z plecaka jego wizytówkę. Patrzę na czarny napis na grubym białym kartonie. Detektyw Frank Delmonico, 19 posterunek, 153 East, 67th Street.

Już sam widok jego nazwiska przyprawia mnie o dreszcze. Nad przekreślonym numerem telefonu widnieje drugi, dopisany długopisem. Nie mogę odczytać kilku cyfr, ale to nieważne. I tak nie powiem mu, że przyjdę. Liczy się efekt zaskoczenia... i coś więcej.

Tylko zupełny idiota mógłby mi grozić użyciem siły w budynku pełnym policjantów.

Raz po raz biorę głęboki oddech. Taksówką jadę na East Side, na posterunek odległy tylko o kilka ulic od Falcon. Kamienny gmach już z daleka błyszczy w świetle latarni i reflektorów. Jest niemal piękny, w mrocznym znaczeniu tego słowa.

Podjeżdżam, że w innych okolicznościach już miałabym aparat w rękę. Ale nie dzisiaj.

Chyba zrobiłam już wystarczająco wiele niesamowitych fotografii.

Wchodzę do środka. Po drodze mijam dwóch młodych policjantów, zmierzających w przeciwną stronę. Jeden z nich patrzy na mnie, uśmiecha się i kiwa głową. Chcę go zapytać o Delmonico, lecz jednocześnie kątem oka widzę coś, co wygląda mi na biurko dyżurnego.

Za biurkiem siedzi inny policjant, twardy, o wiele starszy, barczysty, o czerwonej twarzy. Wypisz, wymaluj Irlandczyk — jak trzoda świętego Patryka. Pisze na komputerze.

— Pomóc w czymś? — pyta, nie odrywając wzroku od monitora. Jak dotąd, nie rozpoznałby mnie podczas konfrontacji.

— Tak — mówię. — Chcę porozmawiać z detektywem Frankiem Delmonico.

Grube palce nieruchomieją nad klawiaturą. Gliniarz powoli patrzy na mnie, mrużąc oczy.

— Słucham?

Co to ma znaczyć?

— Zwyczajnie pytam, czy jest gdzieś tutaj pan Delmonico? Potrząsa głową.

— Raczej nie.

— A wie pan może, gdzie go znajdę?

— Wiem. Na cmentarzu. Bo nie żyje.

Chwiejnie cofam się o pół kroku.

— Co takiego? Przecież niedawno go widziałam. Był u mnie w domu.

Policjant pochyła się lekko w przód.

— Kiedy?

— Kilka dni temu.

— To niemożliwe, panno... Nie dosłyszałem pani nazwiska.

— Jestem tego zupełnie pewna. Zjawił się u mnie!

Zasłania dłonią usta, żeby ukryć uśmiech, i kiwa głową.

— Serio?

Co go tak śmieszy?

— Zapewniam pana, że mówię prawdę! W zeszłym tygodniu widywaliśmy się kilka razy. Jest chudy, starszy...

Policjant z grobową miną pochyła się jeszcze głębiej.

— Teraz ja pani powiem prawdę — cedzi. — Delmonico kopnął w kalendarz trzy lata temu.

Stoję w milczeniu. Wszystko dokoła mnie wiruje. Czuję, jak krew mi odpływa z głowy. Mam miękkie nogi.

— Hej, paniusiu... w porządku?

Nie. Ani trochę.

— Mówimy o tym samym gościu? — pytam. — Detektyw Frank Delmonico? Wydział zabójstw?

— No. Frank Delmonico. Mruczy coś pod nosem.

— Słucham? Nie dosłyszałam ostatniego słowa.

— Nic nie mówiłem.

— Mówił pan. Może pan powtórzyć?

Łypie na mnie spod oka. Co ta gówniara sobie wyobraża? Nie ustępuję.

— Może pan to powtórzyć? — podnoszę głos. Policjant wzrusza ramionami.

— Proszę bardzo. Powiedziałem: chujograjca.

Mało mi wrażeń?

— Co to ma znaczyć?

— Pracuje pani dla gazety?

— Nie.

— To nie muszę się pani spowiadać. A zresztą wszystko było w prasie. Brukowce miały niezły ubaw.

— Nie mieszkałam tutaj trzy lata temu. Co się stało?

— Powiedzmy, że nikt za nim specjalnie nie tęskni.

— Dlaczego? Muszę wiedzieć! Błagam pana... To dla mnie bardzo ważne.

— Na dobrą sprawę zrobił wszystko, żeby rozpieprzyć nasz posterunek. — Otwieram usta, żeby coś powiedzieć, ale policjant mi przerywa: — Nie mogę więcej o tym mówić. Sprawa zamknięta. Koniec rozmowy.

Zamierzam odejść, ale nagle coś sobie przypominam. Wracam do biurka.

— Jedno pytanie — mówię. — Czy to wszystko ma jakiś związek z ostatnimi morderstwami w hotelu Falcon?

Policjant patrzy na mnie z wyraźnym osłupieniem.

— Jakimi morderstwami?

A wtedy — co tu dużo mówić — mdleję.

Rozdział 88

Piętnaście lub dwadzieścia minut później, ciągle lekko oszłamiona, z nowym guzem na czole, wychodzę na ulicę. Idę spory kawałek, zanim dociera do mnie, że pada. W myślach odtwarzam wszystkie szczegóły moich dotychczasowych spotkań z Frankiem Delmonico.

Czyżby wszystko działo się tylko w mojej głowie?

To niemożliwe. W żadnym wypadku.

Rozmawiałam z nim. Mówił do mnie. Wręczył mi swoją wizytówkę. Który nieboszczyk by to zrobił?

Zaraz! Chwileczkę!

Staję jak wryta na środku chodnika. Zimny deszcz siecze mnie po twarzy. Wyjmuję z kieszeni wizytówkę Delmonico i pocieram ją palcami, żeby się przekonać, czy jest prawdziwa. Chyba jest.

— Taksówka!

Wracam do domu i natychmiast siadam do komputera. Chyba powinnam gdzieś się schować, skulić ze strachu i zdenerwowania, ale nie mogę. Muszę poznać prawdę — a to sprawia, że mam wyjątkowo trzeźwy umysł.

„Wszystko było w prasie”, powiedział dyżurny gliniarz.

Zobaczmy.

Sprawdzam w Google. „Frank Delmonico” pojawia się ponad tysiąc razy. Rany boskie! Część z tego to zwyczajne śmieci z jednego lub drugiego forum. Ale są także artykuły — w większości zarchiwizowane — z miejskich gazet. Papier nie żółknie w Internecie.

Wchodzę na jedną stronę, potem na następną... Nie wszędzie znajduję zdjęcia. Jeśli już są, to widać na nich starszego gościa, zawsze w tym samym szarym garniturze. Ten sam ciemny, przenikliwy wzrok. Tak, to na pewno on. I wszędzie obok ta sama informacja, w którą do tej pory nie mogę uwierzyć.

Frank Delmonico nie żyje od trzech lat.

Zaczynam rozumieć, jak to się dzieje, że policjanci nie chcą o nim gadać. Rzeczywiście, niezły „chujograjca”. Delikatnie mówiąc.

Delmonico był wielokrotnie nagradzany detektywem z ponad dwudziestoletnim stażem zawodowym. Z tego przez co najmniej dziesięć lat brał łapówki.

A to dopiero sam początek.

Przerzucam strony, aż w archiwum „New York Timesa” znajduję całość tej historii ze wszystkimi paskudnymi szczegółami. Artykuł ma mniej więcej dwa i pół tysiąca słów.

Frank Delmonico sypiał z ruską mafią. Chronił dealerów i alfonsów, a dodatkowo prał pieniądze w kilku kasynach w Atlantic City. Niestety, kiedyś dwaj młodzi policjanci zagieśli parol na jednego z jego rosyjskich towarzyszy w sprawie zabójstwa w Queens. Delmonico wykończył obu detektywów. Zrobił to własnoręcznie.

Potem tak wszystko poustawiał, że poprowadził dochodzenie. Jednego tylko nie przewidział. W chwili, gdy strzelał do kolegów, myślał, że są zupełnie sami. Nie zauważył starego Żyda w

oknie pobliskiej kamienicy. Żyd ze swojego mieszkania widział go dokładnie.

Mimo to wszyscy — nawet w prokuraturze — byli po cichu przekonani, że Delmonico się wywinie. Przecież chodziło o zeznanie doświadczonego stróża prawa przeciwko słowom jakiegoś starca z udowodnioną wadą wzroku. Podobno śledztwo poszło naprzód tylko dlatego, że wściekły burmistrz chciał pokazać mieszkańcom, jak twardą ręką zwalcza korupcję wśród policjantów. W końcu na głowie miał dwa morderstwa.

Ale Rosjanie byli bardziej zdenerwowani od burmistrza. Tydzień przed rozprawą Frank Delmonico został zabity dwoma strzałami z bliskiej odległości w tył głowy. Pociski pochodziły z rosyjskiego makarowa kaliber 9 mm. Dla podkreślenia tej „wiadomości” zabójca wepchnął coś w usta trupa. Dużego czarnego szczura.

Ale szczur nie był najgorszy.

Przynajmniej dla mnie.

Stroniąc od kamer i dziennikarzy, wyczekujących pod jego domem w Queens, Delmonico przeniósł się do hotelu. Tam znaleziono jego zwłoki.

W hotelu Falcon.

W gazecie było nawet zdjęcie, jak go wynoszą w czarnym worku.

Rozdział 89

Powoli wstaję od komputera, bo już nie mogę tego wytrzymać. Mam ciemno w oczach i zamęt w głowie. Jeśli Frank Delmonico rzeczywiście zginął, to z kim rozmawiałam przed kilkoma dniami?

Odruchowo sięgam do kieszeni i wyjmuję jego wizytówkę. Wracam myślami do tamtej chwili, gdy mi ją wręczył przed hotelem. Wszystko pamiętam.

Chwileczkę...

Tak!

Biegnę do ciemni, do fotografii zakrywających niemal całą ścianę. Tamtego ranka, przed hotelem, zrobiłam mnóstwo dodatkowych ujęć. Każdą scenę fotografowałam co najmniej dwa razy, pod różnym kątem. Tłum. Zamieszanie. Policja, pogotowie... Nie mógł mi uciec z kadru.

Chwytam lupę i rozpoczynam gorączkowe poszukiwania. To moja własna, desperacka wersja *Gdzie jest Wally?* Przeglądam fotki z lewa na prawo, szukam szarego garnituru i tych niesamowitych oczu. Gdzie jest Delmonico?

Nie mogę znaleźć go na żadnym zdjęciu.

Co mam zrobić? Zaczynam od początku. Tym razem wolniej, centymetr po centymetrze, od góry do dołu. Krople potu z twarzy i dłoni przyklejają się do papieru. Głowa mnie boli, oczy szczypią.

Gdzie jesteś, Delmonico? Przecież wiem, że tam byłeś...

Nigdzie go nie widać.

Daję wielki krok w tył, biorę głęboki oddech i próbuję spokojnie pomyśleć. Żywy lub martwy, prawdziwy lub nieprawdziwy... Co detektyw Frank Delmonico może w ogóle mieć wspólnego ze mną? Nigdy przedtem o nim nie słyszałam. Pierwszy raz zobaczyłam go pod hotelem Falcon. Chyba to znaczy, że nie leżał w worku obok trzech innych nieboszczyków. Zjawił się, żeby mnie śledzić? O co w tym wszystkim chodzi?

Nagle czuję, że ktoś na mnie patrzy, i ze strachu niemal wyłażę ze skóry.

Rozdział 90

Odwracam się. Ojciec chłodno spogląda na mnie zza grubych okularów.

Na drugim zdjęciu jest doktor Magnumsen. Obu coś łączy z Frankiem Delmonico. Wszyscy nie żyją. Przynajmniej oficjalnie.

Patrzę na zdjęcie ojca — to, które mu zrobiłam w Nowym Jorku, na ulicy. Jego postać jest pełna przedziwnych sprzeczności: kwadratowa szczeka i żałośnie zgarbione ramiona. Silny człowiek złamany przez życie. Był utalentowanym cieślą i członkiem ochotniczej straży pożarnej. Pewnego razu uratował chłopca z zalanej doliny, robiąc pętlę z własnego paska i zwieszając się z mostu głową w dół.

Ale bohaterowie są źle opłacani. Podczas kryzysu lat osiemdziesiątych warsztat miał coraz mniej zamówień, więc i pieniądze się skurczyły. Ironia losu... Człowiek, który zbudował wiele domów, na koniec nie potrafił zarobić na własny.

Może nie byłoby tak źle, gdyby matka okazywała mu nieco więcej serca. Jednak nic z tego. Do dziś pamiętam, jak przy kolacji nazwała go nieudacznikiem.

Wtedy zaczął pić. Ale nigdy nie sięgnął po alkohol przy mnie. Nigdy. Dla niego zawsze byłam księżniczką. Jego dziewczynką. Bez względu na to, co się wokół działo, zawsze miał czas, żeby się uśmiechnąć i przytulić.

Taki był do samego końca. Wziął mnie w ramiona, uściskał z całej siły i szepnął do ucha: „Zobaczysz, wszystko będzie dobrze”. Niecałą godzinę później zastrzelił się w starej szopie na tyłach domu.

Nigdy nie wybaczyłam mu tego kłamstwa. Wiem, że powinienam go pożałować, ale przez pewien czas o wiele bardziej uzalałam się nad własnym losem.

Teraz, po tylu latach, pojawił się na Manhattanie. Gdyby nie uciekł, ucałowałabym go tak jak nigdy dotąd i powiedziała cicho: „Nic nie szkodzi, tato. Wszystko rozumiem”.

Rozdział 91

Placę w ciemni. Łzy płyną o wiele szybciej, niż zdążam je ocierać. Brakuje mi taty. Prawdę mówiąc, brakuje mi wielu różnych rzeczy, ale chyba najbardziej tęsknię za rozsądkiem.

Boże, zupełnie się rozklejam...

Jest późno, więc już nie próbuję dzwonić do Michaela. Dawno powinnam zasnąć ze zmęczenia.

Niestety, nadal wiem, że nad ranem powróci ów straszliwy koszmar — i Bóg wie co jeszcze oprócz tego. Biorę do ręki zdjęcia Penley i Stephena, które zrobiłam rano pod hotelem.

To będzie wielka Wystawa A.

Wystarczy chwila, żebym odzyskała humor. Patrzę na pierwszą fotografię i w duchu widzę, jak Michael zadaje miażdżący cios podczas rozprawy rozwodowej. Jestem tak skołowana — a może pijana — że podśpiewuję sobie:

— Penley i Stephen w Nowym Jorku... Po-ca-łu-nek!

Lecz to uczucie szybko mija.

Spoglądam na przezroczystą postać Stephena... na ten widmowy efekt — i nagle tracę wiarę w siebie i całą wizję „realnego”

świata, który dotychczas mnie otaczał. Wiem, że na pewno stałam przed hotelem, kiedy wnoszono zwłoki na ulicę. Widzę w tym pewną prawidłowość...

Najpierw Penley.

Potem Michael.

Teraz Stephen.

Worki zostały policzone i nikt nie musi być Einsteinem, żeby wykonać proste działanie.

Został jeszcze jeden.

Rozdział 92

Wychodzę z ciemni i od razu widzę, że ktoś nagrał się na sekretarkę. Wprawdzie wiadomość jest tylko jedna, ale boję się jej odsłuchać. Nie. Wcale nie jestem ciekawa, co ten ktoś chce mi powiedzieć.

Dobrze, co teraz?

Kto do mnie dzwonił? Znowu Kristin Burns?

Idę do kuchni, biorę butelkę zimnej wody i wypijam ją niemal duszkiem. Jak ja się w to wszystko wplątałam? Czy zdołam się kiedyś wyplątać?

Nadal widzę maleńkie czerwone światełko, pulsujące obok telefonu. Może to Michael? Może... ochłonął i zachowuje się normalnie?

Tak? A jeżeli to Delmonico? Skąd mógłby dzwonić? Czy tam, w zaświatach — albo gdzieś indziej — w ogóle mają telefony?

Powolutku podchodzę do piekielnej maszyny. Trzęsę się jak osika. Głupie? Nigdy w życiu. Po tym, co mnie spotkało...

Stukam palcem w klawisz.

Spinam się, gotowa dosłownie na wszystko.

Słyszę nieznaną głos — jakiejś kobiety. Kto to?

— Kristin... Mówi Leigh Abbott. Prowadzę Abbott Show przy Hudson Street. Dzwonię, aby ci powiedzieć, że strasznie nam się spodobały twoje prace. Strasznie! Możesz mnie złapać pod numerem dwieście dwanaście, pięć, pięć, pięć, sześćdziesiąt pięć, zero, jeden. Chcemy wystawić twoje niezwykle fotografie w Abbott Show. Zadzwoń, Kristin. Dwieście dwanaście, pięć, pięć, pięć, sześćdziesiąt pięć, zero, jeden. Wszyscy jesteśmy pod wrażeniem twojej wizji Nowego Jorku.

Jeszcze raz włączam sekretarkę.

Jeszcze raz słucham Leigh Abbott.

To najlepsze, co mnie spotkało od chwili, kiedy przeprowadziłam się do Nowego Jorku. W ogóle najlepsze. Spełniło się moje marzenie.

Więc dlaczego ryczę jak wariatka?

Rozdział 93

Zrywam się z łóżka wystraszona własnym przeraźliwym krzykiem. Wrzask jeszcze przez chwilę wibruje w powietrzu niczym huk odrzutowca tuż przed startem. Odrzucam kołdrę. Włosy mam całkiem mokre od potu.

Płonę — niemal dosłownie.

Sen był realny jak nigdy dotąd. Jest coraz gorzej.

Mdli mnie. W ostatniej chwili wbiegam do łazienki. Rzygam tak ostro, że mięśnie szyi kurczą mi się w kamienne węzły. W końcu zaczynam się dusić i padam na podłogę. Nawet nie mogę wezwać pomocy. Zaraz umrę — na taniej plastikowej kratce z Bed Bath & Beyond!

Ostatnią rzeczą, którą słyszę, jest ta melodia w mojej głowie.

Niewiarygodne, ale wciąż oddycham. Ratuje mnie jedynie to, że wczoraj przed zaśnięciem nic nie zjadłam. Żołądek jest zupełnie pusty — nie mam się czym za-krztusić. Bekam i boli mnie jak cholera, ale przynajmniej ciągle żyję.

W innym przypadku wpełzłabym do łóżka i zadzwoniła, że jestem chora. Dzisiaj po prostu biorę prysznic i błyskawicznie się

ubieram. Nie mam wyboru. Nie mam wolnej Woli. Nie mogę dłużej stać na uboczu.

Próbuję złapać Michaela w biurze. Zwykle o tej porze już jest, ale tym razem jego telefon dzwoni, dzwoni i dzwoni... Amandy oczywiście nie ma. Normalnie siada za swoim biurkiem dopiero o wpół do dziewiątej.

Idę na Fifth Avenue. Od wczoraj nie wiem nic o planach Michaela. A jeśli zrobi komuś krzywdę? Może to nowy Scott Peterson*?[Scott Peterson — mieszkaniec Kalifornii, w 2005 roku skazany na śmierć za zabójstwo ciężarnej żony, Laci. Sprawa Petersonów przez wiele miesięcy stanowiła jeden z głównych tematów amerykańskiej prasy i telewizji. Peterson wciąż oczekuje na wykonanie wyroku w więzieniu San Quentin]

Pierwszy raz w życiu niecierpliwie czekam na spotkanie z Penley. Nie życzę jej nic złego. Nie chcę, żeby zginęła! Boże... A jeśli Michael już ją zamordował? Może właśnie dlatego nie przyszedł do pracy?

Rozdział 94

— To ty, Kristin? — słyszę w korytarzu.

Właśnie przed chwilą weszłam do mieszkania Turnbullów.

— Tak, to ja.

A to na pewno ona. Uf... Wstyd mi, że podejrzewałam Michała o najgorsze. Na pewno nie jest żonobójcą.

Penley wychodzi z salonu i przygląda mi się podejrzliwie. Oczywiście ubrana jest w „strój gimnastyczny”.

Przez krótką chwilę patrzymy sobie prosto w oczy. Dziwne... Co dalej?

— Dobrze się czujesz? — pyta. — Jesteś trochę błąda. Żebyś się tylko nie rozchorowała, Kristin.

— Nie, nic mi nie jest. To ze zmęczenia.

Penley uśmiecha się znacząco. „Tak między nami dziewczętami...”.

— Miałaś ciężki wieczór?

I dużo gorszy ranek. Ale o tym, rzecz jasna, nie mogę jej powiedzieć.

— Nie... Nic się nie działo — odpowiadam.

— Och, właśnie... Maria mi mówiła, że wczoraj dzwoniłaś. To coś ważnego?

Dzięki, Mario! Chwila wahania.

— Falszywy alarm — mówię szybko. — Byłam pewna, że zostawiłam tu komórkę.

Penley powoli kiwa głową, jakby przyjęła tę wymówkę. Obie toczymy jakąś cichą grę.

— A jak udała się kolacja? — pytam.

— Słucham?

Punkt dla Kristin.

— Z panem Turnbullem. Maria mówiła mi, że wyszliście razem. Wieczór we dwoje?

— Tak, tak... Dziękuję. Było bardzo miło — odpowiada. — Ostatnio bardzo rzadko mieliśmy czas dla siebie, w dodatku bez dzieci.

Punkt dla Ołówka.

— Teraz jest w biurze?

Gryzę się w język, ale już za późno. Nigdy jej nie pytałam, gdzie jest Michael. Dlaczego miałabym to zrobić teraz? Głupia, głupia, głupia...

Penley natychmiast patrzy na mnie z wyraźnym zaciekawieniem.

— A niby gdzie?

Rozdział 95

To przecież bardzo dobre, logiczne pytanie. Wciąż o tym myślę, prowadząc Dakotę i Seana do szkoły.

Sean wyrывa mnie z zadumy jednym ze swoich nie mniej ważkich pytań.

— Czy ja umrę, panno Kristin?

Jestem zdumiona. Co to za pomysł? Dlaczego pytasz o to właśnie teraz, Sean?

Jego słodki głos sprawia, że coś mnie dławi. Drugi raz dzisiaj nie mogę złapać oddechu.

Wysilam się na sztuczny uśmiech.

— Sean, kochanie... Skąd ci to nagle przyszło do głowy?

— Timmy Rockwell powiedział w szkole, że na pewno umrę. Dakota też. To prawda?

Muszę pomyśleć nad odpowiedzią. Pięcioletni chłopcy bywają niezwykle wrażliwi. Nie chcę go wystraszyć, ale też nie mogę kłamać.

Dakota zupełnie się tym nie przejmuję. Siedmioletnie dziewczynki są bardzo bezpośrednie.

— Wszyscy musimy umrzeć, głupku! — woła.

Sean mocno ściska mnie za rękę. Czuję, że się przestraszył.

— Niech pani powie, panno Kristin... Naprawdę musimy umrzeć?

Przystaję, kucam i oboje przygarniam do siebie.

— Żaden człowiek nie żyje wiecznie, Sean. Ale nie musisz się obawiać. Będziesz żył bardzo, bardzo długo i zobaczysz wiele wspaniałych rzeczy.

Powoli mruga oczami.

— Naprawdę? Mama i tata też? I pani, panno Kristin?

— Oczywiście. I to dotyczy również ciebie, księżniczko. — Lekko szturcham Dakotę w brzuch.

— A Timmy Rockwell? — pyta chłopiec. — Jak jest niegrzeczny, to umrze szybciej?

Uśmiecham się.

— To nie tak, Sean. Bycie grzecznym nie ma z tym nic wspólnego.

— Szkoda — mówi.

Tulimy się do siebie. Przez krótką chwilę na całej wyspie Manhattan jesteśmy tylko my troje. Troje. To lepsza liczba niż czworo.

— Idziemy. — Wstaję. — Zaraz spóźnimy się do szkoły, a to dopiero jest niegrzeczne.

Łapiemy się za ręce — ale nie mogę zrobić ani kroku.

— Co się stało, panno Kristin? — pyta Sean.

— No właśnie — słyszę głos Dakoty. — Dlaczego pani ciągle stoi?

Odpowiedź patrzy na mnie przez ulicę. Już nie jesteśmy sami. Kucyk wrócił.

— Hej! — krzyczę. — Hej, ty! Mówię do ciebie!

Skąd we mnie nagle tyle odwagi — lub głupoty — żeby wydierać się na gościa, którego boję się jak diabli? Nie wiem. Przecież to on, prawda?

Zwiewa za róg, ale ja jestem niemal pewna, że go rozpoznałam. W dodatku wiem, co trzymał w rękach, na wysokości twarzy.

Trudno uwierzyć... ale to aparat.

— Co się tu dzieje, panno Kristin? — pyta Dakota. Jest wyraźnie przejęta. — Kto to był? Zupełnie mi się nie podobał.

— Nikt... nic... Wszystko w porządku, słonko — uspokajam ją. — Chodźmy.

Chciałabym pobiec, lecz nie mogę. Nie z dwojgiem dzieci. Zatem idziemy. Równo i grzecznie, tak jak co dzień.

Jest tylko jedna mała różnica. Co dziesięć sekund patrzę za siebie z przerażeniem.

Gdzie jesteś, draniu?

Czego chcesz i od kogo?

Ode mnie?

Od tych małych dzieci?

Po co ci ten aparat?

Rozdział 96

Kucyk przepadł jak kamień w wodę, razem ze swoim aparatem. Nie ma go na zatłoczonej Fifth Avenue. Ani na Madison, ani przed bramą Preston Academy. Na dowód tego mam bolącą szyję.

Serdecznie ściskam Seana i Dakotę. Dziś nie chcę się z nimi rozstawać.

— Jak zwykle przyjdę po was po południu. Zgoda?

— Naprawdę wszystko jest w porządku? — pyta Dakota. — Jest pani pewna, panno Kristin?

Chyba się trochę martwi — i to o mnie. Kochany dzieciak.

— Jasne, że jestem pewna! Nigdy nie było lepiej! — wołam, zmuszając się do uśmiechu. — Bawcie się dobrze!

Nie mrugam okiem na pożegnanie. Dzieciaki też tego nie robią. Jednak brak mi trochę wewnętrznego ciepła.

Żegnają mnie skinieniem głowy i pędzą wzdłuż drzew przez dziedziniec. Dobiegają do kamiennych schodów. Dziesiątki razy obserwowałam ich z tego miejsca.

Chcę się odwrócić, ale nagle widzę, że przystają na szczycie schodów. Jak na komendę unoszą ręce i machają mi na do widzenia. Śmieją się szeroko.

Mam wrażenie, że zaraz się rozplacę. Też macham, dzielnie walcząc ze łzami.

Sean i Dakota wchodzą do szkoły. Teraz już mogę sobie popłakać. A potem znowu się rozglądam, czy nie zobaczę gdzieś Kucyka.

Nie ma go. Łobuz. Szuja. Też już nie żyje... jak Delmonico?

Nagle słyszę w uszach melodię. Kojarzy mi się jedno słowo: „karuzela”. Karuzela?

— Co to, do diabła, za cholerny utwór? — mruczę pod nosem. Kilku przechodniów spogląda na mnie podejrzliwie.

Ocieram oczy, patrzę na zegarek i sięgam po komórkę. Może się dowiem, gdzie jest ten facet, który tak nagle zniknął z mojego życia?

Przynajmniej będzie sekretarka, żeby odbierać telefony. Po trzecim sygnale słyszę jej głos:

— Biuro Michaela Turnbulla.

— Cześć, jest pan Turnbull?

— Mogę wiedzieć, kto dzwoni?

— Kristin Burns. Niańka. To ty, Amando?

— Tak. Cześć, Kristin — odpowiada. — Z tego, co słyszę, jesteś gdzieś poza domem?

— Tak, a dlaczego pytasz?

— Pan Turnbull dzwonił tam kilka razy. Chyba zapomniał ważnych dokumentów. Pewnie chciał, żeby któraś z was przywiozła je do biura.

— Zaraz to zrobię. Właśnie wracam. Przed chwilą odstawiłam Seana i Dakotę do szkoły.

— To już nieważne. Pan Turnbull sam pojechał po te papiery. Potrzebne mu na zebranie. Jeżeli jesteś blisko domu, to pewnie jeszcze go gdzieś spotkasz.

Tak! Nareszcie jakiś przełom. Zanim Amanda skończyła mówić, już kiwam ręką na taksówkę, którą ktoś przywiózł nieco starszych uczniów.

Niecałe dziesięć minut później wjeżdżam windą na ostatnie piętro. Cieszę się, że za chwilę zobaczę Michaela! Już zapomniałam, jak mnie wkurzał przez ostatnią dobę. Jestem gotowa wszystko mu wybaczyć, byleby ze mną pogadał. Liczę na szczerą, poważną rozmowę.

Od progu słyszę jego głos. Jest jakby trochę przytłumiony. Chyba dochodzi z kuchni. Kto tam jest z Michaeliem?

Rozdział 97

Po cichutku, na palcach, przemykam się przez salon. Nie słyszę poszczególnych słów, ale to bez wątpienia on.

Przykładam ucho do wahadłowych drzwi. Głos Michaela brzmi jakoś inaczej, z lekkim echem. Już wiem, z kim rozmawia.

Z automatyczną sekretarką.

Jednym pchnięciem otwieram drzwi i wchodzę do pustej kuchni. Patrę na migające czerwone światełko. Michael jest właśnie w połowie zdania. Przez kilka sekund słucham tego, co mówi. Chyba już kończy. Za moment odłoży słuchawkę.

— Zaraz się zobaczymy, moja mała. Kocham cię — wzdycha.
— Kocham.

Biegnę do aparatu, ale już za późno.

Klik.

Telefnował pewnie z komórki. Jeszcze tu nie dojechał? Wybieram numer, żeby oddzwonić, lecz nagle zamieram. Przecież to nie ma najmniejszego sensu...

Co on powiedział?

„Kocham cię... Kocham”?

Nie dzwonił do mnie, tylko do Penley. Nie wyobrażam sobie

innej możliwości. Jak to? Próbuje ją odzyskać? Wiem, że jest sprytny i wyrachowany, ale o takie rzeczy go nie podejrzewałam. Widziałam jego nienawistną minę.

Maszyna wciąż mruga, jakby namawiała mnie, żebym posłuchała wszystkiego od początku. Nie bój się, Kris... Sprawdź, co się dzieje.

W dalszym ciągu się waham, bo... do tej pory tego nie robiłam. Kiedy tylko zaczęłam pracę, Penley wyraźnie powiedziała: „telefonami się nie zajmuj”. Innymi słowy: nie wpychaj nosa w moje sprawy!

Przez dwa lata nie odsłuchiłam żadnej wiadomości.

Aż do dzisiaj.

Kurczę, w zasadzie co mi zależy? Że stracę pracę? Bez względu na to, co się stanie, i tak już tu nie będę niańką. Dziś mogę sobie pofolgować. Zwłaszcza że koniec mi się nie podoba.

Przecież Amanda powiedziała, że Michael dzwonił dużo wcześniej... Coś się nie zgadza.

Naciskam klawisz.

— Masz jedną wiadomość — mówi głos z taśmy.

— Cześć, kochanie. To tylko ja — zaczyna Michael. Ma bardzo smutny, niemal zrozpaczony głos.

A potem całkiem mnie rozwała.

Rozdział 98

Przez dłuższą chwilę nawet nie oddycham. Czuję się tak, jakbym słuchała tego słowo po słowie.

— Od wczoraj dużo o nas myślę. To bardzo mądre z twojej strony, że mnie zabrałaś na kolację do naszej ulubionej knajpki. Naprawdę nie wiem, jak bym się zachował, gdyby nie było wokół innych ludzi. Może to właśnie jest nasz problem: znasz mnie za dobrze. A ja z kolei mam wrażenie, że nie wiem, kim naprawdę jesteś. O Chryste Panie... To brzmi jak fragment jakiegoś głupawego filmu, prawda? No, dobrze... Zdaję sobie sprawę z tego, że nie należę do najłatwiejszych ludzi. Trzeba naprawdę mieć odwagę, żeby zrobić to, co zrobiłaś wczoraj. Pewnie nie doszłoby do tej rozmowy, gdybyś nie była przekonana, że jednak można coś naprawić. Mimo to ciągle jestem w szoku. Szlag by to trafił... Boję się, że powiem coś, czego później będę żałował. Ale musisz mnie zrozumieć. Wciąż powtarzałaś, że mnie kochasz... Ja też cię kocham, ale nie wiem, czy to nam wystarczy. Zobaczymy. Jedno mnie tylko martwi... To, że chcesz zupełnie sama zakończyć sprawę z tym facetem.

Jesteś pewna, że się nie wścieknie? Wiesz, co robisz? Jeszcze to przemyśl, Penley. Zgoda? Nie wiem... Może to paranoja. Najlepiej powtórz ten sam pomysł i zabierz go do restauracji. Jezu, co za masakra... Radzę własnej żonie, jak powinna zakończyć romans. Wiesz co? Za chwilę wrócę do domu. Nie mam dziś głowy do roboty. Po drodze kupię jakieś dobre lody. Na przykład twoje chunky monkey. Do diabła z dietą! Jeśli odsłuchasz tego, zanim przyjdę, poczekaj na mnie^ Siądziemy sobie i pogadamy. Zaraz się zobaczymy, moja mała. Kocham cię... Kocham.

Stoję w kuchni jak skamieniała. Mózg mi się lasuje.

To niemożliwe, żeby Penley sama przyznała się do romansu.

To niemożliwe, żeby Michael choć odrobinę jej wybaczył — albo w ogóle chciał z nią zostać. Chyba że wciąż mnie oszukiwał... Może jest coś, o czym powinnam wiedzieć?

Z nerwów już sama nie wiem, co białe, a co czarne. Wszystko spowija wielka mglista chmura. Chyba za moment się porzygam. Ciężko opieram dłoń o kredens, żeby nie walnąć na podłogę. Co się tu dzieje? Myśl, Kristin... Myśl. Kombinuj!

Jedno na pewno się nie zgadza. Michael był jakiś dziwnie miękki.

Placzliwy.

Smutny.

Całkiem bezradny i...

Niewinny.

Już wszystko jasne.

Dosłownie wszystko.

Od samego początku aż do wiadomości nagranej przez Michaela.

Chyba powinnam raczej powiedzieć: do alibi. Odwracam się, biegnę do lodówki i otwieram zamrażalnik. Na samym froncie, tuż przede mną, stoją nowiutkie lody firmy Ben & Jerry. Chunky monkey. Diabeł tkwi w szczegółach.

Część trzynasta

Rozdział 99

— Może pan jechać szybciej? Wkurzony szofer łypie w moją stronę.

— Nie da się szybciej, moja pani!

— Nieprawda! A to sprawa życia i śmierci!

— Jasne. Spóźni się pani na pilates?

Jedzie w dół Fifth Avenue, chyba szukając skrótów do Madison. Falcon jest całkiem niedaleko.

A zatem doszło już do tego... Jeszcze wszystkiego nie rozumiem, ale wystarczy wziąć to na logikę. W życiu nie byłam tak niczego pewna. Reszta zależy już ode mnie. Zawsze tak było. Jeśli nie zdążę do hotelu, na pewno dojdzie do masakry.

Sama widziałam.

Zdążę? Nie zdążę? Mogę się tylko zastanawiać.

Taksówka skręca. To już blisko!

Kurwa mać!

Korek! Ktoś tam podwójnie zaparkował.

Hamujemy tuż za checkerem, wciśnięci koło autobusu zięjącego gorącym dymem. [Typowa nowojorska taksówka, z czarno-białą szachownicą (*checker*) malowaną na karoserii, produkowana w praktycznie niezmiennym kształcie w zakładach Checker Motors do 1982 roku. Jeden z symboli Nowego Jorku, wielokrotnie wykorzystywany w popkulturze]

— Proszę! — Płacę za taksówkę. — Reszty nie trzeba!

— Myślę, że zdążysz, moja słodka.

Wyskakuję z samochodu i biegnę. Serce wali mi tak szybko, jak poruszają się moje stopy. Jestem obłądnie przerażona.

Dlaczego, Michael? Dlaczego? Nie niszczyć wszystkiego. Pamiętaj o nas. O swoich dzieciach...

W myślach bez przerwy widzę to co na zdjęciach. To, czego byłam świadkiem pod hotelem... Długi korowód wynoszonych trupów. A potem — nagle — coś innego. To się zdarzyło przed trzema laty, kiedy tu byłam z Matthew z Bostonu. Przypadek?. Wątpię. Nie chcę o tym myśleć. Nawet nie mogę, choćbym próbowała.

Prędeż! Dasz radę.

Trzymaj się chwili.

Z daleka słyszę jęk syreny. Serce podchodzi mi do gardła, kolana miękną, niemal się przewracam.

Wszystko przepadło. Już za późno.

Nie — to strażacy jadą do śródmieścia. Widzę czerwoną smugę między domami przy Madison. Wycie syreny pomału cichnie. Wraca nadzieja. Co to za miejsce, ten hotel Falcon?

Prawie dobiegam. Dotkliwy ból przenosi mi się z nóg aż do płuc. Czuję się tak, jakby ktoś zwałił mi na piersi ładunek cegieł. Mimo to biegnę dalej. Nic mnie już nie zatrzyma.

Nieprawda

Rozdział 100

Dzwoni komórka. To na pewno Michael!

Ostro skręcam w prawo i staję pod samą ścianą. Nie mogę złapać tchu. Odbieram telefon.

— Halo?

To nie on.

— Pani Kristin Burns? — słyszę kobiecy głos.

Nie umiem go rozpoznać, ale brzmi jakoś smutnie. Rany, znów jakiś debilizm z zaświatów?

— Tak.

— Mówi Madeline Sturges z Preston Academy. Próbowałam dodzwonić się do pana lub pani Turnbull, ale na razie to niemożliwe. Mam zapisany pani numer...

— Co się stało? — wpadam jej w słowo.

Moment milczenia. Wyczuwam jej zdenerwowanie, wyraźne nawet przez słuchawkę.

— Chodzi o Dakotę... — mówi. — Powiedziała koleżance z klasy, że musi kogoś znaleźć.

— Słucham? Nic nie rozumiem.

— Nie ma jej w szkole. Szukaliśmy wszędzie. Zniknęła.

Telefon wypada mi z dłoni. Jeszcze nie zdążył dotknąć ziemi, a ja już biegnę. Szybciej niż przedtem.

Cztery worki.

Nie... Tylko nie to. Boże, błagam, tylko nie Dakota... Ona ma siedem lat...

Skąd może wiedzieć o hotelu albo o tym, że właśnie tu znajduje matkę? Przecież to z gruntu niemożliwe.

Tak, tak... Jak wszystko, co się wokół dzieje.

Uświadamiam sobie bolesną prawdę. W tej chwili nie ma rzeczy niemożliwych.

Rozdział 101

Jestem już blisko. Do rogu mam zaledwie dziesięć... pięć... góra dwa metry. Zamykam oczy, biegnę na ślepo. W ogóle nie chcę na to patrzeć.

Jednak muszę, prawda? Na pewne rzeczy już dawno nie mam żadnego wpływu.

Skrećam i przygotowuję się na najgorsze. Na cztery trupy.

Nie ma ich. Dzięki Bogu... Przynajmniej na razie.

Nie ma zbrodni, nie ma tłumu gapiów. Nie ma też Dakoty. Tylko czerwona markiza nad wejściem do hotelu i potężna fala, która pcha mnie naprzód.

Chwilę później wpadam do środka. Boże, spraw, żeby wzięli jakiś inny pokój! Michael pewnie ich szuka pod starym numerem. Niestety, zna go ode mnie.

Biegnę do windy, ale z daleka widzę, że czeka tam kilka osób. Natychmiast skrećam w stronę schodów. Przeskakuję po dwa stopnie. Cała spocona mijam pierwsze dwa piętra.

Wbiegam na trzecie i praktycznie rzucam się na korytarz.

Cicho.

Za cicho.

Nigdy cisza nie była tak napięta, upiorna i zabójcza.

Przechodzę obok jednych drzwi, potem drugich... Wreszcie docieram do pokoju, w którym słyszałam Penley i Stephen. Do ich pokoju. Staję jak wryta. Ból ma okazję, żeby nareszcie mnie dogonić. Nogi i płuca palą mnie jak diabli.

Na kłamce widzę wywieszkę: „Nie przeszkadzać”, której wczoraj na pewno tu nie było. Spoglądam na nią z takim napięciem, że jeszcze chwila, a przegapiłabym coś innego.

Drzwi są uchylone.

Może na centymetr, a może nawet mniej... Tuż przy futrynie widać wąską szparę. Pomalutku wchodzę do pokoju.

To nie jest Motel numer 6. Bardziej wygląda mi na apartament. Niewielka sień wyłożona czarno-białą szachownicą. Znów jakaś gra? Pierwszy raz coś słyszę... To czyjś głos dobiegający zza ściany.

Stephen.

Śmieje się? Niby z czego?

Podchodzę kilka kroków bliżej. Nie, wcale się nie śmieje. Chyba płacze. Szlocha — to dużo lepsze słowo.

Wystawiam głowę, żeby spojrzeć w głąb króciutkiego korytarza. Już wiem, dlaczego Stephen szlocha.

Michael przystawia mu pistolet do czoła.

Rozdział 102

— Nie rób tego! — płaczącym głosem jęczy Stephen. — Błagam, nie! Błagam!

Jest nagi i roztrzęsiony. Kuli się u podnóża łóżka. Nic więcej nie widzę w zaciemnionym pokoju.

— Zamknij się! — warczy Michael. — Zamknij się, do cholery!

Wszystko toczy się w błyskawicznym tempie. Stoję jak skamieniała. Wydaje mi się, że czas się zatrzymał i oglądam kawałek snu. Znowu czuję swąd spalenizny.

Michael odwodzi kurek pistoletu.

— Dupczyłeś niewłaściwą dziwkę — mówi ze złością. — Ale mnie, mój drogi, nie wydupczysz.

Nagle...

Fft!

Najpierw widzę strugę krwi, a dopiero potem słyszę dziwnie stłumione echo wystrzału.

Tył głowy Stephena po prostu eksploduje. Ciemnoczerwone strzępy mózgu rozchlapują się na ścianie. Stephen wciąż stoi, gapiąc się przed siebie przerażonym wzrokiem. Kawałek czaszki wisi mu za uchem, niczym otwarta furtka. To nie jest sen, Kris.

Po chwili jego ciało wiotczeje, jakby lalkarz nagle przeciął wszystkie sznurki. Dziwnie skurczony pada na podłogę. Wokół głowy rośnie plama krwi. Krew wydaje się niemal czarna.

Diabeł tkwi w szczegółach, prawda?

Wrzeszczę, tak samo jak w koszmarze.

Michael odwraca się na pięcie, unosi broń i mierzy prosto we mnie. Zaraz zaciśnie palec na spuście. Szybko wyciągam rękę przed siebie.

— Nie! Michael! To ja!

Spogląda na mnie spod zmrużonych powiek, jakby chciał się przekonać, czy to prawda.

— Co ty tu robisz? — pyta, opuszczając pistolet.

Nie umiem znaleźć odpowiednich słów, żeby cokolwiek odpowiedzieć. Pomału idę w jego stronę. Nie wiem, czy lepiej go uściskać, czy uderzyć.

— Nie dotykaj niczego! — mówi. To brzmi jak rozkaz.

He?

— Odciski palców — dodaje tonem wyjaśnienia. — Nas tu nie było.

Odkręca krótką rurkę z lufy pistoletu. Zapewne tłumik. To dlatego nie usłyszałam głośnego wystrzału.

Michael zastanawia się przez krótką chwilę i podejmuje nową decyzję. Skręt, skręt, skręt. Tłumik zostaje na swoim miejscu.

Nakręcony. To chyba właściwe słowo?

Podchodzę bliżej. Mam wrażenie, że przy każdym kroku moje ciało powoli się rozpada. Nareszcie odzyskuję głos.

— Co ty zrobiłeś, Michael?

Dopiero teraz widzę cały pokój — i okazuje się, że to nie wszystko.

Michael zakrywa mi dłonią usta, powstrzymując mnie od następnego krzyku. Na łóżku, tuż obok stolika, leży zupełnie naga i zupełnie martwa Penley. Krew spływa jej na brzuch i nogę. Na podłodze widnieje wielka czerwona kałuża. Michael puszcza mnie i podnosi palec do ust.

— Cicho. Nie mamy za wiele czasu — mówi. — Musimy stąd uciekać, Kristin. Wszystko będzie dobrze.

Beznamiętnie wyjmuję z kieszeni jedwabną chusteczkę i wyciera pistolet. Przyklęka, wciska broń w rękę Stephena. Po chwili robi coś, czego w ogóle nie rozumiem. Grzbietem dłoni pociera palec, nadgarstek i przedramię Stephena.

Patrzę na to z totalnym przerażeniem.

Michael jest upiornie spokojny. W tej chwili zachowuje się niemal jak robot. Sprawia takie wrażenie, jakby na przykład robił sobie kanapkę z szynką, a nie wrabiał faceta w morderstwo i samobójstwo.

Co jeszcze dzisiaj mówił o Stephenie? Przecież pamiętam to nagranie. „Jesteś pewna, że się nie wścieknie?”.

Wstaje i patrzy na mnie ponuro. Wydaje mi się, że go wcale nie znam.

— Miałaś o tym nie wiedzieć — mówi.

Och, żeby to była prawda! Ale nie jest... Od samego początku musiałam to zobaczyć. Nie wiem tylko dlaczego.

— Skąd masz pistolet? — pytam.

— Nieważne.

Chyba się domyślałam.

— Od Vincenta?

Michael kiwa głową.

— Jest na dole. Zaparkował za rogiem. Zabierze nas do domu, a potem poczekamy sobie na policję. Przed nami długi występ, Kristin.

Rozdział 103

Prawie go nie słyszę. Nogi mam jak z waty, kręci mi się w głowie i myślę, że zemdleję. Jestem jego współniczką, prawda? Jestem zamieszana w podwójne morderstwo. Ale przecież nie nie zrobiłam... Przybiegłam go powstrzymać, a nie pomagać w zbrodni.

Michael łapie mnie za ramiona. Potrząsa z całej siły.

— Musisz być teraz ze mną, Kristin. Słyszysz? Musisz! Wszystko się ułoży.

To nie czas ani miejsce na szczere wyznania, ale coś mi podpowiada, że już nie będę miała następnej okazji.

— Jest coś, o czym powinieneś wiedzieć — mówię.

— Później. Nie teraz!

— A właśnie, że teraz. Trzy lata temu...

— Wyłącz się, Kristin! Przestań tyle gadać!

— Trzy lata temu byłam w ciąży, Michael. Tuż przed rozwiązaniem przyjechałam tutaj, do Nowego Jorku, ze swoim chłopakiem... Dziecko urodziło się właśnie w tym hotelu. Rozumiesz? Wiesz już, o co chodzi? Wszystko się ciągle kręci wokół tego miejsca. Mój chłopak, Matthew, uczył się medycyny w Tufts.

Odebrał poród. To był chłopczyk, taki jak Sean. Umówiliśmy się, że zaraz oddamy go do szpila. Ale dziecko zmarło! Tutaj, w hotelu Falcon. Wyobrażasz to sobie? Pozwoliłam mu umrzeć! Michael... Widziałam, jak mój synek umiera...

Teraz on na mnie patrzy, jakby mnie wcale nie znał. To ciężar, z którym borykałam się przez te wszystkie lata...

— Musimy stąd zniknąć — decyduje.

Spoglądam mu prosto w oczy — chyba tylko po to, żeby nie patrzeć gdzie indziej. Nie chcę widzieć Stephena ani Penley. Zwłaszcza jej.

Zrobił to. Zabił ją.

— Nie bój się — mówi Michael, ciągnąc mnie w stronę drzwi. — Wszystko skończone.

Nie dla mnie. Bilans się nie zgadza. Przecież widziałam cztery trupy. Stephen i Penley to dwa. Tylko dwa. Na tym jeszcze nie koniec, prawda?

— Zaczekaj — mówię. — Co to za hałas?

Dwa... plus jeden.

Rozdział 104

— Niespodzianka, draniu!

Odwracam się i widzę nóż wbity w szyję Michaela. Raz, dwa... Penley dźga go, zanim zrozumiał, co się stało.

To się nazywa zemsta.

Jej mąż unosi ręce do szyi. Czerwona struga zalewa mu kołnierzyk i błyskawicznie wsiąka w koszulę. Michael otwiera usta, ale słycać tylko bulgotanie krwi.

A Penley wciąż zadaje ciosy. Trzy, cztery... To już nie ona, lecz opętana morderczyni. Srebrne ostrze wbija się w ciało Michaela — w szyję, pierś, ramię... Nawet nie zdołał unieść ręki, żeby się osłonić.

Ta wariatka nie przerwie tego z własnej woli.

Rzucam się na nią i próbuję złapać ją za rękę. Penley jest dużo niniejsza ode mnie — i na dodatek przecież ranna! — ale nie mogę sobie z nią poradzić. Odrąca mnie jak muchę.

Będę następna? — myślę.

Patrzę za siebie i widzę zakrwawionego Stephena, który z gołą dupą leży na podłodze. Mój wzrok prześlizguje się od jego dziurawej głowy, wzdłuż ramienia, aż do wyciągniętej ręki.

Pistolet!

Bez namysłu rzucam się w tamtą stronę. Teraz Już walczę tylko o przeżycie. Na pół biegnę, na pół pełzną w kierunku broni.

Za mną Michael z głośnym „łup!” — pada na ziemię. Słyszę, jak rzezi... próbuje złapać oddech. Wiem, że wciąż go kocham, a on umiera.

Wyciągam rękę po pistolet.

— O, nie! — rozlega się głos Penley.

Jednym szarpnięciem wyrywam broń z zimnej dłoni Stephena. Odwracam się i szukam spustu. Penley biegnie wprost na mnie.

— Ty gnido! — krzyczy nie swoim głosem. Jest całkiem inna niż zazwyczaj. Może to dziwne, ale na swój sposób wolę ją właśnie taką.

Unosi rękę, żeby zadać cios. Na ostrzu noża widać krew Michaela. Teraz chce mojej. Zamykam oczy. Ale natychmiast je otwieram. Nie myśl, po prostu pstrykaj.

Rozdział 105

Fft.

Fft.

Dziwne, ale zabójcze dźwięki.

Penley zgina się wpół i pada tuż przede mną. Nóż kroi powietrze centymetr od mojej twarzy. Pierwszy pocisk trafił ją prosto w pierś. Drugi w prawą skroń.

Patrzę na nóż. Ciekawe, skąd go miała?

To nie jest broń.

Zwykły nóż do listów — ale taki, z którym nie wpuszczą cię do samolotu. Długi i ostry. Na srebrnym trzonku widnieje wygrawerowany napis: „Hotel Falcon”.

Bardzo ładnie.

Szybko się podnoszę i robię chyba najgłębszy wydech w swoim życiu. Ale uczucie ulgi natychmiast mija. Podbiegam do Michaela. Leży na brzuchu. Dyszy ciężko, z wyraźnym cierpieniem.

— Michael! Słyszysz?

Mruga powoli i szuka mnie oczami.

— Kris?

Ma słaby głos. Kaszle krwią na dywan.

— Jestem tutaj — szepczę. — Zaraz ci pomogą.

Ale oboje wiemy, że to nieprawda. Michael ma poszarpane pierś i szyję. Stracił już tyle krwi, że chyba tylko cudem może mówić.

— Musisz uciekać — jęczy. — Policja...

— Już dobrze. Dobrze...

Patrzy na mnie i zmusza się do mówienia.

— Nie... Pospiesz się. Uciekaj. Znikaj stąd.

Dokąd mam uciec?

Michael jak zwykle zna odpowiedź. To jego ostatnie słowa.

— Dzieci... — szepcze. Szeroko otwiera oczy.

— Michael! — krzyczę. — Michael! Już mnie nie słyszy.

Michael umarł.

To już trzy trupy — błyskawicznie przebiega mi przez głowę.

Rozdział 106

Wstaję powoli i ostami raz patrzę na Michaela. Już wiem, gdzie to widziałam.

To tamto zdjęcie. Michael leżący na podłodze w obcym pokoju.

Zdjęcie, którego nigdy nie zrobiłam.

No proszę... Jestem tutaj. Jak do tego doszło?

Czuję się tak, jakby ktoś walnął mnie obuchem w głowę. Czas się zatrzymał. Świat znieruchomiał. Panuje tylko śmiertelna — tak, śmiertelna — cisza.

Nie na długo.

Dzwoni telefon koło łóżka. Podnoszę głowę po drugim dzwonku. Muszę stąd odejść. Muszę uciekać!

Wybiegam z pokoju i skręcam w stronę tylnych schodów. Znam tę drogę. Jestem mniej więcej w połowie korytarza, kiedy słyszę, że ktoś mnie goni.

Dzieci!

Jak to możliwe? Czyżby Dakota? A jeśli nie... to kto? Boję się sprawdzić.

Mimo to staję i odwracam głowę. Nie, to nie ona.

To Kucyk.

Jak się tu znalazł? Co go ze mną łączy? Mam dużo pytań. Ale nie teraz! Boże, nie... Tym razem nie wziął aparatu.

— Stój! — krzyczy, celując do mnie.

W panice wyciągam przed siebie ręce.

— Nie strzelaj! — krzyczę i natychmiast widzę swój błąd.

Już wiem, o czym zapomniałam, zanim wybiegłam na korytarz.

Nie porzuciłam pistoletu.

Rozdział 107

Wszystko trwa ułamki sekund. Umieram.

Nie czuję kuli rozrywającej moje ciało. Właściwie nie wiem nawet, że zostałam postrzelona. Dopiero kiedy spoglądam w dół, widzę plamę krwi.

Powoli pocieram dłonią o koszulę. Jest ciepła, lepka, nierealna.

Myślał, że chcę do niego strzelić. Idiota! Ale przed chwilą zabiłam Penley, prawda?

Na miękkich nogach robię krok w tył. Wydaje mi się, że wszystko wokół wiruje. Ciężko upadam na podłogę, ale nie czuję uderzenia.

Prawdę mówiąc, zupełnie nic nie czuję. W pewnym sensie to niewielki postęp.

Leżę na wznak i patrzę w sufit. Widzę świecący napis „Wyjście” nad schodami, do których nigdy nie dotarłam. Poza tym pustka.

Nagle pojawia się czyjaś twarz.

Kucyk nachyliła się nade mną. Zerka na broń, którą ściskam w dłoni, i smutno potrząsa głową. Wyciąga rękę i przyciska dwa palce do mojej szyi. Co on wyprawia? Ach, pewnie szuka pulsu.

— Jeszcze żyję — informuję go. Nie reaguje w żaden sposób.
— Hej, słyszysz mnie? Kim ty w ogóle jesteś? — pytam.

Wstaje, wyjmuje komórkę i dzwoni pod 911. Zaraz dostanę swoją odpowiedź.

— Tak, jestem prywatnym detektywem — mówi, składając raport o strzelaninie. — Są ofiary... i to nawet kilka — dodaje na koniec.

Przyjeżdża policja, a po niej pogotowie. Wokół mnie trwa wy-
tężony ruch. Sanitariusz ponownie sprawdza moje tętno.

Na chwilę mdleję, a potem słyszę, jak Kucyk wyjaśnia poli-
cjantowi, że pracował „na zlecenie jednej z ofiar”. Jego klientką
była pani Penley Turnbull.

— Podejrzała męża o mały romans — mówi. — A mąż
chyba to samo myślał o niej.

— Wzięłeś pan kasę z góry? — żartuje gliniarz.

— To ma być śmieszne? — pytam.

Nie słyszy mnie. Nikt nie słyszy.

— Co to za dziewczyna?

Gliniarz wskazuje na mnie. Może już dość tych głupot? Choć
kiedy o tym myślę, to sama nie wiem, czy chcę doczekać końca.

— Niańka — odpowiada Kucyk. — Kochanka zabitego męża.

— Śledził ją pan? Tak mam to rozumieć?

— Jak najbardziej. Pani Turnbull chciała ją na czymś przy-
łapać. Chyba planowała rozwód. Ale mnie było trochę żal dziew-
czyny. Miała na imię Kristin. Młoda, z głową w chmurach. Na-
wet próbowałem ją nastraszyć, żeby zerwała z Turnbullem. To
był kawał łobuza.

— A jednak przyszła tutaj z bronią. — Policjant wygląda,
jakby się zastanawiał. — Czyli działali razem, prawda?

— Raczej nie — kręci głową Kucyk. — Zgubiłem ją, kiedy weszła do hotelu, ale sądząc po tym, jak tutaj biegła, to chyba raczej próbowała wszystkim zapobiec.

Gliniarz wzdycha.

— Tak czy inaczej, głupio się skończyło. A dzieciaki zostały bez rodziców.

— Nawet bez niańki. Z tego, co wiem, bardzo ją kochały.

— To mi wyjaśnia pewną kwestię — mówi policjant, kiwając głową i wzruszając ramionami.

— Jaką?

— Posłaliśmy radiowóz do szkoły. Okazało się, że córka trochę wcześniej zniknęła. Siedmiolatka. Przed chwilą dostałem wiadomość, że ją znaleźli.

— Żyje?

— Tak. Nic jej się nie stało... o ile można tak powiedzieć.

— Gdzie była?

— W domu. Uciekła ze szkoły, bo zlekka się o niańkę. Chciała być przy niej.

— Ma na imię Dakota. Wiedziała coś?

— Mówi, że nie. Że to tylko przecucie. Oczywiście, w domu nikogo nie zastała. Wszyscy byli tutaj.

Odchodzi. Myślę o Seanie i Dakocie. W takiej chwili powinienam być właśnie z nimi. Może ja, może ktoś inny... Sean na pewno ma mnóstwo pytań.

Krzyczę, ale bez skutku. Dlaczego nikt mnie nie słyszy? Dre się na całe gardło, tak jak we śnie.

Już umarłam? — myślę.

Przecież wciąż wszystko widzę, wszystko słyszę...

Co się tu dzieje, do cholery?

— Właśnie — rozlega się znajomy głos.

Rozdział 108

Widzę jego odbicie w szklanym napisie „Wyjście”. Wstrząsa mną dreszcz. Facet stoi w drzwiach z prawej strony. Upiór, najgorszy ze wszystkich możliwych.

Frank Delmonico.

Wychodzi na korytarz. W pokoju za nim panuje ciemność. Nic, tylko ciemność.

Słyszę piosenkę z mojego snu.

To ten sam pokój! Ten, do którego bębniłam wczoraj.

Nikt nie otwierał.

Muzyka otacza mnie ze wszystkich stron. Pierwszy raz od momentu, kiedy ta melodia zakorzeniła mi się w głowie na podobieństwo złośliwego chwastu, słyszę coś jeszcze.

Słowa.

*A pory roku biegną i biegną,
i nadal pędzą malowane konie.
W kolko się kręci karuzela czasu.*

Delmonico stoi dokładnie nade mną, w tym samym co zawsze szarym garniturze. Policjanci przechodzą obok, ale go nie widzą.

— Siemanko, Kristin — mówi. — Wiem, wiem... Jesteś niewinna. Nie zrobiłaś niczego złego.

— To niemożliwe! — wołam. — Przecież ty nie żyjesz.

— Też tak słyszałem. Ale mimo wszystko przysłali mnie do ciebie. Mamy trochę pogadać. Taki krótki wywiad. Jak to się nazywa choćby w świecie biznesu? Rozmowa pożegnalna?

Wyciąga z kieszeni paczkę papierosów.

I w koło, i w koło, i w koło, i w koło...

Słyszę dalszy ciąg piosenki.

Karuzela życia.

Delmonico zapala papierosa. Mruga do mnie, a potem zdmuchuje zapalną. Tyle że tam nie ma zapalniczki, jest sam płomień. Jak on to robi?

Zaciskam oczy. Wmawiam sobie, że to jedynie sen. Przecież nie może być inaczej...

— Nie — mówi Delmonico. — To nigdy nie był sen, Kristin.

— W takim razie ktoś się pomylił. Nie jestem taka jak ty. Zabijałaś ludzi.

— Ty też zabijałaś. Już nie pamiętasz?

— To co innego.

— Racja. Ale niestety, czasem tak bywa. Nie wszystko w życiu jest czarne lub białe.

Zaciąga się głęboko.

Czuję, że coś łazi mi po nodze. Wchodzi na udo, idzie po brzuchu...

— Zabierz to ze mnie!

„Coś” wchodzi mi na szyję. Po chwili czuję to na twarzy.

Idzie po ustach, aż do oczu. Widzę... i wrzeszczę z przerażenia. To największy karaluch na świecie.

Delmonico unosi nogę i tupie głośno tuż przy mojej głowie.

Trzask!

— A teraz, jak już mówiłem, Kristin, najwyższa pora na mały wywiad.

— Po co ten wywiad?

— Hm... Żeby cię jakoś dopasować. Mówisz, że jesteś całkiem niewinna, a jednak wdałaś się w paskudny romans z żonatym facetem. Przez większość życia byłaś okropną egoistką. A ten twój synek? Biedne małeństwo... Także nie żyje. Przecież to tylko twoja wina. Twoja i tego chłopaka, Matthew. Tutaj, w Falcon. Jak mogłaś?

Patrzę na niego wystraszona. Skąd wie to wszystko?

— Co to za miejsce?

Wzdycha.

— Tutaj umarłem, więc nic dziwnego, że mam sentyment do tych czterech kątów. To portal, Kristin. Przejście. Chyba wiesz dokąd. Mamy ich kilka w wielkim okrutnym Nowym Jorku. Ale nic, tylko ciągle gadam... Kolej na ciebie. Przecież to w końcu twój dzień, Kristin.

Rozdział 109

Strasznie się boję. Mdli mnie i czuję znajomy zapach spaleni-
zny. Kto wie, może znowu wszędzie mam bąble? Różne pytania
kłębią mi się w głowie. Naprawdę nie wiem, od czego zacząć.

Słyszę miarowe: klap, klap, klap... Patrzę — to Delmonico
przytupuje nogą tuż przy mojej głowie.

— Nie będę sterczał tu cały dzień, panienko. Powiedzmy, że
masz mało czasu.

— Na wywiad?

— Właśnie. Gadaj, kochana. Przecież za chwilę się zbieramy.
Trzeba opuścić ten ziemski padół.

— Dokąd pójdziemy? Gdzie mnie zabierasz?

— Och, przecież wiesz lepiej ode mnie. Co to za gierki? Uda-
jesz tępotę umysłową? „Jestem głupia, więc nie podlegam ka-
rze”. Nieprawda, Kristin. Boston College. Przygotowanie do stu-
diów prawniczych. To chyba nie był najlepszy wybór, co?

— Mówisz, że hotel Falcon jest portalem... Swoistym przeji-
ściem. Do przeznaczenia?

Delmonico trochę się dąsa.

— Przed chwilą to przerabialiśmy. Tak.

Ledwo mogę mówić.

— Ale... dlaczego? Czy popełniłam jakieś niewybaczalne błędy?

— Oględnie mówiąc, tak. Byłaś okropnie złą dziewczynką. Jak zresztą większość dziewcząt w twoim typie.

Coś mnie potwornie ściska w gardle, ale próbuję jeszcze wykrztusić kilka słów.

— Jestem... diabłem?

Delmonico wybucha szczerym śmiechem.

— Chciałabyś — mówi.

Wzdycha głośno i po chwili zaczyna opowiadać:

— Chyba jest coś, co mogłoby pomóc ci zrozumieć twój obecny stan. Wychowywałem się na Brooklynie. Nawiasem mówiąc, bardzo blisko miejsca, w którym spotkałaś się z Kucykiem. Nic więc dziwnego, że chodziłem do katolickiej szkoły. Nigdy nie zapomnę pewnego zdarzenia. Bodajże w szóstej klasie proboszcz zrobił nam wykład na temat wieczności, potępienia i tak dalej. „Wyobraźcie sobie — powiedział — maleńkiego kosa, żyjącego na wielkiej górze na północ od Nowego Jorku albo też w jakimś innym dzikim miejscu. Co tysiąc lat ten mały ptaszek łapie w dziób wszystko, co tylko zdoła unieść, i leci z tym do nas, na Brooklyn. Swoje brzemień zrzuca na szkolnym parkingu. W dodatku wyobraźcie sobie, że musi to powtarzać dopóty, dopóki nie przeniesie całej góry. A to, panie i panowie, jest zaledwie początek wieczności”. Następną rzeczą do przemyślenia. Twój cały koszmar trwał nie dłużej niż trzyście sekund. Od samego początku do końca tylko trzyście sekund. Sama policz... trzyście. Teraz już wiesz, czym jest groza ponurej wieczności?

To wszystko razem trwało... trzyście sekund? Mój Boże!

Delmonico strząsa popiół z papierosa. Kilka drobinek leci na mnie.

— Ale co będzie ze mną w tej wieczności? — pytam.

— Znowu udajesz głupią. Po prostu kocham takie zachowanie! — śmieje się Delmonico. — Sama zobaczysz. Wkrótce się tego dowiesz. Dobrze pytanie, moja mała. „Co ze mną będzie?”. Spójrz na małą zajawkę.

Otwiera usta — dużo szerzej niż normalny człowiek. Nagle widać w nich włochaty łeb szczura. Gryzoń spogląda na mnie, a potem ucieka gdzieś w głąb ciała swojego „żywiciela”.

— Mniam — mówi Delmonico.

Śmieje się i śmieje. Puszczą kółko z dymu, które zawisa tuż nad moją głową, potem odwraca się i znika w ciemnym pokoju.

— To jest ten portal do samego piekła? — wołam za nim. — Tak? Delmonico!

Jakaś policjantka pochyła się nade mną. Ciekawe, czy mnie dokądsz zabierze?

Ona jednak — nie myśl, po prostu pstrykaj — szybko robi mi zdjęcie.

Część czternasta

Rozdział 110

Dwaj pielęgniarze rozwijają przy mnie długi plastikowy worek.

— Nie! — błagam. — Ja wciąż żyję! Dlaczego nikt tego nie rozumie?

Kładą mi ręce na piersiach. Przelotnie widzę krew na swojej dłoni.

— Raz, dwa, trzy... — liczą. Potem mnie podnoszą i wkładają do worka.

Boże, Boże... Nie! Nie róbcie tego!

Nie zważając na moje prośby, zasuwiają zamek. Nikt mnie nie słucha, chociaż wszystkich proszę, żeby dali mi drugą szansę.

Jeszcze nigdy nie byłam tak bezradna, wystraszona — i zupełnie sama.

Wiozą mnie korytarzem, do windy, przez foyer... Patrę na to ze zgrozą i przerażeniem. Otoczenie widziane przez ciemną folię wydaje mi się brudnoszare.

Nawet czerwona markiza nad drzwiami.

Popychają mnie w stronę krawężnika. Kółka noszy świergoczą po betonie jak stadko chorych ptaków.

Słyszę szmer tłumu, który gęstnieje na ulicy. Ludzie zastanawiają się, co tu zaszło. Kto zginął? Bez przerwy krzyczę.

— To potworna pomyłka! Ja wciąż żyję!

Ale nadal nikt mnie nie słyszy.

Ani biznesmen w prążkowanym garniturze, ani kurier na skuterze, ani matka z wózkiem... Wszystkich widziałam we śnie. Obcy ludzie... którzy w pewnym sensie przyszli na mój pogrzeb.

Jestem obłędnie przerażona.

Boże, błagam! Niech ktoś to przerwie! Błagam, Boże, błagam!

Jednak On także mnie nie słyszy.

A może nawet gorzej — słyszy, ale ma w nosie Kristin Burns.

W górze widzę jedynie błyskające światła karetek i radiowozów.

— Niech ktoś coś zrobi! Wyciągnijcie mnie stąd! Na pomoc! Błagam!

Tuż przed oczami mam zamek błyskawiczny. Na pozór blisko, a jednocześnie gdzieś strasznie daleko. Nie mogę go osiągnąć.

Nie mogę się poruszyć.

Ale nagle zamek troszeczkę się rozsuwa. Chyba worek zaczepił o szparę w chodniku.

Znowu coś słyszę — tym razem na ulicy. Ktoś się przepycha przez tłum gapiów i krzyczy głośno... Głośniej ode mnie, jakby w panice.

— Na pomoc! Tam ktoś wciąż żyje!

Głos jest o wiele bliżej. Już widzę twarz... i cała nadzieja przyska.

Koszmar zatoczył pełne koło. Kto krzyczy przed hotelem?

Ja!

Wszystko rozumiem.

Już niedługo, za kilka minut, to mi się przyśni. Znowu obudzę się z przeraźliwym wrzaskiem. Znowu usłyszę cichą muzykę i donośne bębnienie w drzwi. Znowu zobaczę panią Rosen-
crantz.

Te straszne dni będą się wciąż powtarzać, aż mały kos przeniesie w dzióbku całą wielką górę.

A to dopiero początek wieczności.

Tam, gdzie się domyślam.

Wrzeszczę, wrzeszczę, wrzeszczę i wrzeszczę...

Rozdział 111

Idę do piekła. Z tego, co mówił mi Delmonico, to jest jedynie przedsmak koszmarów, których przyjdzie mi skosztować przez wieczność. Coś, na co warto trochę poczekać.

Teraz już wszystko widzę wyraźnie, bo nikomu nie chciało się zaniknąć worka.

W pewnym sensie to nawet lepiej. Mogę swobodnie się rozejrzeć po jakże dziwnie pięknym świecie. Widzę zamglone światło, przetykane wąskimi pasemkami na przemian pomarańczowego i żółtego blasku. Ludzie wydają się smutni, jakby naprawdę mnie żalowali. To wzruszające.

Chce mi się płakać, ale już nie mam władzy nad swoim ciałem. Gdzieś w głębi ducha dręczy mnie ciekawość, ile to jeszcze potrwa, zanim wszystko stanie się czarne albo białe — lub rozpocznie się znajomy koszmar.

Znowu.

Znowu.

Jak długo, Kris?

Ile okazji zmarnowałaś w życiu? Ile zrobiłaś złego? Jak wiele rzeczy chciałabyś naprawić?

Oj, bardzo wiele. Szczerze mówiąc — i to nie jest jakaś głupia wymówka — marzę o całkiem innym życiu. Czuję się winna... z powodu dziecka... z powodu mojego związku z Michaelem... z powodu krzywdy, jaką wyrządziłam Dakocie i Seanowi... i nawet z powodu Penley. Nie należała do najgorszych, choć ewidentnie była pojebana.

Przepraszam, Boże. Strasznie przepraszam. Wiem, że to głupie, ale Cię przepraszam.

Wciąż słyszę głosy ludzi przed hotelem.

Sanitariusze przepychają nosze pomiędzy dwoma radio-wozami. Chyba jedziemy do karetki. Wózek co chwila w coś uderza. Przecież to absurd, żeby uważać, kiedy się wiezie nieboszczyka.

— Niech mi ktoś pomoże... — mówię, chociaż wiem, że ten głos rozbrzmiewa tylko w mojej głowie. Mimo to wciąż powtarzam swoje prośby. Nie poddam się. Nie ulegnę. Nie odejdę bez walki. — Niech mi ktoś pomoże... Błagam... Przepraszam za wszystkie grzechy, za wszystko, co zrobiłam...

Widzę nad sobą jakąś Murzynkę. Jest bardzo blisko — o wiele bliżej, niż ja podeszłabym do zmarłego. Błyska mi w oczy małą latarką. Boże, chcę mrugnąć... Niczego na świecie nie pragnę w tej chwili bardziej, niż mrugnąć!

Ale nie mogę.

Znowu w myślach kołacze mi się błaganie: „Niech mi ktoś pomoże...”.

Murzynka odchodzi krok od noszy. Dopiero teraz widzę, że to lekarka z pogotowia.

Nagle woła donośnym głosem:

— Ta jeszcze żyje! — Żarliwie modłę się do Boga, aby przypadkiem się nie pomyliła. — Ta kobieta wciąż żyje! Puściła do mnie oko!